Wesołych i pogodnych świąt - lepszych niż ubiegłego roku, gorszych niż w następnym
Wszystkim Czytelnikom, Współpracownikom i Sympatykom *życzy zespół „Odgłosów"*

Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 38 (1291) ROK XXV 24 GRUDNIA 1982 ROKU CENA 20

- Tamtego lata w Zakopanem
- Bomba pod Olechowem
- Szymon Kobyliński o Francu Fiszerze
- Bajki pana Jachowicza
- Czy dyplomacja jest potrzebna?

Jan Lechoń

Kolęda

Myślał wczoraj coś Pan Bóg z zasępionym czołem,
A potem się zamknęli z wielkim Archaniołem
I w największym sekrecie coś radzili o świecie:
Archanioł wracał z nieba z obliczem wesołem.

Pyta więc Archanioła ten i ów z aniołów:
„Zali może Bóg ruszy po gwiazdy na połów?
Może nowe zakwitną oceany błękitno
Albo nowe Karpaty wydźwigniemy z dołów?"

Archanioł długo milczał, nic im nie chciał gadać,
Jeno kazał fornalom sześć koni zakładać,
I pomknęli po szosie, rankiem szarym o rosie,
Zadudniło, aż gwiazdy jęły z nieba spadać.

Wieźć się kazał Archanioł o milkę do wioski,
Przed dworem, przed bielonym, stanął Matki Boskiej
Patrzy w okno komnaty: w oknie kwiaty i kwiaty!
Matka Boska przy krosnach haftuje bez troski.

Stanął w drzwiach i rzeknie głośno: „Pochwalony!
Witaj, cudna Waćpanno! Z górnej idę strony!
Wielka Tobie nowina! Będziesz Panno mieć syna!
Bóg każe Ci Królową polskiej być Korony!"

Upuściła Panienka haft, zmieszana srodze,
Archanioł pomógł usiąść na krześle niebodze.
Srebrnym skrzydłem Jej skronie dla ochłody owionie
A Panna dała słodkim łzom radości wodze.

Święty Józef chciał gościa prosić na kusztyczek,
Na miód stary z rodowych wyjęty piwniczek,
I mówi o splendorze! „Gość taki w biednym dworze!"
Panna szyje pieluszki z bielutkich spódniczek.

Rano Pan Bóg jej posłał pereł pełną skrzynię,
Na dwór dać Chrystusowi kazał ochmistrzynię.
Matka Boska giezłeczko szyje złotą igłeczką
I śpiewa Chrystusowi: „Płynie Wisła, płynie".

przypisane
Cecylii Burr

O gwiazdach na „gwiazdkę"

BOHDAN GADOMSKI

Zwykle nie pokazuje się kulis, za którymi rozmawia się ze znakomitościami świata artystycznego. Bo albo gwiazdy się tego boją, pamiętając, że na swoją pozycję na parnasie pracowały długo i mozolnie, albo przyzwyczajenia piszącego i redakcji są zbyt konserwatywne.

Ze swoich doświadczeń i rozmów z czytelnikami wiem, że właśnie przemycane przeze mnie ciekawostki, sensacyjki z życia gwiazd są przez nich najchętniej czytane i najbardziej oczekiwane.

Nie będąc więc wiernym wymyślonej przez kogoś maksymie że: „ludzie kochają mity i nimi chcą być karmieni" postanowiłem zrobić wyjątek od reguły i na „gwiazdkę" podarować Czytelnikom „Odgłosów" swoje notatki ze spotkań z gwiazdami teatru, filmu, telewizji, estrady. Nie ukazywałem ich nigdzie do tej pory, zbierając przez 5 lat materiał do przygotowywanej książki „Moje spotkania z gwiazdami". Zanim jednak powstanie tom pełen sensacji i prawdy(!), uchylę rąbka tajemnicy owych poufnych informacji, spostrzeżeń i wiadomości, których nie można nigdzie wyczytać, bo raczej nie nadają się do druku, a jednak...

Dziś przedstawiam:

— królową sceny polskiej **NINĘ ANDRYCZ** (wyjątkowo bez korony),

— „Zbigniewa Cybulskiego w spódnicy" **KRYSTYNĘ JANDĘ** (w diamentach i szmaragdach).

PREMIEROWA

NINA

„Według odziedziczonej po teatralnych przodkach, a wcale niegłupiej nomenklatury — jestem heroiną dramatyczną" Tak określiła Nina Andrycz siebie samą 12 lat temu „Heroina dramatyczna" Niny Andrycz zabrzmiała już wtedy (gdy teatr polski niósł ze sobą szereg wstrząsów, które podważyły wiele struktur i znaczeń) nie tylko jako prowokacja, była czymś więcej — wyzwaniem.

Kim więc obecnie jest Nina Andrycz na polskiej scenie? Czy jeszcze królową tej sceny, nazwaną tak kiedyś przez paru krytyków teatralnych, czy aktorką której sztuka przy całym bogactwie środków i myśl gęstnieje już w baroku?

Wielka, odchodząca gwiazda Nina Andrycz lubi wywiady podchodzi do nich z rzadko spotykaną u aktorek precyzją dziennikarską (obok Wydziału Aktorskiego w PIST, ukończyła studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego), sama pisze (wiersze) a do spotkań z dziennikarzem przygotowuje się długo i drobiazgowo.

Gościa wita z gotową koncepcją na rozmowę i wyperswadować jej, że może by spróbować inaczej jest bardzo trudno.

Od ponad 30 lat mieszka w rządowych apartamentach przy Alei Róż w Warszawie, tych samych które dzieliła z Józefem Cyrankiewiczem, jako jego żona i polska premierowa. Dziś mieszkanie jest puste i zimne, aktorka praktycznie zamieszkuje tylko jeden pokój, który

6

Karlino' 82

Znicze z wielkiej ropy

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Późnojesienna mgła ciągnie się wzdłuż szosy siwym całunem, w pobliżu rzadkich lasków zalega tuż nad drogą. Po przejechaniu kolejnych kilkunastu kilometrów — zawracam jeszcze raz. „No gdzieś to chyba musi tu być, cholera, nawet nie ma się kogo spytać..." — zmęczony wielogodzinną jazdą umysł uparcie podsuwa widok plątaniny rur, potężnych wież, zbiorników. A tu pola, ogołocone z liści przydrożne laski; cicho, spokojnie. I ta mgła.

Facet w „fufajce" niechętnie zatrzymuje rozklekotany rower. — *A to trzeba się wrócić ze cztery kilometry, tylko się pan nie zdziw, ten „Kuwejt" to raptem dwa baraki na krzyż...* — kpi w żywe oczy — *i pośpieszcie się — dorzuca. — Bo ten szyb mają zaorać...*

No i faktycznie. Są. Dwa parterowe baraki, jeden jeszcze w budowie, otoczone siatką, w głębi parę zbiorników. I dumny szyld u bramy „*KOPALNIA KARLINO*". A dalej, wśród zaoranych pól, skromny kwadrat gruntu z cienką, sterczącą w niebo ni to rurą, ni kominem — słynny szyb „*DASZEWO*".

— *Aha, druga rocznica „wytrysku" za parę dni, ale jakoś na najazd prasy nie narzekamy* — śmieje się kierownik kopalni Kazimierz Jakubowicz. — *Temat dla dziennikarzy jakby stracił na atrakcyjności. A pamiętacie jeszcze jak to się zaczęło?*

Jakże by nie. Z lekkim opóźnieniem (awaria miała miejsce 9 grudnia 1980 r., w godzinach popołudniowych), już po dwóch dniach m.in. „Trybuna Ludu" informowała. „*(...) We wtorek w godzinach wieczornych na wiertni Daszewo-1, położonej w miejscowości Krzywopłoty w województwie koszalińskim nastąpiła groźna awaria górnicza (...). Podczas wiercenia otworu nastąpił niespodziewany, gwałtowny wypływ płynu złożowego i gazu ziemnego z jednoczesnym zapaleniem się uniemożliwiającym natychmiastowe, prawidłowe zadziałanie urządzeń zabezpieczających. Po 10 minutach nastąpiło przewrócenie się wieży wiertniczej, a pożarem*

10

Foto: R. Łucyszyn

Prawdy niepopularne

Czyli sprawy Polaków 1982 roku

Przeczytałem wznowioną po 34 latach, jako szóste wydanie książkę Edmunda Osmańczyka „Sprawy Polaków". Zgadzam się z autorem, że posiada ona słabości szczególnie *„w partiach historiozoficznych"*. Nie wszystkie poglądy wyrażone w 1946 roku zachowały do dziś swą aktualność. Nie ze wszystkim można się dziś zgodzić. Ale są to wszystko sprawy, które nie mogą przesłonić zadziwiającej aktualności tej książki. Jest to bardzo dziwne i wręcz niepokojące, że poglądy wówczas sformułowane, przewidywania i przestrogi, zachowały do dziś swą aktualność i brzmią tak, jakby z myślą o współczesności zostały napisane. A przecież napisane zostały 36 lat temu. Pod wstępem do pierwszego wydania figuruje data: 21 października 1946.

Co z tego faktu wynika? Ano wynika to, że skoro myśli, przewidywania i przestrogi sformułowane 36 lat temu nie straciły do dziś swej aktualności, to znaczy, iż nie potrafiliśmy przez ten czas tak przebudować naszej świadomości, iżby mogły one być dziś nieaktualne. Być może 36 lat, to zbyt mało na radykalne przebudowanie świadomości społeczeństwa. Trzeba przecież pamiętać, że dziś współżyją z sobą cztery pokolenia: tych, którzy pamiętają zabory i czasy pierwszej wojny światowej; tych, którzy dojrzewali w czasach II Rzeczypospolitej; pokolenie dojrzewające w czasie drugiej wojny światowej oraz pokolenie powojenne. Ale w 1981 r. — według danych GUS — mieliśmy w Polsce ludzi urodzonych przed 1911 rokiem 6,7 proc., a przed 1916 rokiem — 3,5 proc. Razem stanowi to 10,2 proc. Natomiast ludzie w wieku od 30 do 59 lat stanowią w Polsce 36,6 procent. Są to więc ludzie w zdecydowanej większości wykształceni i wychowani w Polsce Ludowej. Oni przede wszystkim powinni być nosicielami i propagatorami nowych idei społecznych i politycznych. Oni powinni o stanie tej świadomości decydować. Nie decydowali. Przynajmniej w taki sposób, aby poglądy sformułowane przez Edmunda Osmańczyka w 1946 roku mogły dziś stracić swą aktualność.

Edmund Osmańczyk napisał przed 36 laty:

„Żaden układ sił w Europie i świecie nie gwarantuje nam naszej siły. Gwarancją siły Polski w każdym układzie sił w Europie i świecie jest tylko praca Polaków."

Jakżeż aktualne są dziś te słowa.

Można na to powiedzieć: — no tak, ale przecież Polska jest członkiem RWPG, członkiem Układu Warszawskiego. Nie jest sama. Jest członkiem wspólnoty socjalistycznej. Nasi sojusznicy nam pomogą. To prawda. Ale prawdą jest też to, że sojusznicy woleliby mieć jako swego partnera silną Polskę, a nie Polskę słabą, targaną sprzecznościami, której trzeba pomagać, a nie można liczyć na jej siłę. Wynika z tego jasno, że siła Polski nie wynika z układu sił w Europie czy na świecie, ale miejsce Polski w tych układach zasadza się na wewnętrznej sile kraju. Dziś tej siły nie posiadamy i dlatego między innymi jesteśmy przedmiotem ataku wszystkich przeciwników socjalizmu na świecie.

A MY SPOKOJNIE ULEGAMY MITOM

Mówienie o potrzebie pracy jest dziś niepopularne. W niektórych kręgach uważane jest wręcz za nietakt. Potocznie mówi się, że „praca lubi głupich". Baliśmy się bezrobocia jako wyniku wprowadzanej w życie reformy gospodarczej, dlatego umożliwiono tysiącom dobrych fachowców wcześniejsze odejście na emeryturę, a tymczasem w wielu fabrykach brakuje ludzi do pracy. Poziom produkcji wprawdzie powolutku rośnie, ale jesteśmy jeszcze daleko od wyników gospodarczych osiągniętych trzy lata temu. Szczególnie boleśnie jest to odczuwane w budownictwie mieszkaniowym, bowiem znaczny spadek ilości oddawanych mieszkań wydłuża i tak już spory okres oczekiwania na samodzielne mieszkanie. Może to mieć poważne skutki w rozwoju naszego narodu, jako że na mieszkania oczekują przede wszystkim młode małżeństwa. Może to więc odbić się spadkiem przyrostu naturalnego. I pewnie tak się odbije.

Wydaje nam się czasem, że jesteśmy pępkiem świata, że cały świat mówi o Polsce, myśli o Polsce, losem Polski się interesuje. Owszem, Polska często zajmuje czołowe miejsce na łamach wielkich gazet, ale wynika to nie z naszej szczególnej roli w świecie, ile z prostego zainteresowania tym co się na świecie dzieje. A także z niepokoju, aby wydarzenia w Polsce nie odbiły się ujemnie na losach świata.

Przed 36 laty Edmund Osmańczyk pisał:

„Narody żyjące normalnie nie lubią narodów, które fatalizmem swego losu mącą spokój stwarzając dodatkowe kłopoty".

Są wszakże i tacy wśród nas, którym się zdaje, że owo zainteresowanie świata Polską wynika z wielkiej do nas sympatii, że wszyscy tylko czekają, jakby tu przyjść nam z pomocą w rozwiązywaniu naszych kłopotów. Jest to jeden z wielkich mitów pokutujących od dziesiątków lat. Wyznawcom tego mitu zdaje się, że wystarczy tylko krzyknąć: — pomocy! — a zaraz stanie legion chętnych nam pomóc. Owszem znajdą się tacy, ale tylko po to, aby polską kartą zagrać we własnym interesie. Prawda jest taka, choć dziś bardzo niepopularna, że naszą siłę, nasza pozycję w świecie możemy i musimy zbudować własną pracą. Nikt nam tego nie da, nikt za nas tego nie zrobi. Słaba Polska może być tylko na rękę przeciwnikom socjalizmu, stanowi bowiem słabe ogniwo w łańcuchu państw socjalistycznych. A wiadomo, że najłatwiej jest rozerwać łańcuch uderzając w słabe ogniwo.

Są wśród młodych i tacy, którym wydaje się, że wszędzie na nich czekają, że wszędzie mogą zrobić karierę tylko nie w kraju. Nie mam zamiaru twierdzić, że dziś łatwo u nas jest się wybić, że przed młodymi wszystkie drogi awansu stoją otworem. Ale też nie będę ukrywał, iż uważam, że na awans trzeba zapracować. Decydować o awansie powinien nie tylko dyplom, ale rzeczywiste umiejętności i doświadczenie, a często jeszcze decydują układy. Nie mogę jednak przejść obojętnie obok faktu, że jedna czwarta badanych studentów w Łodzi zadeklarowała, że chętnie wyjechałaby z Polski na zawsze, a 66 proc. badanych opowiedziało się za umożliwieniem młodym emigracji zarobkowej. Otóż myślę, że warto abyśmy wszyscy sobie uświadomili, że dla Polski można tylko pracować w Polsce. Wszystko, co się robi poza Polską służy temu krajowi, w którym to się robi. Możemy oczywiście eksportować naszą myśl techniczną, umiejętności naszych specjalistów, pomagać w rozbudowie ich przemysłu, bo przecież sporo potrafimy. Jest to świadczenie usług przynoszące nam określone korzyści. Czym innym jest jednak emigracja zarobkowa, kiedy ludzie wykształceni w kraju zajmują się za granicą wszystkim, tylko nie tym, do czego zostali przygotowani i krajowi swojemu nie służą.

Różnym emigrantom — rzeczywistym i potencjalnym — warto przypomnieć słowa Edmunda Osmańczyka napisane 36 lat temu:

„Nie tak dawno usłyszałem, będąc wśród naszych przypadkowych emigrantów na Zachodzie, potworne zdanie: „Każda pomoc dana dziś Polsce będzie wykorzystana jako sukces obecnego rządu i umocni tylko ten rząd". Zatem wniosek: nie pomagać krajowi. Im tam gorzej, tym lepiej dla Polski! Znów trzeba spytać, komu gorzej? Rządowi? Czy Polakom w kraju? Polska nie jest dziś tylko ideą, którą, wypisaną na sztandarach, wystarczy obnosić po całym świecie. Polska to ziemia i ludzie. Nigdy dla Polski nie jest lepiej, gdy źle jest ludziom polskim i ziemi polskiej."

Gdybym nie napisał, że słowa te powstały przed 36 laty można byłoby uznać, że powstały dziś. Przecież wielu Polaków na Zachodzie wypowiada się teraz za sankcjami przeciw Polsce, przeciw pomocy dla Polski. Czy można służyć Polsce sprzymierzając się z siłami Polsce przeciwnymi?

O tym,

JAK WYJŚĆ Z KRYZYSU

możemy zadecydować tylko sami i tylko naszą pracą. Pisząc o pracy nie myślę tylko o prostym, rzetelnym, solidnym wysiłku fizycznym, ale i o tym wszystkim, co potrzebne jest do tego, aby praca była wydajna, pożyteczna i przynosiła nam spodziewane rezultaty. A więc i o koncepcjach, organizacji, zaopatrzeniu, sprawności maszyn i urządzeń. Trzeba jednak pamiętać, że wychodzenie z kryzysu jest procesem, że nie dokona się tego żadnym aktem ustawodawczym, żadnym postanowieniem najwyższych nawet władz. Wychodzenie z kryzysu, to przezwyciężanie naszych słabości, odrzucanie wszystkiego, co nam przeszkadzało i przeszkadza, to nieustanne szukanie nowych, bardziej skutecznych rozwiązań. Ten proces nie dokonuje się ani ponad czasem, ani ponad rzeczywistością. Dokonuje się on w określonych warunkach, kiedy nowe rozwiązania napotykają stare opory, utrwalone latami nawyki, dobrze zestalone układy i struktury. Dokonuje się on w warunkach walki politycznej, która jest niczym innym jak formą walki klasowej. Nie można więc liczyć, że proces ten będzie przebiegał łatwo, spokojnie, bez oporów i przeszkód. Decydującą rolę w tym procesie musi odegrać partia robotnicza.

Wychodzenie z kryzysu dokonuje się w dwu etapach. Pierwszym etapem było zahamowanie procesu anarchizacji, destabilizacji i osłabiania państwa socjalistycznego. Stało się to w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Rozpoczął się wówczas etap ocalenia narodowego, ocalenia państwa, którego siła jest niezbędna dla istnienia i rozwoju narodu polskiego. Etap ten mamy już za sobą. Decyzjami Sejmu PRL stan wojenny zostaje zawieszony i kraj nasz wchodzi w drugi etap odrodzenia narodowego. Będzie to okres przejściowy między stanem wojennym a pełną stabilizacją. Okres trudny, decydujący o przyszłości Polski, bowiem od tego, jak przejdziemy przez ten okres zależeć będzie dalszy los naszego kraju.

I znów rzecz sprowadza się do tego samego: do rzetelnej, solidnej, wydajnej pracy, ale rozumianej nie jako spotęgowanie tylko fizycznego wysiłku, ale wykorzystanie tych wszystkich możliwości, jakie do tej pory stworzyliśmy, posiadamy i nie potrafimy z pożytkiem wykorzystać. Potrzebny jest więc również wysiłek intelektualny. Potrzeba poszukiwania nowych rozwiązań i stosowania ich w praktyce. Tylko, że to samo nie przyjdzie i nie będzie dokonywało się przy pełnym aplauzie wszystkich.

Trudno tego nie widzieć, że są w Polsce ludzie, którzy chcieliby wydobyć kraj z zastoju, przyczynić się do porozumienia i odrodzenia narodowego, którzy rozumieją, że wyjście z kryzysu i przyszłość Polski zależy tylko od naszego wspólnego wysiłku. Trudno jednak nie widzieć, że są i tacy, którzy przyglądają się temu spokojnie, kibicują wszelkim poczynaniom, oczekując spokojnie, co z tego wyniknie. Ale są też i tacy obserwatorzy, którzy świat oglądają ze swojego okna, próbują go opisywać, łudząc się, że biorą udział w zmienianiu rzeczywistości. Są również konserwatyści przeciwni wszelkim zmianom, oczekujący na cud, który pozwoli im zachować poglądy, spokój i stanowiska. I są wreszcie przeciwnicy zdeklarowani, dla których wszelkie zmiany w Polsce mogą prowadzić tylko w jednym kierunku — odejścia od socjalizmu, ale występują oni przeciw podstawowym prawom społecznym, usiłując zatrzymać świat w jego naturalnym rozwoju.

W wychodzeniu z kryzysu partia musi

SZUKAĆ SOJUSZNIKÓW

przede wszystkim wśród tych, którzy rozumieją potrzebę rzetelnej pracy dla dobra kraju i siebie samych. Nie może jednak tracić z pola widzenia tych, którzy się wahają, zastanawiają, mają wątpliwości, ulegają różnym przeciwnym naciskom. Otwarta dla nich powinna być płaszczyzna PRON. Ruch ten powinien starać się też pozyskać kibiców, wszelkich obserwatorów, ludzi jeszcze niechętnych, ale już starających się rozumieć, że nie można długo być obcym we własnym kraju. Z przeciwnikami politycznymi i ideowymi trzeba natomiast zdecydowanie walczyć. Trzeba też przeciwstawiać się wszelkim postawom zachowawczym, konserwatywnym, negatywnie nastawionym do reform i przemian.

Aby jednak partia mogła spełniać swą przewodnią rolę w społeczeństwie musi dokonać wewnętrznych przemian, zjednoczyć się na płaszczyźnie marksizmu-leninizmu, zjednoczyć się w działaniu, w konsekwentnym realizowaniu własnych uchwał i postanowień. Trwająca w partii kampania sprawozdawcza pokazuje, że proces takich przemian już się dokonuje. Nie przebiega on łatwo. Trwa proces przełamywania starych nawyków, stereotypów, różnych uprzedzeń i zahamowań. Trwa proces poszukiwań nowych form. Kształtuje się umiejętność analizowania układu sił politycznych w środowisku, w którym działają organizacje partyjne. Kształtuje się umiejętność działania poprzez członków partii w samorządach pracowniczych, związkach zawodowych, organizacjach społecznych. Jest to również proces, który dokonuje się w czasie i w określonych warunkach politycznych, kiedy działania organizacji partyjnych napotykają opór obojętnych i przeciwdziałanie przeciwnika politycznego. Są wśród członków partii ludzie niecierpliwi, którzy nie rozumieją, że proces przeobrażeń wymaga czasu, że dokonuje się on w walce którzy chcieliby widzieć stawiane przed nimi cele jako już zrealizowane.

Jest to — jak pokazuje kampania sprawozdawcza — partia.

TA SAMA, ALE NIE TAKA SAMA

Ta sama, która na IX Nadzwyczajnym Zjeździe obroniła swój marksistowsko-leninowski charakter, ale dziś bogatsza o doświadczenia różnych okresów walki politycznej, konsolidująca się w działaniu, choć nie pozbawiona jeszcze wielu słabości. Jest to partia, która zbiorowym intelektualnym wysiłkiem próbuje określić obecny etap budownictwa socjalistycznego w Polsce, odpowiedzieć na wiele pytań związanych z jej rolą w okresie odrodzenia narodowego. Szukająca nowych rozwiązań ale i popełniająca błędy wynikające ze starych przyzwyczajeń:

Słyszę często pogląd, który głosi, że wyjście z kryzsu zdecyduje się w gospodarce, zależeć będzie od prawidłowego wprowadzenia w życie reformy gospodarczej, od prawidłowości funkcjonowania przemysłu i rolnictwa. To prawda. Ale bałbym się, gdyby miała to być cała prawda. Nie można bowiem zapominać o drugim niejako członie działania partii — o sferze ideologii. Zaniedbanej w latach siedemdziesiątych, czego skutki dotkliwie odczuwamy i dziś. Myślę, że wychodzenie z kryzysu musi dokonywać się równocześnie na dwóch płaszczyznach: materialnej — a więc działalności w gospodarce — i duchowej — więc w sferze ideologii, kultury, nauki czyli w nadbudowie. Te dwie płaszczyzny muszą się wzajemnie przenikać, oddziaływać na siebie, współdziałać. Według mnie nie można będzie osiągnąć pozytywnych wyników w gospodarce bez dokonania znaczących przemian w świadomości społecznej.

KOŃCZY SIĘ ROK 1982

Rok trudny, rok wielu bolesnych i tragicznych doświadczeń, ale też rok, który wielu Polakom dał nadzieję, jaśniejsze spojrzenie na rok 1983. Tylko, że tę nadzieję, tę odrobinę optymizmu możemy przekształcić w trwałą rzeczywistość jedynie naszą pracą. Jest to jedna z tych prawd niepopularnych, o których trzeba mówić i pisać.

Nie próbowałem podsumowywać minionego roku, przedstawiłem tylko kilka spraw, które powinny budzić nasz niepokój, lub rodzić nadzieję. Są to sprawy, o których trzeba rozmawiać, bo są to nasze sprawy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W następnym numerze „Odgłosów"

- GWIAZDY NA NOWY ROK
- NA TĘ JEDNĄ, JEDYNĄ NOC...
- „A SALON MAM W KAPELUSZU!"
- KLIENCI I HANDEL W OCZACH UCZENNIC — PRAKTYKANTEK
- MX — RAKIETY ŚMIERCI
- „DACHOWANIE" — HISTORIA PECHOWEGO AUTOMOBILISTY
- SMUTNY SYLWESTER POLAKÓW W RFN
- U AJENTA — REMANENT!

SPRAWY POLSKIE NA MADRYCKIM SPOTKANIU KBWE

Przewodniczący delegacji Polski na spotkanie 35 państw — sygnatariuszy KBWE w Madrycie, wiceminister spraw zagranicznych Józef Wiejacz odbył w madryckim Pałacu Kongresów konferencję prasową. Omówił obecny stan madryckiego spotkania i poinformował dziennikarzy o ostatnich wydarzeniach w Polsce.

Odpowiadając na liczne pytania przedstawicieli prasy hiszpańskiej i zagranicznej J. Wiejacz powiedział, że choć Polska przeciwna jest debatom na tematy wewnętrzne poszczególnych państw, to jednak postępy normalizacji w Polsce i poprawa sytuacji gospodarczej naszego kraju, wszechstronna stabilizacja będą miały wpływ na poprawę atmosfery spotkania KBWE.

Przedmiotem zainteresowania dziennikarzy były także kwestie przyszłości ruchu związkowego w Polsce, uchylanie restrykcji ograniczających w warunkach stanu wojennego swobody obywatelskie, perspektywa zwolnień osób internowanych i skazanych. Wiceminister Wiejacz podkreślił, że intencją władz jest dążenie do wszechstronnej normalizacji i poprawy gospodarki. Gdyby nie stosowanie sankcji — podkreślił — proces ten rozwijałby się szybciej.

W środę, 15 grudnia odbyło się spotkanie szefów delegacji, przewodniczył delegat Finlandii. Głos zabrał m.in. delegat amerykański, amb. Kampelman. Stwierdził on, że debata nad tzw. duńskimi poprawkami była zjawiskiem pozytywnym. Powiedział także, że jednym z kluczowych problemów, który pozostaje otwarty jest sprawa mandatu konferencji na temat wojskowych aspektów bezpieczeństwa w Europie.

W odpowiedzi delegat ZSRR amb. Dobrynin stwierdził, że w odróżnieniu od większości innych wystąpień, głos przedstawiciela USA — choć nie pozbawiony pewnych akcentów realizmu — nie miał charakteru konstruktywnego. Na obecnym etapie największym wkładem do sprawy bezpieczeństwa międzynarodowego byłoby uzgodnienie politycznego zakończenia prac VI rundy obrad spotkania, wyrażającego wolę osiągnięcia porozumienia na podstawie dokumentu krajów neutralnych i niezaangażowanych.

Ze zrozumieniem przyjęto wystąpienie szefa delegacji polskiej wiceministra Wiejacza. Oświadczył on, że poszukiwanie wspólnego mianownika oznacza w praktyce włączenie do dokumentu końcowego tych postulatów, które na obecnym etapie są możliwe do przyjęcia przez wszystkich uczestników i rezygnację z tych, które kolidują w ten czy inny sposób z interesami innych uczestników rokowań. Dotyczy to zarówno sfery politycznej i wojskowej, jak też gospodarczej i humanitarnej. *Często słyszeliśmy* — mówił w dalszej części swego wystąpienia min. Wiejacz — *że nie możemy przejść do porządku dziennego nad tym co się dzieje i działo w stosunkach międzynarodowych. Niech mi wolno będzie w tym gronie zadać pytanie: czy wypowiedzenie Polsce — jako jednemu z państw uczestniczących w procesie KBWE — prawdziwej wojny ekonomicznej i propagandowej przez inny kraj uczestniczący jest do pogodzenia z zasadami i postanowieniami Aktu Końcowego KBWE? Czy polityka gróźb, szantażu, różnego rodzaju ograniczeń, bojkotu i innego rodzaju działań naruszających elementarne zasady pokojowego współżycia nie należą do tych faktów, które budzą także niepokój niektórych państw uczestniczących, że wystąpiły one z całym pakietem poprawek i zmian projektu dokumentu końcowego? Nie są to tylko pytania retoryczne. Myślę, że warto, aby wszyscy, którzy wyrażali zaniepokojenie sytuacją w Polsce, zastanowili się nad tymi pytaniami...*

Spotkanie zostało odroczone do 8 lutego przyszłego roku.

„BRYLANTOWA AFERA" — PRZED SĄDEM

W ubiegłym tygodniu przed sądem wojewódzkim w Warszawie rozpoczął się proces przeciwko Romanowi Urbaniakowi i 13 współoskarżonym w tzw. „brylantowej aferze".

Akt oskarżenia zarzuca Romanowi Urbaniakowi, że w porozumieniu ze współoskarżonymi sprowadził do kraju kamienie jubilerskie o łącznej wartości ponad 11 milionów złotych, które zostały nabyte za granicą za wywiezione z kraju, bądź przekazane z kont walutowych dewizy. Przysłane do kraju kamienie skupował R. Urbaniak od różnych osób, wykorzystując przy tym prawo wyłączności w zakupie, dokonywanym w imieniu przedsiębiorstwa „Jubiler".

Jak się oblicza, Urbaniak i jego wspólnicy spowodowali uszczuplenie należności podatkowych na sumę jednego miliona siedmiuset tysięcy złotych, a przedsiębiorstwo „Jubiler" narazili na straty rzędu 855 tys. złotych.

Wśród innych przestępstw ujętych aktem oskarżenia jest również przywłaszczenie opłat za wypożyczenie urządzeń i przyrządów jubilerskich, przywłaszczenie złota i platyny na szkodę PHU „Jubiler" oraz próby wywiezienia za granicę i spieniężenia przedmiotów zabytkowych, m.in. złotego medalionu z 1680 r. oraz złotych i srebrnych zegarków. Łączna wartość przedmiotów, które R. Urbaniak usiłował przemycić — milion osiemset tysięcy zł.

Telewizja im już nie wystarcza

Był październikowy wieczór. Za szybą samochodu, który zabrał mnie spod siedziby Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Łodzi, gęstniała mgła. Jedziemy do wsi Byszewy w gminie Nowosolna.

Zamierzam porozmawiać o kulturze z młodymi rolnikami i dlatego odwiedzam najpierw klub ZMW. Spotykam tam kilku młodych ludzi. Migoce szklany ekran telewizora. Głos spikera miesza się z rozmowami przy stolikach. Pomieszczenie czyste, porządne. Od kaflowego pieca uderza fala nagrzanego powietrza. Na dworze zimno i wilgotno od mgły.

Takie wczesne, chłodne, październikowe wieczory, to początek kulturalnego sezonu w wiejskich klubach. To także okazja i dobra pora do rozmowy.

Udało mi się kilku młodych ludzi namówić na dyskusję o kulturze na wsi. Są to: ADAM KŁĘBIK — członek Zarządu Wojewódzkiego ZMW, JAN MUSIAŁ — członek Prezydium ZW ZMW, obaj gospodarują na wsi, SŁAWOMIR ŚWIERCZYŃSKI oraz WAWRZYNIEC MUSIAŁ — działacze wojewódzkiej organizacji.

— Jakie miejsce w działalności ZMW zajmują sprawy szeroko rozumianej kultury? Jaką rolę przypisuje się tej sferze działalności w ZMW?

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Jak powiem, że dużą rolę i wielkie znaczenie, to powiem i zbyt mało i zbyt ogólnie. Poprzez kulturę pragniemy dotrzeć z programem ZMW do wszystkich wsi, do wszystkich środowisk młodzieży na wsi. Łódź stanowi obiektywnie stosunkowo dobre zaplecze dla tego rodzaju działalności.

Nie będę ukrywał, że w niektórych wsiach dopiero zaczynamy działać. Są na naszym terenie wsie, w których działają kluby Młodego Rolnika, placówki „Ruchu" czy w mniejszym stopniu — świetlice. Tam, już chociażby z tytułu istniejącej bazy, jest łatwiej działać. Są jednak i takie miejscowości, a jest ich większość, gdzie jest trudno o tego typu bazę. Tam młodzi spotykają się w domach prywatnych, przy drodze czy „na rowach".

To, że na przykład w Byszewach jest niezły klub, stosunkowo dobrze wyposażony, jest wynikiem aktywności, inicjatywy młodych z koła ZMW. Wiele rzeczy, które znajdują się w klubie zdobyli oni jako nagrody za swoją działalność.

— Wracając do Łodzi i jej roli zaplecza dla kultury na wsi. Jak tę rolę rozumieć? Czy Łódź jest bardziej pomocą czy przeszkodą?

S. SWIERCZYŃSKI: — W znacznym stopniu pomocą. Możemy przecież korzystać z kadry fachowych instruktorów, zapraszać na wieś różnych ludzi. Ale jest też i przeszkodą, bowiem kultura profesjonalna narzuca pewien styl, modę. Rodzi komercjalizację kultury. Ta maniera stanowi barierę dla wątku ludowego, autentycznego.

Powszechną bolączką, nie tylko w Łódzkiem, jest brak fachowej opieki i pomocy dla ruchu amatorskiego. Tego typu potrzeby na wsi odczuwane są dość pilnie. Przecież ten nurt kultury nie umarł, jak to twierdzą niektórzy.

— Komu i po co jest potrzebna kultura na wsi? Czy nie wystarczy telewizor, stosunkowo łatwy dostęp do kultury profesjonalnej? Czy może ZMW stawia na kulturę, aby poprzez nią sprzedać inne wątki swojego programu?

W. MUSIAŁ: — Kultura była i jest potrzebna mieszkańcom wsi, szczególnie zaś młodzieży. Telewizja nie wystarcza, choć jest to w dużym stopniu jedynie źródło informacji.

Błędnym jest myślenie, że poprzez kulturę można zorganizować młodzież na wsi. Form może być więcej. Im bardziej różnorodne, tym lepiej. Młodzi na wsi nie tylko czują potrzebę, ale domagają się autentycznej kultury: świetlic, teatru ludowego, możliwości uczestnictwa w kulturze na swój sposób i według swoich indywidualnych potrzeb. Młodzi domagają się takiej kultury, która wyrastałaby na wsi, z nas i która byłaby dla nas. Może trudno byłoby w naszym regionie o kuturę typowo wiejską, ludową. Chodzi więc o taką, którą byśmy współtworzyli i w niej uczestniczyli.

— Czy o czymś takim jak kultura wiejska można jeszcze dziś mówić, jak o zjawisku autentycznym?

W. MUSIAŁ: — Myślę, że tak. Kultura taka istnieje. Ludzie na wsi ocalili swoją odrębność, swój styl życia, sposób myślenia i widzenia świata. Inna jest mentalność wiejska niż miejska. Zasadniczo na wsi istnieje coś takiego, jak swojska kultura. Jest to głównie styl życia i świadomość. Choć trzeba przyznać, że poprzez rozmaite wpływy ta odrębność wiejska ulega spłyceniu. Wyjałowiła się z treści, które kiedyś coś tam znaczyły.

— Czy więc działalność, którą tu prowadzicie, ma służyć przywracaniu tych treści, tych wartości dla was tu istotnych?

W. MUSIAŁ: — Tak. Z tym, że wiele z nich zaginęło lub ginie. Przy czym rozumiem, że ta pewna odrębność kulturowa nas nie tyle dzieli z miastem, co od miasta wyróżnia.

— A czy to, co robicie, wynika bardziej z szacunku dla ginących wartości, czy też z autentycznej potrzeby przywracania czegoś co jest wam potrzebne?

W. MUSIAŁ: — Przede wszystkim z potrzeby. My, podobnie jak poprzednie pokolenia, jesteśmy wrośnięci w wieś, a więc i jej tradycje. W otoczeniu innym, obcym, nie czujemy się dobrze, chociaż oczywiście każdy przystosowuje się, jeśli taka jest potrzeba.

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Tradycja i sięganie po nią jest obroną przed zagrożeniami, które niesie współczesność dla ludzi ze wsi. Do wszystkiego można się przystosować i przyzwyczaić. Do pustyni wielkich miejskich osiedli także. Ale to nie znaczy, że ludzie tam mieszkający czują się dobrze. Nie mają przecież wyboru.

— Czy można więc powiedzieć, że traktor kombajn, czy co by tam jeszcze do was na wieś z miasta przyjechało, to jedynie techniczne uzupełnienie waszego warsztatu pracy? Nic więcej? Że ta technika nie zdołała was zmienić?

W. MUSIAŁ: — Moim zdaniem ani traktor, ani inna maszyna nie zmieniły chłopa i nie zmienia na tyle, aby przestał on być chłopem. To są tylko narzędzia, lepsze, doskonalsze od poprzednich, ale tylko narzędzia produkcji.

J. MUSIAŁ: — Pamiętam czas, kiedy szukaliśmy jakiejś formy wspólnego działania. Zaczynaliśmy od LZS. Gdy powołano ZMW, to i u nas stworzyliśmy koło. Przedtem zbieraliśmy się na wspomnianych rowach. Siedzieliśmy tam do późnej nocy. Były jakieś wygłupy i wybryki, nie powiem. To z czasem przestało wystarczać. Myśleliśmy o tym, co i jak robić inaczej. Wtedy nie nazywaliśmy tego jeszcze kulturą, choć w gruncie rzeczy o zbliżenie się do niej nam chodziło. Dążyliśmy po prostu do czegoś lepszego niż to, co było.

Po prawie półtorarocznym działaniu ZMW, próbujemy pracy typowej dla form działalności kulturalnej. Próbujemy w to nasze działanie wciągnąć starszych, choćby poprzez wspólne przyśpiewki. A przecież nie można powiedzieć, że my tak, jak inni, nie możemy pójść do kina czy teatru. A jednak chcemy coś robić u siebie, na miejscu. Nareszcie mamy ten klub, w którym możemy się zejść. Nie jest to luksus, ale już coś. Przez wspólne działanie możemy spowodować, że inni będą mieli chęć przyjścia do nas. Wielkim plusem działania w ramach ZMW jest to, że możemy robić coś autentycznie sami i to, co uważamy, że jest nam potrzebne.

A. KŁĘBIK: — Myślę, że podtrzymywanie poprzez kulturę tradycji jest dodatnią stroną naszej działalności. Weźmy dla przykładu odradzające się obchody typowo ludowych świąt i dawnych zabaw młodzieży na wsi. Wywodzą się one z odchodzącej wsi, ale potrzeba uprawiania ich żyje i dziś w nas.

— Skąd bierze się owa potrzeba, to wracanie się w przeszłość? Pamiętam, że ludowe obyczaje świąteczne oglądało się w telewizji jako teatr w plenerze, jako coś, co bezpowrotnie odeszło, odtwarzane w otoczeniu dawnych chat w skansenie. A tu raptem słyszę, że wy do tego powracacie. Czy ta potrzeba jest autentyczna?

J. MUSIAŁ: — Ona jest w naszej chłopskiej krwi. A co do telewizji, muszę przyznać, że kiedyś nie było do pomyślenia, by tak długo u mnie w domu stał popsuty telewizor. Dziś stoi od pół roku głuchy i nikomu to nie przeszkadza. Czy to wynika z dzisiejszego nie najlepszego programu, czy z czegoś innego, tego do końca nie wiem. Faktem jest, że mój, ale nie tylko mój stosunek do telewizji zmienił się. A pamiętam jeszcze, że jako mały chłopak pół dnia przesiedziałem w kucki gapiąc się w mały obrazek. Pamiętam też, że kiedyś nie było do pomyślenia, aby ktokolwiek mógł podważyć coś, co było podawane w telewizji. Jak kto miał kłopoty w przekonywaniu kogoś do czegoś, to powoływał się na telewizję. Wystarczało. Ten czas należy już do minionego. I tak, po prawdzie, to mało kto się przejmuje i rzadko kogo to obchodzi, co tam telewizja pokazuje.

W. MUSIAŁ: — Faktycznie, pokazywano kiedyś kulturę wiejską jako coś, co już zanika, albo nawet już zniknęło. Było to nieprawdziwe. A poza tym kultura nie polega na tym, że trzeba ją oglądać, ale przede wszystkim w niej uczestniczyć. W przeciwnym razie to jest tylko „Cepelia". My chcemy nie tylko oglądać te kolorowe obrazki, ile w czymś autentycznie uczestniczyć, w czymś naszym. Może to nie będzie ani tak poprawne, ani tak kolorowe, jak na filmie, ale za to prawdziwe.

Kultura ludowa, zespół regionalny pokazywane w telewizji, to tylko informacje o strojach, piosenkach, tańcach. Trudno siedząc przed ekranem odczuwać prawdziwy związek z tym wszystkim.

— Rozumiem, że wracając przez formy umownie nazwane działalnością kulturalną, pragniecie odtwarzać nie tylko samą tradycję, ale głównie więzi, które wraz z jej spychaniem na margines gdzieś się także porwały?

W. MUSIAŁ: — W pewnym sensie tak, chociaż te więzi nie są aż tak porwane, ani nawet tak poluzowane, jakby się mogło wydawać. Po prostu w przeszłości nie było zbyt wielu okazji, dobrych warunków ani dla rozwoju, ani dokumentowania. One jednak były i wciąż są. A na dodatek dziś są warunki dla ich rozwoju, umacniania; warunki dla naszej działalności.

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Z drugiej strony kultywowanie zwyczaju uczestniczenia w kulturze, umacniania przez to więzi między ludźmi, to nic innego, jak proces integracji środowiska wiejskiego. Jest ono porożnione, jak wiele innych środowisk. Poprzez uczestniczenie w czymś wspólnym, a przy tym fajnym, ludzie czują się bliscy sobie i wzajemnie potrzebni, poznają się i lepiej rozumieją.

A. KŁĘBIK: — Pomaga temu odrodzenie się w grudniu 1980 roku ZMW. Chcemy nawiązywać do dobrych tradycji „wiciowych" oraz do wszystkiego co było najlepsze w ZSMW. ZSMP ze swoim programem oraz z przewagą w nim problemów młodzieży pracującej w fabrykach i instytucjach nie dotarł szerzej na wieś. Jedność całej młodzieży w ramach ZSMP była sztuczna. Bowiem inne życie, inny rodzaj pracy rodzą inne problemy i zainteresowania.

S. ŚWIERCZYŃSKI: — To prawda, ale nie stawiałbym tak ostro tezy, że dopiero pojawienie się ZMW na wsi odrodziło działalność kulturalną. Związek, zorganizowanie młodych ludzi, to dopiero element ułatwiający pracę kulturalną. Reszta zależy już w dużym stopniu od nich samych. To nie ZMW zrodził potrzebę życia kulturalnego na wsi. Organizacja ma ambicję próbować, tak jak potrafi, tę potrzebę zaspokoić.

A. KŁĘBIK: — Ale ZMW przyczynia się do pewnego ożywienia zarówno chęci, jak i samego ruchu kulturalnego, nie mając przy tym zbyt wielu partnerów na wsi. W ZSMP mówiło się głównie o problemach robotników, o sprawach miasta. Nie były nam te problemy zbyt bliskie.

W. MUSIAŁ: — Wbrew pozorom, w ZSMP na wsi nie było miejsca dla autentycznej aktywności, a to z tej racji, że prawie wszystko było z góry ustalone, zaprogramowane. Nie bardzo to pasowało do sytuacji na wsi.

J. MUSIAŁ: — Miasto nie jest nam obce. Mamy liczne naleciałości w sposobie bycia wyniesione z miasta. Wielu z naszych kolegów w mieście pracuje, uczy się. Dlatego mówienie o całkowitej odrębności byłoby nieprawdą... A z drugiej strony nawet w tych codziennych kontaktach istnieją między nami różnice, różnorodności.

Nie wszystkie różnorodności akceptujemy. Jest na przykład faktem, to widać, że do miasta jadą ze wsi kobiety na handel, ubrane prawie w łachy i prezentują tam ten nasz „folklor". A przecież do kościoła nie poszłaby tak ubrana. Nie wiem, może to taki strój handlowy. My jednak tego nie pochwalamy. To nie ma nic wspólnego z tym, o czym tu mówimy.

W. MUSIAŁ: — Kobieta na wsi tak się nie pokaże, bo ją ludzie wytkną. Niechlujstwo jest niemile widziane przez otoczenie. Wieś ma swoje reguły współżycia, ocaliła je, w przeciwieństwie do wielkich miejskich osiedli. Tu liczy się każdy i każdy jest powiązany z innymi. Wszystko to nie pozwala nam być obojętnymi na sprawy innych ludzi z bliższego i dalszego otoczenia; dbać tylko o siebie.

— Czy jednak ten brak anonimowości nie przeszkadza czasem, czy ta zależność od innych nie ciąży? Nie utrudnia postępowania bez oglądania się na innych?

J. MUSIAŁ: — Wprost przeciwnie. Wielu z tą anonimowością źle się czuje w mieście. Najwięcej mogą o tym powiedzieć nasi koledzy, co w mieście pracują i studiują. Ciągną do nas, przyjeżdżają z miasta do naszego klubu, do swojej wsi. Oni po prostu czują się tu lepiej.

— Brzmi to prawie idyllicznie. Stąd trudno mi uwierzyć...

J. MUSIAŁ: — Ja także pracowałem w mieście. Dziś mogę powiedzieć, że mógłbym pójść stąd gdzieś w obce strony, ale na wieś. Nie tęsknię ani za fabryką, ani za miastem.

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Uważam, że każdemu, kto urodził się na wsi i z niej wyszedł, zawsze będzie jej brakowało. Na wsi człowiek zawsze jest kimś, coś dla ludzi znaczy. Liczą się z nim.

J. MUSIAŁ: — Ale znam i inne postawy. Są dziewczęta, które mieszkają na wsi i to mieszkają, że pozazdrościć im tylko. Niczego im nie brakuje. A mimo to tęsknią za Łodzią, za mieszkaniem w osiedlu. Może i one kiedyś, kiedy już wyjadą do upragnionego miasta, zatęsknią za wsią.

— A więc jednak, są i tacy, którzy ze wsi uciekają. Ale są i tacy, którzy tu wracają. Skąd te resentymenty? Ile w tym tęsknoty, o której mówiliście, a ile kalkulacji?

W. MUSIAŁ: — Ze wsi uciekali w latach pięćdziesiątych i wcześniej. Ucieczka była spowodowana przeważnie warunkami bytowymi. Był to czas, kiedy na wsi, a szczególnie w rodzinach wielodzietnych, żyło się ciężko. I dziś wiele jest takich rodzin, którym żyje się tu trudno.

Resentymenty? To nie jest tak. Gdyby to był tylko resentyment, to wystarczyłaby jedna, dwie wizyty u rodziny. „Cepelia" w telewizji. Coś z dawnej muzyki, coś z dawnych strojów. A to przecież nie to i nie tak...

— A więc co? Sprawy ekonomiczne?

J. MUSIAŁ: — Nie. Na wsi nie zostaje się dla pieniędzy. Zresztą one wcale nie są takie wielkie, jak niektórzy sądzą. Nie zostaje się też dla roboty, jaka jest w gospodarstwie. Zostaje się tu i robi to, co robi się przede wszystkim dla siebie. Ja na przykład, lubię wieś. Kiedy spojrzę za siebie, na równe bruzdy zaoranego pola, to mam zadowolenie. Nie znam takich słów, którymi bym to wszystko mógł opisać. Tu, ja tylko siebie oceniam, ja sobą rządzę.

— Wróćmy do spraw kultury. Mówiliście, że przez tę działalność daje się ocalić to z tradycji, co waszym zdaniem ocalenia warte. Ale przecież pewne procesy na wsi już zaszły i zachodzą dalej. Wieś się zmieniła. Nie da się wszystkiego z przeszłości ocalić. Podobnie wydaje mi się, że nie można jedynie na tradycji — chociażby najpiękniejszej — budować więzi społecznych. Pozostaje więc otwarta sprawa: co dalej? jak dalej?

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Racja. Wszystko, w tym i wieś, i kultura, podlegają przemianom. Nigdy przecież też z tradycji nie będziemy czerpać wszystkiego, tak jak nie da się na co dzień chodzić w stroju ludowym. Współczesność stawia także swoje wymagania przed nami, przed ZMW. Musimy poszukać nowych form naszej obecności i aktywności na wsi. Wychodzimy z założenia, że koło powinno robić to, co rzeczywiście danemu środowisku odpowiada i jest potrzebne. W różnorodności leży klucz do autentyczności.

J. MUSIAŁ: — Zależy nam na tym, aby nie zamykać się jedynie w swoim kręgu, w kręgu rówieśników. Te współczesne formy działalności kulturalnej: spotkania, wspólnie obchodzone uroczystości, wieczorki — służą umacnianiu więzi między pokoleniami.

— Tak wam na dobrych stosunkach ze starszymi zależy? Dlaczego? Jaki macie w tym interes?

W. MUSIAŁ: — Takie pytanie to spłycenie problemu, wypaczenie jego sensu. Ale, powiedzmy otwarcie — uznanie, aprobata starszych dla nas i naszej działalności są nam pomocne i potrzebne. Może nawet bardziej zależy nam na tym, jak ocenią nas ludzie starsi niż rówieśnicy.

J. MUSIAŁ: — Z drugiej strony, dziękowanie nam za jakąś wspólną imprezę krępowało nas. Teraz, gdybyśmy o czymś tam w naszej pracy zapomnieli, pewnie starsi by nam wytknęli od razu. Pewne rzeczy stały się już nową tradycją. Do pewnych imprez, działań już wszyscy się we wsi przyzwyczaili.

— I to wam wystarcza?

J. MUSIAŁ: — Wystarcza? Wiadomo, jakie są kłopoty, kiedy młodzi wychodzą z czymś nowym, na jakie czasem trafiają opory ze strony starszych. Więc, kiedy już ich przychylność do czegoś tam lub za coś pozyskamy, to już dużo. Tó ważne.

S. ŚWIERCZYŃSKI: — Na wsi nie da się żyć jak dziwoląg czy samotnik, bez ludzi czy też wbrew nim. Do tego potrzeba nie wiem jak silnej osobowości. Na wsi wciąż mocną pozostaje presja środowiska. Nie można ustawić się bokiem ani do ludzi, ani do tradycji, ani do tego, co niesie dzień dzisiejszy. Takich wytyka się palcami.

W. MUSIAŁ: — Ale to, że ktoś się sprzeciwi innym, to jeszcze nie czyni go przegranym. Musi do siebie, do swoich racji przekonać. Jak pokaże, że po jego stronie słuszność, to wygra. Ale to nie może być robota dla pozorów, ani też zakładanie maski. Wszystko, co się robi, musi być konkretne, autentyczne i wartościowe. Trzeba wiele tradycyjnych elementów z życia zmieniać, jak na przykład strukturę gospodarstwa, ale i szereg z nich zachować, jak dajmy na to przysłowiowy „chłopski ołówek".

A. KŁĘBIK: — Trzeba więc selektywnie podchodzić do tradycji. Ona nie może krępować. Są nowe potrzeby. Chcemy, dajmy na to, mieszkać wygodnie, czysto, dobrze, nie luksusowo, ale lepiej niż nasi rodzice: lepiej żyć. A przy tym nie da się tak z dnia na dzień odciąć od tradycji. Dziedziczymy nie tylko konia czy maszynę, ale nawyki i umiejętności.

J. MUSIAŁ: — To nie jest tylko to, że rodzice będą przeszkadzali młodym w robieniu rewolucji na gospodarce. Liczy się presja całej wsi. Ludzie przyglądają się i oceniają. To przejście od wczoraj do dziś musi być spokojne, no i mądre. Zawsze coś trzeba zmienić, a coś tam zostawić. Do tradycji stale dodajemy coś od siebie. Podobnie w gospodarstwie, jak i kulturze.

Foto: M. Zajdler

Dyskusję prowadził i opracował:
KAROL JÓZEF STRYJSKI

Wigilia niepotrzebnych

EDWARD BRYL

Wrzuciła niedopałek do popielniczki. Jeszcze raz przeczytała ostatnią stronę. Spieszyła się, żeby skończyć to tłumaczenie. Wciąż miała nadzieję, że przyjedzie W pokoju było ciemno od dymu. Odpędziła od siebie złe myśli Wigilia przecież! Otworzyła okno. Płatki śniegu opadały wolniutko. Drzewa otulone w biel stały nieruchomo. Uparcie powracała jej przed oczy twarz syna. Nie tego barczystego, wiecznie zagonionego mężczyzny, ale uśmiechniętego chłopaczka, co to się jej spódnicy trzymał. W głowie kołatały się strzępy obrazków z radosnych rodzinnych świąt. Wyjęła z szafy najlepszą sukienkę, tę granatową z błękitnymi wypustkami i powiesiła. Niech się wywietrzy zapach naftaliny.

Kowalska machinalnie przesuwała paciorki różańca. Zawzięła się, powiedziała mu, że nie pojedzie. Woli zostać tutaj. Swój honor ma!

Syn, wpływowy lekarz aż z Koszalina, sprowadził ją do siebie. Była dobra i wnuki niańczyła. Gdy je odchowała, synowa miała ciągle pretensje do starej. Więc jej załatwił dom rencistów. Często płakała w swoim pokoju. Przed ludźmi głowę nosiła wysoko. Mówiła, jakie to ma dobre dziecko, przecież umieścił ją nie byle gdzie, ale w najlepszym domu w całej Polsce. I tak nie wierzyli, uśmiechali się. Wiedzieli, że tu różni „wielcy", nawet z Warszawy, przysyłali swoich rodziców, tylko, że na pogrzeb starej matki czy ojca żaden nigdy nie przyjechał, i w ogóle u nich nie bywali. Za to często przyjeżdżały delegacje, odbywały się konferencje — wiadomo, pokazowa placówka opieki społecznej. Zawsze dyskretnie, zza firanek podglądali gości. Lubili to.

W jadalni zestawiano stoły. W kącie świeciła olbrzymia choinka. Już pachniało wigilią. Mężczyźni znosili krzesła. Kolacja będzie na jedną turę, uroczyście. Krajewski, ten nowy, nieźle się prezentował w szarych spodniach i grubym swetrze. Wysoki, postawny, z włosami białymi jak mleko. Salowa Jadzia przyglądała mu się z ukosa. Niestary jeszcze, sześćdziesiąt trzy lata chyba, Rok temu przyjechał na stałe z Francji, do córki. Z dawna wspomagał ją materialnie. Chciał wrócić do kraju, osiąść przy rodzinie. Nie wyszło. Tylko z waluty go oskubali. Ale ponoć dysponuje jeszcze sporą gotówką. Podobał się jej. Szkoda, żeby chłopisko zmarnowało się wśród tych staruchów.

— Ludzie, chodźta — podniósł się przenikliwy krzyk. To Janowska zasłabła. Z góry zbiegła pielęgniarka. Chorą zanieśli na łóżko. Była nieprzytomna. Siostra Halina siedziała przy łóżku, czekała na pogotowie. Na stole stała maleńka choinka, leżały jakieś paczuszki, pluszowy misio. Pewnie mieli przyjść bliscy. Biedna, już ich chyba nie zobaczy, myślała oglądając źrenice staruszki. Była pewna, że to wylew. Lekarz potwierdził przypuszczenie. Kiedy wynosili Janowską, pielęgniarz zawadził o stolik. Spadły okulary i fotografia pyzatego wnuczka, oprawiona w drewnianą ramkę.

Przed drzwiami już się zgromadzili. Stali wyciągając szyje, żeby jak najdokładniej widzieć. Potem, kiedy Halina wracała do dyżurki, słyszała jak debatowali, komu przypadnie samodzielny pokój po Janowskiej. Hieny — stwierdziła. Było jasne, że Janowska tu już nie wróci.

Pani Miecia krzątała się żywo. Wyciągała z szafki resztki rodzinnego serwisu, talerzyki, filiżanki. Pachniało gałązkami jedliny, świeżo wypranymi firankami, pastą do podłogi. Na krześle wisiała biała, starannie wyprasowana bluzka. Chciała, aby wszystko wyglądało korzystnie Po kolacji przyjdzie Rogalski Posiedzą sobie przy kawie. Zagrają w karty. Jakieś winko się znajdzie, ciastka. Już z dawna baby szepcą po kątach, że mają się ku sobie. Kto wie, może co z tego w końcu wyjdzie, myślała pindrując się przed lustrem.

Później siedziała w kuchni przy szafie. Z otwartego tekturowego pudełka wyjmowała po kolei maleńkie niemowlęce koszulki, kaftaniki, butki. Przyglądała im się długo. Jak to by było dobrze teraz przy córce, niańczyłaby wnuki! Na co jej przyszło, na starość musi sobie szukać towarzysza wigilii, a przecież ma ją jedną, jedyną... Pewnie, że będzie mu opowiadać jaka to Marysia dobra, troskliwa, tyle że daleko...

Nagajski od tygodni nie opuszczał łóżka. Żona kolację przyniesie do pokoju. Zjedzą sobie przy choince, we dwoje Szczęście, że teraz to choróbsko go dopadło. Gdyby nie to małżeństwo, gniłby w domu dla przewlekle chorych Z wdzięcznością spoglądał na tęgą, zażywną, gładko uczesaną kobietę o smolistych oczach. Z upodobaniem klepnął ją w siedzenie, gdy przechodziła obok. — Leż spokojnie, niech ci głupoty nie idą do głowy, bo znowu wylądujesz w szpitalu, będzie tylko subiekcja, i tak kłopotu z tobą niemało — mruczała zagniewana Todzia.

Nie wyszło jej przecież tak jak chciała. Myślała, że ma pełną kiese, a on żył tylko z cienkiej renty magistrackiego urzędnika Sama ma niewiele. Musiała dorabiać to szyciem fartuszków, jasków, torebek, żeby wnuczce coś wetknąć w rękę, jak przyjdzie w odwiedziny. Teraz i na niego pracować trzeba. Zagraniczne leki, coś lepszego do jedzenia też kosztuje. Niepotrzebnie zgodziła się na to małżeństwo. Żałuje, zwłaszcza od czasu, gdy Krajewski pojawił się na horyzoncie. Mężczyzna jeszcze niczego sobie. Zauważyła, że na nią spogląda. Kręci się koło niego ta salowa Jadzia. Zresztą niech tam, nie może to mieć żadnego wpływu na jej los. Chyba żeby, spojrzała na Władzia, który zagłębił się w lekturze gazety. Co też przychodzi mi do głowy — zgromiła siebie za złe myśli i to w takie wielkie święto. Sięgnęła do szafki po wigilijny opłatek.

Pod szóstką Zosia siedziała na łóżku, dwie współlokatorki szykowały się do kolacji. Kiedy siostra Halina wchodziła z zastrzykiem, Jurkowa mówiła coś o wnuczce, ale zaraz zamilkła i wszystkie powitały ją radośnie.

— Dobrze, że siostrzyczka dziś z nami!

— Ale nie ma to, jak kobieta w święto przy rodzinie — westchnęła Bronia.

Halina lubiła ją, taka ludzka, ciepła. Czasem zwierzała się jej, męża i córkę straciła w Powstaniu Warszawskim, pokazywała zdjęcia. Ona jednak na prawie setkę pensjonariuszy nie miała żadnych bliskich.

— No, kochane, wesołych świąt — powiedziała w drzwiach, zwyczajnie, bez przekonania. Szła teraz pod piątkę, robić cewnikowanie Zaleskiej.

W holu pierwszego piętra kilka osób okupowało fotele. Płonęły światełka na sztucznej choince, w telewizji śpiewali kolędy. Wszyscy jednak interesowali się Marią, która solidnie podchmielona i kompletnie ubrana schodziła po schodach z paczkami. Halina zatarasowała jej drogę.

— Co, w więzieniu jestem, do dziecka już mi iść nie wolno — awanturowała się pijana kobieta, kiedy z salową, prawie siłą ciągnęły ją do pokoju.

— Kto jej znowu dał wódkę? — denerwowała się pielęgniarka. Widząc złośliwe uśmiechy, pogroziła palcem gapiom.

Z pokoju Skalskich dobiegały odgłosy kłótni.

— Nie będziesz chlał przed wigilią.

— Też się babsko do rządzenia rwie. Po cholerę ciebie brałem na stare lata, jędzo!

Halina wpadła i zarekwirowała przedmiot sprzeczki.

— My tylko tak — spoglądali na nią trochę zawstydzeni.

Była pewna, że zaraz po wyjściu żona oberwie solidnie, że bez pogotowia się nie obędzie. Powiedziała więc:

— W porządku. Po kolacji oddam, wypijecie na zgodę.

— Całuję rączki, siostrzyczko! — Skalski ruszył do niej. Szybko zamknęła drzwi, żeby nie zdążył się zbliżyć.

Dochodziła piąta. Michalakowa wiedziała, że po nią dziś przyjadą. Wigilii nie spędzi przecież wśród zupełnie obcych jej ludzi. Nie umrze tu przecież z tęsknoty, jak Urbańska, co to jeszcze w godzinę śmierci albumu z rodzinnymi fotografiami z ręki nie wypuszczała.

Dobrowolnie oddała swój pokój wnuczce, która właśnie wyszła za mąż. Jej pobyt tutaj to kwestia paru miesięcy. Młodzi niedługo dostaną własne mieszkanie. Czuła się lepsza od tej całej reszty. Stała teraz z nosem przyklejonym do szyby. Niecierpliwiła się. Dlaczego jeszcze ich nie ma? Nawet nie słyszała dzwonka na kolację. Dopiero salowa musiała jej powiedzieć, że czas do stołu.

Wychodzili. Szelestem spódnic, człapaniem kapci, stukotem lasek, szczelnie wypełnili ciszę korytarzy. Pachniało tanimi perfumami, naftaliną. Jadalnia oświetlona rzęsiście. Na białych obrusach świerkowe gałązki. Choinka migoce wesoło. Salowe uwijają się z dymiącymi półmiskami. Czego tu dziś nie będzie? Czerwony barszczyk z uszkami, karp w galarecie, kapusta z grochem, makiełki, ciasto, kompot z suszu — zupełnie jak w domu. Przewodniczący samorządu, Sobierajski, wstał, zadzwonił widelcem w talerz i chrząknął:

— Jesteśmy tu jak wielka rodzina — zaczął. — Łamię się ze wszystkimi opłatkiem, życzę zdrowia, zgody, zwłaszcza w damskich pokojach.

— I żebyśta się o chłopów nie biły — zapiszczała cienko babcia Jedlińska. Śmiech poszedł po sali. Rajska i Ziółkowska zmierzyły się wzrokiem. Bukowski udawał, że nic nie słyszał i spokojnie żuł piegór z kapustą. Przewodniczący wyjął kartkę i chciał mówić dalej, ale właśnie wniesiono kosze z upominkami. Dyrektor przebrany za Mikołaja wręczał każdemu paczuszkę, życzył wesołych świąt. Zrobiło się trochę zamieszania. Bronia zamiast skarpet chciała pończochy, pan Wacław — szalik, Kopkowa wołała o drugą porcję kapusty z grochem. Todzia trzeci raz obracała z garnkami do pokoju. Wtedy otwarły się drzwi wejściowe. Jasnowłosa dziewczyna w kożuszku dłużej wycierała wysokie buciki. Kędzierzawy chłopak w czerwonym swetrze ruszył do przodu. Michalakowa zostawiła łyżkę w talerzu i potykając się o nogi rozstawionych krzeseł szła na spotkanie. Ścigały ją zazdrośnie dziesiątki par oczu. Salowa z wyrzutem patrzała, jak z butów chłopaka odpadał śnieg i zmieniał się na dywanie w mokre, brudne plamy.

Kiedy cała trójka zniknęła z pola widzenia, wszyscy pochylili się głębiej nad talerzami.

Dopiero donośny warkot zapuszczanego silnika samochodu przeciął ciszę. Jakby czekając na ten sygnał szewc Morawski sięgnął po organki. Popłynęła kolęda.

Na górze, pod piątką, Zaleska skończyła oblizywać ości wigilijnego karpia i z niesmakiem spoglądała, jak przez rurkę spływał mocz do szklanego naczynia. Pod szesnastką pani Maria mocno spała. Na stole leżało nikomu niepotrzebne tłumaczenie i gwiazdkowy prezent — wełniane pończochy. Przez uchylone okno wpadło parę płatków śniegu i szybko stopniało na parapecie.

Tak samo, choć trochę inaczej

Wigilia Bożego Narodzenia należy niewątpliwie do najpiękniejszych obrzędów, obchodzonych w Polsce. Co prawda jest to święto wszystkich chrześcijan, w naszym kraju nabrało jednak tak wielu cech specyficznych, że możemy uważać ja za rdzennie polski obyczaj.

Sama nazwa wywodzi się od łacińskiego „vigilias", oznaczającego nocne czuwanie wart rzymskich. We wczesnym okresie chrześcijaństwa określano w ten sposób nocne nabożeństwa odbywające się przed ważniejszymi uroczystościami kościelnymi, a obecnie — dzień poprzedzający święta kościelne, połączony z obowiązkiem postu. W Kościele katolickim, a zwłaszcza w Polsce, najbardziej uroczyście obchodzi się właśnie wigilię przed Bożym Narodzeniem Mimo że jesteśmy krajem jednolitym narodowościowo i nie największym terytorialnie — obyczaje wigilijne w poszczególnych dzielnicach Polski różnią się dość znacznie, choć istnieją tu elementy wspólne, występujące we wszystkich regionach. Należy do nich zaliczyć zachowanie postu, zdobienie choinki, uroczysta wieczerza, w czasie której podaje się specjalny zestaw potraw (w tym względzie występują największe chyba różnice międzydzielnicowe), śpiewanie kolęd, składanie sobie podarków.

Wigilia Bożego Narodzenia na Śląsku jest przede wszystkim uroczystością rodzinną. Nie ma zwyczaju wzajemnego odwiedzania się w tym dniu. Istnieje nawet przesąd, że jeśli w trakcie wieczerzy do mieszkania wejdzie ktoś obcy, to jeden z członków rodziny umrze w nadchodzącym roku. Zastawiając stół kładzie się co prawda jedno dodatkowe nakrycie, przeznaczone „dla biednego", jeśli jednak nie chce on uchybić dobrym obyczajom i sprowadzić nieszczęścia na gospodarzy, powinien przyjść dopiero po skończonej wieczerzy.

Przez cały dzień wigilijny obowiązuje ścisły post. Jedynie rano wypija się kieliszek wódki, aby przez cały następny rok zachować dobre zdrowie. Następnie gospodyni z córkami przystępują do pieczenia kołacza, ojciec rodziny natomiast zajmuje się w tym czasie przygotowaniem choinki. Kołacze podaje się na Śląsku także z okazji innych uroczystości, wigilijny pokryty jest jednak grubą warstwą maku i posypki (kruszonek). Gdy kołacze są gotowe — przyrządza się inne potrawy. Ich zestaw jest bardzo tradycyjny i przestrzegany do dnia dzisiejszego, nie tylko na wsi, ale również i w miastach przez te rodziny, które z różnych powodów zrezygnowały z innych elementów tradycyjnej obrzędowości. Jadłospis musi obejmować 9 potraw — „po kąsku ze wszystkiego", a wśród nich przede wszystkim makówkę, spożywaną tylko tego dnia Przygotowane wcześniej słodkie strucle kroi się na kawałki i zalewa makiem, sparzonym mlekiem z cukrem lub miodem niekiedy z dodatkiem bakalii. Następnie makówkę wystawia się do piwnicy, aby dobrze zastygła. Potem podaje się smażoną lub gotowaną rybę, koniecznie śledzia ze słodkim sosem, przygotowanym z pokruszonego, rozgotowanego pierników, zwanym mołoką i zupę. Do wyboru jest kilka zup: grochowa, grzybowa, żur przygotowany z żytniej mąki, na zaczynie chlebowym. Najczęściej jednak jest to biernuszka — zupa z chleba, przeważnie razowego, gotowanego w wodzie z suszonymi śliwkami i gruszkami. Kolejne potrawy — to kapusta z grochem, ziemniaki z maślanką, czasem także jagły gotowane „na duckę" (na gęsto). Na deser — pierniki, pieczone z dodatkiem serwatki gotowanej z cukrem lub syropu z buraków cukrowych oraz piecourki czyli suszone owoce oraz kołacze.

Przygotowanie potraw wigilijnych zajmuje wiele czasu, gospodyni musi jednak tak zorganizować zajęcia, aby zdążyć do godziny czwartej. W tym czasie gospodarz ubiera choinkę Odbywa się to przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach i jest czynnością należącą wyłącznie do głowy rodziny, w której dzieci uczestniczyć nie mogą. Pod choinką układa się podarki „od dzieciątka". Popularny w centralnej Polsce Święty Mikołaj odwiedza natomiast dzieci wcześniej, 6 grudnia, w dzień swoich imienin.

Około godziny czwartej zastawia się stół. Moment ten obwieszczają, oprócz pierwszej gwiazdy, także wystrzały z przygotowanych przez młodzież puszek z karbidem lub innych, wykonanych własnym przemysłem samopałów Pod stołem umieszcza się snop zboża i wiązkę siana, na stole natomiast — wszystkie przewidziane na wieczerzę potrawy. W czasie jedzenia nie wolno bowiem nikomu oddalać się od stołu, gdyż oznaczałoby to niepomyślną wróżbę na przyszłość. Podobnie jak w całej Polsce — przed rozpoczęciem kolacji rodzina dzieli się opłatkiem Rozpoczyna to ojciec, który podchodzi kolejno do wszystkich domowników. Odbywa się to w ciszy i skupieniu. Nie ma zwyczaju składania sobie przy tej okazji życzeń. Całą wieczerzę spożywa się w skupieniu i z namaszczeniem, prawie nie rozmawiając. Jeśli warunki mieszkaniowe na to pozwalają — stół zastawia się w innym, nie tym gdzie znajduje się choinka, pomieszczeniu.

Po skończeniu jedzenia — zmienia się także nastrój, zaczyna się radosna, szczególnie atrakcyjna dla dzieci część wigilii. Cała rodzina przechodzi do pokoju z choinką, ojciec zapala świeczki, dzieci i dorośli szukają pod drzewkiem przygotowanych dla nich paczek. Należy je koniecznie otworzyć i wyrazić radość z prezentów Zawartość paczek jest różna, zależna od upodobań i zamożności rodziny. Obok innych upominków znajdują się w nich jednak zawsze piernikowe, cukrowane „mikołaje" Potem gospodyni sprząta stół wręcza resztki potraw, siano i słomę gospodarzowi, który zanosi je bydłu oraz wiechciami ze słomy obwiązuje drzewa owocowe, aby lepiej obrodziły. Potem wokół choinki zasiada cała rodzina. Przez kilka godzin trwa śpiewanie kolęd, opowieści o dawnych czasach, a także — wróżby, popularne zwłaszcza w domach, gdzie są panny na wydaniu. Przed północą dzieci kładzie się spać, a dorośli udają się na pasterkę, która kończy wigilijne obrzędy.

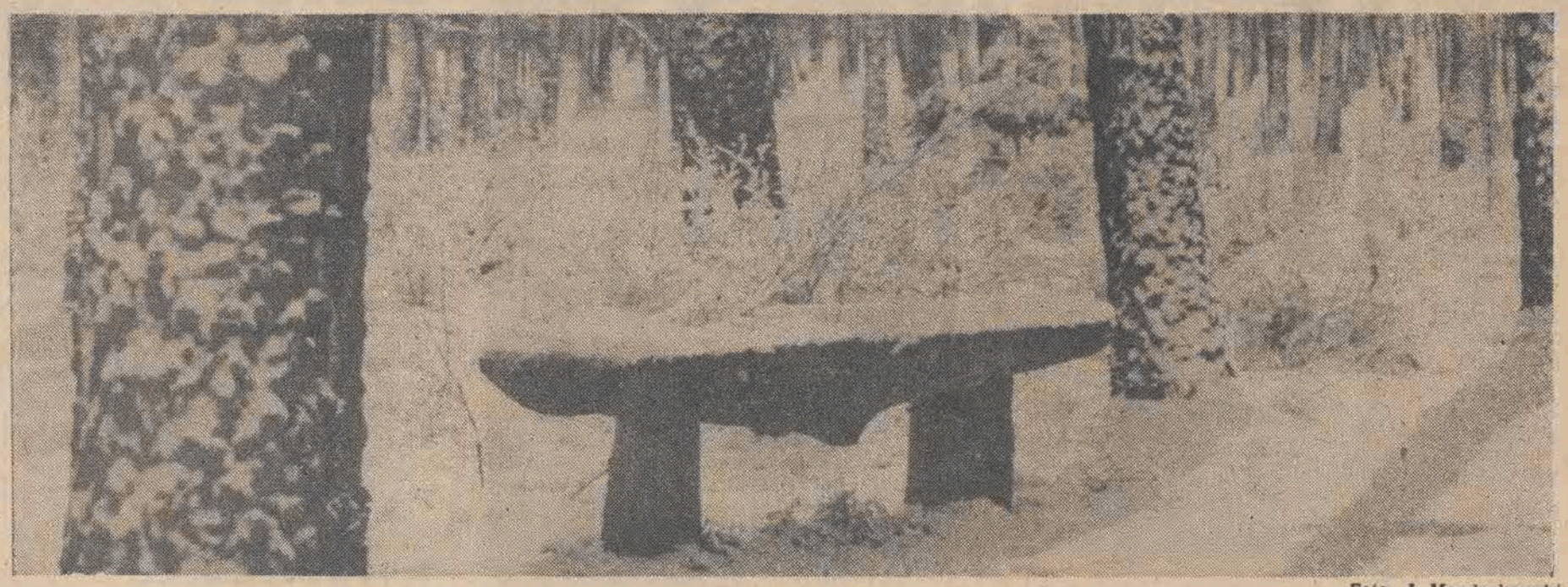

Foto: J. Mendychowski

T. JERZYKOWSKA

KRZYSZTOF KRUBSKI

Tamtego lata w Zakopanem

Codzienie wyjeżdżają z Łodzi do Zakopanego dwa pociągi. Osobowy z Olsztyna przyjeżdża wcześnie rano na Kaliską prawie pusty i stąd rusza dalej na południe. Pośpieszny podstawiany jest koło piątej po południu na Fabrycznym. Skład olsztyński dociera do Zakopanego pod wieczór, pośpieszny zaś przed piątą rano. Są to chyba dwa najbardziej brudne pociągi ze wszystkich, które w Zakopanem kończą bieg. Pośpieszny zwykł prowadzić, jak to mówią kolejarze, kilka wagonów bez przedziałów, takich, jakimi można bez udręki podróżować najdalej do stolicy. Jedenaście godzin jazdy w tych wagonach może zmóc najsilniejszego, ale kolej wychodzi z założenia, że dziś już do Zakopanego słabi i zgorączkowani gruźlicy nie jeżdżą.

Te dwa pociągi, to mniej więcej 16 wagonów, każdy wagon to 10 przedziałów, zaś w każdym z nich siedzi ośmioro spragnionych wypoczynku mieszczuchów. Chwila obliczeń daje liczbę 1280 osób, które codziennie mogą przyjechać z Łodzi do Zakopanego. Zakładamy, że podróż ta, choć w wagonach bez przedziałów, odbywa się jednak luksusowo, co według standardów naszej PKP znaczy, że wszyscy mają miejsca siedzące. Nikt nie podróżuje na stojąco, a przejścia wzdłuż wagonów służą tylko jako droga do toalety, bo o „Warsie" oczywiście mowy nie ma. Jeśli teraz tę jednodniową dawkę łodzian pomnożymy przez ilość dni w miesiącu, otrzymamy liczbę oscylującą wokół 38 i pół tysiąca ludzi.

Zakładając podział pór roku nie według kalendarza, a norm FWP, do lata zaliczymy czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Jeżeli miesięczną dawkę łodzian pomnożyć przez te cztery miesiące, „urlopowy wsad pociągowy" Łodzi wyniesie około 150 tysięcy ludzi. A gdzie codzienny autobus dalekobieżny PKS, gdzie autokary zakładowe i wycieczkowe, gdzie prywatne samochody, gdzie autostop? Nie chodzi tu oczywiście o to, by przekonać czytelnika, że cała Łódź wyjeżdża corocznie do Zakopanego, lecz o to, by pokazać skalę zjawiska.

Jeśli już bawimy się w statystykę, czyńmy to konsekwentnie. Otóż mimo, iż pociągi zwykle są pełne, autobusowy bilet trzeba rezerwować na dwa tygodnie wcześniej, a samochodów prywatnych z rejestracją rozpoczynającą się od liter LD widzi się w Zakopanem dużo, obetnijmy z naszej liczby końcowej jedną trzecią. Mogliśmy gdzieś przesadzić, a w ogóle ze statystyką trzeba ostrożnie. Mamy więc w efekcie sto tysięcy ludzi. Te sto tysięcy osób, które tylko w sezonie letnim przybywają do Zakopanego, z jednego dużego miasta Polski daje pojęcie o natężeniu ruchu turystycznego, szczególnie, jeśli porównamy je z wyliczeniem Jalu Kurka dotyczącym roku 1934: *„Tego roku przybyło do Zakopanego ponad 100 tysięcy gości"*. Oczywiście z całego kraju.

CO CZEKA PRZYJEZDNYCH!

Pierwszym problemem jest mieszkanie. Wolni od tego są tylko ci, którzy przyjeżdżają na wczasy. Według spisu, zamieszczonego w tegorocznym wydaniu planu Zakopanego, miasto dysponuje 148 domami wczasowymi, które z reguły są całkowicie zapełnione. Jeśli przyjeżdżający nie ma skierowania na wczasy, pozostaje mu inna możliwość — kwatera prywatna.

W biurze wynajmu tych kwater Przedsiębiorstwa Turystycznego „Tatry" jest zarejestrowanych ich kilkaset. Ilu one przyjmują turystów, tego dokładnie nie można stwierdzić. Jeśli bowiem hotele prowadzą rejestry gości, a skierowania na wczasy można policzyć, to z kwaterami prywatnymi jest inaczej. Dość powszechnie bowiem praktykuje się zwyczaj niemeldowania części gości. Oczywiście nie wszystkich, bo wtedy byłoby to zbyt łatwe do wykrycia. Jakie są z tego procederu korzyści? Mniej zameldowanych gości oznacza mniejszy podatek. Przyjezdnemu jest wszystko jedno. Nie ma to bowiem żadnego wpływu ani na pobieraną od niego opłatę, ani też na posiadane przez niego „na kwaterze" swobody. A z tymi jest bardzo różnie.

Przeważa typ gospodarzy, którzy bardzo skrupulatnie określają zakres praw i obowiązków gościa. Restrykcje dotyczą ilości zużywanej ciepłej wody, możliwości korzystania z lodówki do przechowywania żywności, niektórzy za dostęp do lodówki biorą 5 zł za każdy dzień pobytu. Określa się godziny powrotu do domu, ilości zapraszanych gości, a nawet możliwości zaparzenia sobie herbaty. Ideałem gościa — niestety nierealnym — byłby turysta, który wstaje rano, nie myje się, wychodzi, wraca dopiero wczesnym wieczorem, nie je kolacji, nie pierze, nie przyjmuje żadnych wizyt, czyta książkę przy oknie, by oszczędzić prąd i koło dziesiątej kładzie się spać.

Pierwszy kontakt z gospodarzem i jego mieszkaniem onieśmiela przybysza. Uświadamia mu też jego rzeczywiste możliwości. Gospodarz pokazuje mu klucz od drzwi wejściowych, każąc każdorazowo przy wejściu i wyjściu zamykać i grożąc najsurowszymi karami w razie jego zagubienia. Potem prowadzi gościa korytarzem, który pokrywa nie kończące się pasmo burej tkaniny, z pretensjami do nazwy chodnika. W pokoju, którego ściany pokryte są gustownym srebrnym wałeczkiem, prezentuje mu szafę, stolik i wersalkę na wysoki połysk, zwracając uwagę na znaczną wartość tych mebli i przestrzegając przed ich zniszczeniem. Gość sam już spostrzega żarówkę o mocy 40 wat w żyrandolu, dwa lub trzy zwykle nieczynne kinkiety, i najczęściej zamurowane ślady w ścianie po gniazdkach elektrycznych. Gość jest uważnie taksowany. Jego wygląd, ubranie, ilość i jakość waliz, które przywiózł, uległość w rozmowie, ilość uśmiechów, którymi wita słowa właścicielki, że „pokój jest właściwie wynajęty, ale jeszcze nie potwierdziłam rezerwacji, więc ewentualnie..." Wszystko to ma jeden cel — ustalenie ceny.

W tym roku w Zakopanem łóżko w domku, wyposażonym w urządzenia przeciętnego bloku mieszkalnego, kosztowało za dobę 200 250 zł. Targujący się mogli obniżyć cenę jedynie o 50 zł.

Tym, którzy nie mają ani wczasów, ani pieniędzy na oficjalną kwaterę prywatną, pozostaje wynajęcie pokoju na dziko. I to jest właśnie ten rodzaj kwater, który ostatecznie podważa całą statystykę gości zakopiańskich. Nad tą gałęzią gospodarki góralskiej nikt bowiem nie tylko nie panuje, ale nawet nie ma zbyt wielkiego pojęcia, ilu gości w ten sposób przewija się przez miasto i najbliższe okolice.

W tej dziedzinie panuje zupełna dowolność. Z jednej strony — spotykamy takie pokoje, jak na Krzeptówkach, bez bieżącej wody, z ustępem, wysychającą studnią i góralką, która nie pozwala nic ugotować na kuchni i każe sobie płacić po 180 zł za dobę od łóżka. I co najciekawsze, dostają tyle. Słusznie więc pisał 56 lat temu Tadeusz Radliński, że *„jedyne to wysokogórskie letnisko polskie słynie z braku wszelkich cywilizacyjnych urządzeń i niesłychanego wyzysku nad turystami przepełniającymi je w lecie i w zimie, dokonywanego przez zdemoralizowaną powodzeniem ludność góralską"*.

Z drugiej zaś strony — zdarzają się chałupy, szczególnie w okolicach Zakopanego, gdzie do gospodarzy mówi się: gazdo, gaździno i nie brzmi to śmiesznie, gdzie można wspólnie z nimi ugotować obiad, pożyczając sobie nawzajem a to sól, a to parę gruli (czyli ziemniaków), gdzie miesięczny pobyt w dwu- czy trzyosobowym pokoju kosztuje wszystkich lokatorów w sumie 5 tysięcy złotych.

Tegoroczne ceny mieszkań w Zakopanem były rekordowe, a mimo tego takich tłumów, jakie widziało się w sierpniu, nie było tu od bogatych czasów połowy lat siedemdziesiątych.

TŁOK W GÓRACH

Zacytujmy jeszcze raz Jalu Kurka, który już w latach 30 twierdził, że statystyka ofcjalna notuje tylko połowę gości zakopiańskich. A z tej połowy *„tylko połowa — czyli ćwiartka ogólnej frekwencji — wyszła poza obręb miasta, reszta zadowoliła się smakiem, to znaczy oglądem kamiennego świata z pobliskiej oddali. A z tej ćwiartki — również połowa, to znaczy jedna ósma część całości, znalazła się jedynie na obrzeżach w granicach regla, reszta utkwiła w domach, kawiarniach, knajpach. Z obliczenia wynika, że na sto tysięcy przyjezdnych do Zakopanego w ciągu roku niecałe 7 proc. turystów znalazło się w głębi gór"*.

Niestety, od tych czasów wiele się zmieniło. Częste autobusy PKS do Morskiego Oka i dolin tatrzańskich, wycieczki z domów wczasowych i prywatne wyprawy samochodami sprawiły, że turystyka górska stała się tak stadna, jak turystyka na warszawskiej Starówce. Do tłumów na Krupówkach, gdzie trudniej jest przejść niż Nowym Światem, do tłoku w restauracjach i barach, kolejek nie tylko po mięso, ale po owoce, już dawno się przyzwyczailiśmy. Kolejki do kolejek — na Gubałówkę i Kasprowy — są już nieledwie przysłowiowe.

Ale to, co dzieje się na górskich szlakach, jeszcze trochę dziwi. By regułom paradoksu stało się zadość, najludniej jest tam, gdzie powinno być najpuściej, a mianowicie na trasach turystycznie najtrudniejszych. Chodzi o trasy, których odcinki są tak trudne, że zwykły turysta nie mógłby ich przejść bez sztucznych ułatwień — metalowych klamer, drabinek i łańcuchów.

W pochmurny dzień, nie zachęcający do dłuższych wycieczek, późnym przedpołudniem, a więc, gdy główny tłum już przeszedł, stojąc nad Czarnym Stawem zobaczyć można sznureczek ludzi ciągnących w górę. Idą pojedyńczo, małymi grupkami, wycieczki wyciągają się w długi rządek. Trochę wyżej, nad Zmarzłym Stawem, siedzi kilkadziesiąt osób. Od pierwszego odcinka łańcuchów równomiernie rozłożony dotąd sznureczek kolorowych mrówek — bo tak mniej więcej wyglądają wspinający się ludzie, gdy patrzy się na nich z dołu Zawratowego Żlebu — zaczyna się rwać i zawiązywać w supełki. W miarę nabierania wysokości proces ten się potęguje.

Po pół godzinie wspinaczki dochodzi do następującej sytuacji: u dołu kolejnego odcinka łańcuchów stoją 2—3 osoby. Chcą iść w górę, ale najpierw postanawiają przepuścić tych, którzy schodzą. Schodzić po łańcuchach jest trudniej, niż wspinać się po nich w górę. Tak więc ci na dole chcą pomóc tym na górze. Czekają, ale po paru chwilach zaczynają się niecierpliwić. Już myślą, że to ostatni schodzący, a tu nagle widać but następnego. Do tych pod łańcuchami dołączają już inni. Niecierpliwi chcą iść zaraz w górę. Nie bardzo jest to możliwe, bo metalowy łańcuch utrudnia mijankę. Stoją więc wszyscy. Tłumek rośnie. Gdy zbierze się 10 osób, zaczyna się pohukiwanie na schodzących, by przepuścili tych z dołu. W zasięgu wzroku i złego słowa jest tylko ostatni schodzący i na niego spada lawina kąśliwych uwag i poleceń. Jeśli jest inteligentny i ma odwagę jeszcze myśleć o czymś oprócz tego, gdzie postawić nogę, rezolutnie odpowiada, że on jest już właściwe na dole i nie ma żadnego wpływu na to, czy ktoś z góry znów nie zacznie schodzić. Tę rację trzeba uznać i wówczas grupka z dołu zaczyna tak głośno pohukiwać, by usłyszeli ją ci u góry łańcucha. I albo dowcipem, albo groźbą uzyskuje się rzecz wymarzoną: ci z góry przestają schodzić i wówczas ci z dołu mogą zacząć wchodzić. W tym czasie w górnym końcu łańcucha gromadzi się grupka chętnych do schodzenia i za moment cała zabawa rozpoczyna się od nowa. Ale teraz już grupą inicjatywną są ci u góry. Im bliżej przełęczy, tym sztucznych ułatwień więcej, korków więcej, ludzie bardziej męczeni i przez to bardziej agresywni.

Charakterystyczne są zachowania turystów. Większość idzie z głową opuszczoną i wzrokiem wbitym w punkt odległy o pół metra od czubka butów. Pewnie dlatego, że trzeba bacznie obserwować drogę, a i zmęczenie daje się powoli we znaki. W miarę upływu czasu coraz bardziej zaczyna dokuczać obecność ludzi. Coraz bardziej mamy dość słuchanych uwag, nawet jeśli nie są głupie czy banalne. Coraz bardziej chcemy być sami, coraz bardziej opuszczamy głowę, by nie widzieć rzeczy oczywistej — turystyka w Tatrach przestała już być nie tylko samotną przygodą z górami, ale nawet prywatną wędrówką po szlakach. A przecież o drodze na Zawrat pisał w „Na przełęczy" Stanisław Witkiewicz: *„Ledwie dostrzegalny ślad perci prowadzi po złomach skał zwietrzałych w górę. Przed nami wstają okropne, potargane, czarne, olbrzymie, gdzieś na niebo zachodzące ściany turni. Za nami, w dole leży Staw Czarny, okolony poszarpanymi skałami (...) Wrażenie, które się tu odbiera, wywołuje wspomnienia jakiejś muzyki, kołyszącej umysł na przemian dwoma różnymi motywami melodii"*.

W SCHRONISKU

A potem szklanka gorącej herbaty w schronisku. Sale jadalne w tatrzańskich schroniskach przypominają wnętrze łódzkiego „Balatonu" między trzecią a czwartą po południu. Przy stołach mrowie ludzi, którzy siedzą, obok nich dwie kolejki tych, którzy stoją. Jedni stoją po bon, drudzy czekają na zamianę bonu na posiłek lub napój.

W 1982 roku zniszczono tradycję, która trwała w górach od czasów, kiedy zbudowano pierwsze schronisko. Do tego czasu turysta mógł zawsze liczyć na bezpłatny wrzątek. To w górach rzecz ważna, nawet bardzo ważna. Do herbaty, do kawy, do pokrzepienia w mroźny, deszczowy czy upalny dzień. Teraz za wrzątek trzeba płacić. I nie chodzi tylko o pieniądze, choć opłaty nie są wcale symboliczne. Chodzi o przełamanie kolejnej już bariery w komercjalizacji gór, podeptanie rytuału, który jak każdy rytuał znaczył coś więcej niż tylko oszczędność pieniędzy, odsyłał do pewnych wartości, pewnych rzeczy drobnych, ale ważnych. Wytłumaczenie, prezentowane przez administrację schronisk, jest banalne i nie do podważenia. Reforma, samofinansowanie, konieczność zarabiania na wszystkim, na czym tylko można, a także minimalizacja strat.

Kierownik „Murowańca" na Hali Gąsienicowej odczuwa tylko niektóre skutki reformy. Wie, że musi zarabiać, ale wie też, że nic się w jego możliwościach nie zmieniło. Nadal pensje, jakie można płacić personelowi kuchennemu są dwu- lub trzykrotnie niższe niż sumy, które ci ludzie mogliby w każdej chwili otrzymać w górniczym domu wczasowym. Nadal za pracę w schronisku wśród gór i telepanie się co dzień rano i wieczorem gazikiem Doliną Suchej Wody lub włażenie przez Boczań może dać im dodatek w wysokości 400 zł miesięcznie. Nic dziwnego, że już od dawna zaniechał egzekwowania zbyt wysokich wymagań od pracujących tu ludzi, że nie sprawdza czasami, czy nowo zatrudnieni mają karty zdrowia w porządku. Bo jeśli się okaże, że nie mają, to nie mógłby ich przyjąć, a kto wtedy będzie tu pracował? Czasy, kiedy w schronisku można było zjeść kotlet górski czy befsztyk, minęły i to chyba bezpowrotnie. W menu schroniskowym widnieje dziś tylko jajecznica i kasza z tłuszczem.

— Jak tak dalej pójdzie — odgraża się, gdy już odchodzimy — to w schronisku będzie tylko herbata, i to bez cukru.

BĘDZIE ZAKOPANE, ALE INNE

Pisał Jalu Kurek: *„Góry te rozpościerają się potężnie w umyśle polskiego człowieka poprzez rozległą skalę doznań, poglądów, wzruszeń, przeżyć. Ich sens odczytywany jest nie tylko na zasadzie penetracji fizycznej albo informacji, one rzutują na dzieje poznania, na kulturę, na życie społeczne. Kilka pokoleń polskich żyje pod nieustannym ciśnieniem tego niewielkiego skrawka krajobrazu"*.

I następne pokolenia będą żyły nadal. Wszystko wskazuje nawet na to, że coraz większa część owych przyszłych pokoleń będzie mogła dać się zarazić bakcylem gór.

Najbardziej bowiem charakterystycznym i częstym widokiem, jaki można zobaczyć w Zakopanem, jest budująca się nowa chałupa. W którą stronę by się nie poszło: czy przez Skibówki i Krzeptówki do Kościeliska, czy na stoki Gubałówki i Antałówki, czy przez Ustup do Poronina, a dalej przez Kośne Hamry, Majerczykówkę i Stasikówkę do Bukowiny, czy przez Bystre i Jaszczurówkę w kierunku Cyrhli, wszędzie, obok co drugiej starej chałupy rośnie nowy dom.

Nawet niebrzydki, zwykle z cegły, choć czasem trafi się i drewno, zgrabnie zaprojektowany, zachowujący najbardziej charakterystyczny element tutejszego stylu — spadzisty dach. Ale nie można tego nazwać chałupą, jest to po prostu dom. Choćby dlatego, że oprócz parteru i piętra ma jeszcze zwykle, chytrze umieszczone między płatami spadzistego dachu, dwa piętra z pokojami gościnnymi. W sumie daje to cztery kondygnacje, a nawet pięć, bo coraz więcej nowych domów posiada jeszcze coś, co można by nazwać wysoką piwnicą. Jest to parę pomieszczeń, których okna co prawda zaczynają się nad ziemią, ale podłoga jest już niżej poziomu gruntu. W szczycie sezonu, gdy ludzie szturmują w poszukiwaniu wolnego kąta, wynajmuje się i te pomieszczenia. Dlatego owych użytkowych kondygnacji jest właściwie pięć. A niecałe sto lat temu wielkim przewrotem w podtatrzańskiej architekturze było dobudowywanie do parterowej chałupy tak zwanej „wyżki", czyli jednego lub dwóch pokojów na piętrze, dla gości z miasta.

Spoglądając na rozbudowę okolic już wymienionych i na to, co się dzieje w samym Zakopanem, w Murzasichlu, Małym Cichem, Kościelisku — dochodzi się do nieuchronnego wniosku: za dwa-trzy lata przyjedzie tu dwa razy tyle turystów, ilu przyjechało w tym roku. Koleją, autobusami, samochodami ściągną tu takie rzesze ludzi, jakich to miasto jeszcze nie widziało. W nowych chałupach znajdą przygotowane dla nich nowe pokoje. To nic, że brakuje stolarki okiennej, rur, osprzętu elektrycznego, kabli, mebli i stu innych rzeczy. Sprytny, zręczny, zasobny w złotówki i dolary ludek góralski wszystkie te deficytowe materiały sobie załatwi. I pokoje będą. To nic, że w sezonie — a chyba tylko listopad jest jedynym posezonowym miesiącem — chleb na sobotę i niedzielę trzeba kupować w czwartek, że kolejki przed sklepami nie są krótsze niż w największych miastach kraju, że autobusy pękają w miejscach, gdzie drzwi są przymocowane do nadwozia, że w górach łatwiej o porządną puszkę niż o pół godziny samotnej wędrówki, a w schroniskach o pocztówkę niż o herbatę.

Do tego szturmu dojdzie, bo musi dojść i nic nie jest w stanie go zatrzymać. Żadne bowiem, jak uczy historia tego dziwnego miasta, sztuczne ograniczenia rozwoju nigdy tu nie skutkowały. Ani łagodna perswazja i apele profesorów i pisarzy. Za kilka lat przybędzie do Zakopanego dwa razy więcej ludzi, niż przyjechało dotąd. Ale Zakopane i ten nowy szturm zniesie. Będzie tylko więcej bałaganu. Sytuacja się jednak ustabilizuje. Tylko już jakby na innym poziomie. Będzie to znów Zakopane, tylko inne Zakopane. I trochę inne góry.

„Koliba" Pierwsza willa w [illegible] projektu Stanisława Witkiewicza w stylu zakopiańskim w 1982 r. Fot. M. Zaguer

O gwiazdach na „gwiazdkę”

Dokończenie ze strony 1

służy jej za sypialnię, salon, biuro...

Wita mnie serdecznie, ale z pewną nieufnością, jednocześnie zagląda do torby, kontrolując prawdopodobnie czy nie mam w niej magnetofonu, czego nie lubi.

Ma wspaniałą figurę młodej kobiety, rudawe włosy równo podcięte, o jej sędziwym wieku zdają się mówić tylko oczy, jakby załzawione, przymglone, starcze.

— Napijmy się wina, tak trudno teraz o dobre wino. Proszę niech mnie pan zapozna z całym scenariuszem wywiadu, ze wszystkimi pytaniami. Później się zastanowimy — co może pójść, a co nie.

— Pani Nino, proponuję zacząć rozmowę od pytania — stwierdzenia: jak tu u Pani pięknie, bogato. Jakie wspaniałe płótna mistrzów, obrazy z „Desy”, jaki cudowny i zapewne drogi naszyjnik wisi na Pani szyi.

Sądzę, że Czytelnik właśnie taką wyobraża sobie Ninę Andrycz i taką chce ją widzieć nadal.

— Ależ skąd, w tych czasach nie możemy tak napisać, proszę notować:

Pani Nino, jak tu u Pani skromnie, jak to się stało, że królowa sceny polskiej i tak piękna kobieta jak Pani, która miała wszystkie możliwości ku temu, aby zgromadzić kolekcję dzieł sztuki, biżuterię ze złota i diamentów, nie zgromadziła nic. — Napisał pan? Proszę pisać dalej, odpowiadam na to pytanie — Mieć, to może i miała. Ale uważała, że premier i jego żona powinni mieszkać skromnie. Kupiłam więc krajowe mebelki firmy „Ład” i one mi do dnia dzisiejszego wiernie służą.

— Ale kto uwierzy w Pani skłonność do ascetyzmu?

— Niech się pan nie przejmuje. Przed Pana wizytą dwa dni i dwie noce myślałam na temat naszego ringu. Wszystkie odpowiedzi i pytania mam już dokładnie przygotowane. Napijmy się wina.

— A jeżeli zapytam Panią o futro, które otrzymała Pani w prezencie od Stalina?

— Tego futra nie nosiłam przez 20 lat, na znak protestu, wisi jeszcze w szafie, ale już wyleniało...

— Czy mogę napisać o Pani byłym mężu Józefie Cyrankiewiczu?

— Początkowo chciałam, po raz pierwszy zresztą na łamach prasy polskiej być szczerą i otwartą do końca, ale doszłam do wniosku, że tego problemu natury osobistej nie poruszajmy.

— Dlaczego?

— Bo Józef, który mieszka naprzeciwko mnie może wstrzymać mi dostawę mięsa i wędlin.

— Ale zastrzegam sobie pytanie i nie pozwalam go Pani skreślić, dotyczące jej wieku. Ile Pani ma lat?

— Napisane w kilku encyklopediach, m. in. Wielkiej Polskiej Powszechnej i amerykańskiej „Who is who”. Każdy może przeczytać.

— Czy to prawda?

— Nie możemy pisać inaczej, bo mnie oskarżą o sfałszowanie metryki.

— Ale naprawdę to ile ma Pani lat?

— ...

— Dam panu do wywiadu kilka moich wierszy, wydrukują i wtedy muszą mi zapłacić za wywiad, prawda?

— Obawiam się, że nie.

— Szkoda. Taka teraz drożyzna. Komorne mi podwyższyli.

— Przecież żyje Pani sama, nie ma rodziny, dzieci?

— I Bogu za to ostatnie dziękuję. Syn musiałby prawdopodobnie iść na wojnę, a córka w dalszym ciągu walczyć o emancypację, nie tę formalną, ale o tę rzeczywistą i o wiele trudniejszą: o wolność człowieka-kobiety w dzisiejszym świecie.

Z Niną Andrycz odbyłem kilka wielogodzinnych spotkań, ich efekty zostały opublikowane na łamach: „Zwierciadła” „Panoramy”, „Expressu Ilustrowanego”.

W międzyczasie Andrycz zagrała na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie popisową rolę starej aktorki, przedwcześnie spychanej na margines życia, popadającej w depresję i odpowiadającej strajkiem głodowym. Tytuł sztuki „Karnawał” Na scenie otaczały ją wielkie portrety własnych wizerunków w największych rolach z różnych okresów. Andrycz przed zaproszeniem mnie na spektakl, uprzedziła: w drugim akcie po słowach... wypada bić brawo. Kwiaty proszę wnieść na scenę ze strony widowni, bo łatwo na nią wejść.

W ub. roku Nina Andrycz wystąpiła z programem słowno-muzycznym na Festiwalu w Kudowie, gdzie z towarzyszeniem gitary klasycznej i śpiewaczki Marii Foltyn, zaprezentowała wybór swoich najgłośniejszych ról w kreacjach z tamtych lat!

Dyrektor Teatru Wielkiego w Łodzi, Sławomir Pietras, wyraził gotowość zaproszenia artystki do Łodzi z tym programem. Nina Andrycz powiedziała mi, że oczekuje realizacji tego zaproszenia. Dobór śpiewaczki do programu jest dowolny.

Kiedy żegnaliśmy się, Nina Andrycz powiedziała: Wywiad niech pan wyda w kilku czasopismach w różnych wersjach, a później zgłosi się do mnie, to dam nowy materiał.

Jednak się nie zgłosiłem. Wywiady, które wydałem są moje. Udało mi się przekonać aktorkę-dziennikarkę Ninę Andrycz, że i ja mam ciekawe pomysły na nią.

● PARYŻANKA.

tematyki. I ja czuję się cały czas jak w sali egzaminacyjnej. Żyję raczej spokojnie, po mieszczańsku. Całe moje życie prywatne podporządkowane jest relaksowi. Ponieważ w pracy tak się spalam, staram się w domu odsuwać od siebie wszelkie problemy. Odkąd urodziłam Marysię mam uczucie niepokoju w żołądku, gdy jestem poza domem. Obecnie córka ma 6,5 roku i uspokajam się coraz bardziej. Kiedy jestem wolna — cały czas poświęcam właśnie jej. W domu do niczego się nie przygotowuję, niczego się nie uczę. Wszystko robię na próbach.

— Obecnie będzie Pani w domu wciąż nieobecna. Wkroczyła Pani przecież na francuski rynek filmowy. Z jakimi nadziejami?

— Zagrałam w 2 filmach francuskich: „Szpiegu wstań” (główna rola — profesor uniwersytetu) obok Lino Ventury, Michela Piccoli, Jeana-Louis Trintignata. Zdjęcia były kręcone w Zurychu. Drugim filmem był obraz telewizyjny pt. „To było piękne lato” z Michelem Piccoli i Helmutem Grimmem. Gram tu rolę polskiej arystokratki. Nie mam zamiaru zdobywać rynku francuskiego, bo znając panujące tam stosunki — nie wierzę w sukces we Francji. Uważam, że nasz kompleks w stosunku do kina francuskiego jest zupełnie nieuzasadniony.

— Co w teatrze?

— Wzięłam urlop bezpłatny. Podpisałam nowy kontrakt na pracę w filmie francuskim, nie mogłabym pogodzić tej pracy z codzienną pracą w teatrze.

— Czas — zdaniem Pani — pracuje na korzyść aktorki?

— Nie, zawsze twierdzę, że przeżywam swoje „5 minut” i wszystko może się odwrócić. Na ocenę każdej roli czekam z niepokojem i mówię: no i tym razem jeszcze mi się udało.

Każda przerwa, każdy rok jest dla kobiety-aktorki niedobry. Mam stale świadomość uciekającego czasu.

W tym dniu miałem jeszcze jedno spotkanie z gwiazdą (Barbarą Wrzesińską). Krystyna Janda podwiozła mnie do domu swojej przyjaciółki. Oczekując na przybycie panny Basieńki z telewizyjnego „Kabareciku”, Krystyna Janda rozpoczęła jeszcze jedno opowiadanie (poza wywiadem) traktujące o oprawie, jaką zgotował jej francuski producent w Paryżu.

— W Paryżu mieszkam w najdroższym hotelu. Przed oknami mojego apartamentu czeka dzień i noc samochód z kierowcą, wynajęci do mojej wyłącznej dyspozycji. Kiedyś chciałam dać wolne kierowcy, ale odmówił.

Kiedy schodzę na kolację, ubrana jestem w suknię, którą producent zakupił dla mnie m. in. na takie okazje za kilka tysięcy dolarów. Na szyi mam bajecznie drogi naszyjnik, na ręce zegarek z bransoletką wysadzaną diamentami.

Na kolacji pokazuję się tylko w gwiazdorskim towarzystwie. I tak — po mojej prawej ręce siedzi Lino Ventura, po lewej Michel Piccoli. Jemy najwykwintniejsze potrawy, pijemy wspaniałe trunki. Wszystko jest wliczone w koszty mojej reklamy na tym rynku.

Kiedy wracam do Warszawy, długo nie mogę się pozbierać, ale papierosy kupuję za dolary (najdroższe i najlepsze). Mimo iście gwiazdorskiej oprawy, jaką zapewniono Krystynie Jandzie w Paryżu, ona pozostała tą samą uroczą, młodą kobietą, z którą rozmawiałem roku temu w warszawskim parku.

Dwa tygodnie temu, aktorka powiedziała, że ma mi bardzo wiele do opowiedzenia. Umówiliśmy się na początek 1983 roku, kiedy przyjedzie do kraju na dłuższy pobyt. Zapowiadam więc już teraz wywiad-rzekę z Krystyną Jandą, oczywiście w paryskim stylu!

Za tydzień: IRENA DZIEDZIC i VIOLETTA VILLAS

BOHDAN GADOMSKI

KRYSTYNA

Foto: „Dorys”

Napisano o niej, że nikt nie pozostaje obojętnym wobec zjawiska, jakim jest Krystyna Janda. Jedni ją uwielbiają, innych denerwuje jej sposób bycia, agresja, przebojowość. Nawet powstał pewien rodzaj mitu aktorskiego, określany jej nazwiskiem. Podarowano jej zaszczytny przydomek: „Zbigniew Cybulski w spódnicy”, obwołano symbolem pokolenia. O jej głośnych rolach wiedzą wszyscy, o prywatności niewiele, może dlatego, że nie pozwala w nią wejść?

Na spotkanie przyjechała wspaniałym wozem zachodniej marki. Towarzyszyła jej córka Marysia Seweryn (z pierwszego małżeństwa z aktorem Andrzejem Sewerynem) oraz pies, łaciaty cocer-spaniel.

Tłumaczy mi, że na miejsce spotkania wybrała warszawski park, ponieważ chciała się przewietrzyć, zaczerpnąć powietrza. Po opuszczeniu wspaniałego, dwupoziomowego mieszkania na Ursynowie, zamieszkała u drugiego męża (operator Edward Kłosiński) w niewielkim blokowym mieszkanku. Ale to na razie, w perspektywie ma budowę dużego domu za dolary zarobione we Francji.

Przybycie Krystyny Jandy do miejsca tak publicznego jak park nie wywołało jednak aż tak dużego poruszenia jak np. moje spotkanie z Beatą Tyszkiewicz w Hotelu „Bristol”. Prywatnie, Janda jest zupełnie inną osobą od tej znanej z dużego i małego ekranu. Jest wyciszona, skromna, zarówno w sposobie bycia jak i stroju, przy dziecku szalenie kobieca, troskliwa, typowa młoda mama. Szukamy odosobnionego miejsca na spokojną rozmowę. W tym czasie spuszczony ze smyczy cocer-spaniel wpada do błotnistego stawu. Marysia Seweryn krzyczy w niebogłosy, ja przerażony zastanawiam się jak wydostać psa z wody, ale Janda jest przytomna i najszybsza, błyskawicznie zrzuca pantofle i już holuje wystraszonego psa do brzegu.

Jesteśmy już zmęczeni i siadamy na pierwszej z brzegu ławce, nie widząc ludzi i nie zauważając klombów z bratkami. W trakcie rozmowy Janda przechodzi prawdziwą metamorfozę, można ją teraz rozpoznać z daleka. Mówi tak głośno, że słychać ją chyba na końcu parku, gestykuluje wyraziście i ostro. Pali papieros za papierosem.

W prowadzonej w błyskawicznym tempie rozmowie (Janda wykazuje ogromne doświadczenie w wywiadzie prasowym) nie zauważamy, kiedy otaczają nas parkowi strażnicy, grożąc mandatem za zdewastowane przez psa bratkowe klomby. Janda jest jeszcze bardziej zdenerwowana, tłumaczy, że pies nie jest jej własnością, bo wypożyczyła go tylko na spacer, od godziny chce bo bezskutecznie złapać, w końcu prosi strażników o pomoc. Ci puszczają się w pogoń za cocer-spanielem. Marysia krzyczy i płacze. Janda próbuje przywołać psa. Wokół nas zbiera się potężne zbiegowisko ludzi.

Kiedy po kilkunastu minutach strażnikom udaje się złapać psa, ten gryzie jednego z nich w palec.

Mam tego wszystkiego serdecznie dość! Janda przeprasza i przysięga, że nigdy więcej w życiu nie powtórzy podobnego głupstwa zabierając na zawodowe spotkanie psa i dziecko. Zapala chyba już setnego papierosa. Marysia pochlipuje, pies zadowolony zezuje na mnie. Janda kontynuuje rozmowę... — Wie pan, nie odczuwam tego jak odbierają mnie ludzie. Żyję w zamkniętym kręgu osób. Ze studia radiowego przechodzę do studia TV, a z niego na plan filmowy lub do teatru. Ciągle obracam się wśród tych samych ludzi. Oni też mnie oceniają. Nie wiem więc czy jestem lubiana czy znienawidzona. Nie dostaję też korespondencji, a recenzje staram się czytać rozsądnie.

— Ludzie zazdroszczą Pani pewności siebie, przebojowości, kariery...

— W rzeczywistości to nieprawda. Mam masę stressów, problemów, nigdy nie byłam z siebie zadowolona dłużej niż 2 godziny. Ten zawód jest jak powtarzany co 3 godziny egzamin z ma-

Foto: Z. Nasierowska

Czy dyplomacja jest potrzebna?

HENRYK SROCZYŃSKI

Jedną z nielicznych instytucji, którym udało się w ostatnich stuleciach przetrwać wszystkie katastrofy, jest dyplomacja. Ale i ona wraz ze zmianami dokonującymi się w świecie traci wiele ze swych starych funkcji i zyskuje nowe.

W wydarzeniach na europejskiej scenie dyplomaci zawsze byli ważnymi, czasem tragicznymi aktorami. Bez nich jako wytrawnych znawców zawodu i związanych z nim rytuałów, nie sposób było prowadzić politykę zagraniczną. Posługiwano się też nimi nie zwracając większej uwagi na ich prywatne poglądy. Liczyły się przede wszystkim ich intelekt i zdolności reprezentowania interesów państwa. Zresztą w przeszłości tak wychowywano dyplomatów, aby nie wyrażali żadnego osobistego poglądu, lecz by zawsze czuli się przedstawicielami państwa, bez względu na to jakie kierunki polityczne brały w nim górę. Znamienne dla takiego stanowiska rządów były słowa Bismarcka: „gdy komenderuję, moi dyplomaci muszą robić zwroty tak samo jak podoficerowie".

Dyplomacja, która zawierała w sobie sporo fascynujących aspektów, ulega ewolucjom, na co składa się wiele przyczyn. A oto niektóre z nich:

● Jeszcze sto lat temu łączność między dyplomatami a ich rządami była bardzo utrudniona, toteż rządy udzielały im bardzo ogólnych wskazówek, a oni sami kierowali się już własną interpretacją i we własnym zakresie podejmowali decyzje. Na przykład uczestnicy Kongresu Wiedeńskiego nie mogli z dnia na dzień otrzymywać instrukcji dotyczących rokowań, dysponowali więc dużą swobodą tak w kwestiach merytorycznych jak i taktyki postępowania.

● Dzisiaj nowoczesne środki łączności pozwalają rządom na błyskawiczne komunikowanie się z dyplomatami. Zwykle w instrukcjach powiadamia się dyplomatę co ma powiedzieć na danym posiedzeniu lub jakie ma zająć stanowisko wobec nagle zgłoszonej przez partnera propozycji.

● Dzięki sieci połączeń lotniczych obejmującej cały świat możliwe jest organizowanie osobistego spotkania mężów stanu w celu omówienia spraw istotnych we wzajemnych stosunkach. W takich przypadkach rola zawodowych dyplomatów sprowadza się do przygotowania wizyty zgodnie z protokołem: ustalenia miejsca rozmów, powitania gościa na lotnisku i odprowadzenia go do samolotu.

● Niekiedy zdarza się, że telefon całkowicie eliminuje pośrednictwo „kanałów dyplomatycznych". Ileż to razy zdarzyło się, że premier czy przywódca jakiegoś kraju bezpośrednio, drogą łączy międzynarodowych odbył rozmowę z jego odpowiednikiem w innym państwie. Jak wiadomo, istnieje też bezpośrednie połączenie między Kremlem a Białym Domem.

● Wreszcie na charakter pracy dyplomatów wpływa doskonale rozbudowana sieć agencji prasowych, przekazujących informacje do kraju szybciej niż jest to w stanie uczynić placówka dyplomatyczna. Korespondenci zagraniczni akredytowani w stolicach państw z reguły łatwiej docierają na miejsce ważnych wydarzeń i większą posiadają możliwość (istnieje duża konkurencja między agencjami) błyskawicznego przekazania sprawozdań ośrodkom telewizyjnym, radiowym czy redakcjom. Na żart może zakrawać fakt, że wielu dyplomatów przed opracowaniem sprawozdania dla ministerstwa spraw zagranicznych w swym kraju, studiuje przede wszystkim nadawane stąd materiały korespondentów i miejscową prasę, tak zredagowany elaborat czasem dociera do ministerstwa po paru tygodniach.

● Zupełnie nową formą kształtowania stosunków dwustronnych czy wielostronnych, także z pominięciem dyplomatów, są specjalnie powoływane komisje międzyrządowe. Wobec zawiłości problemów, które te ciała mają rozwiązywać, w ich skład wchodzą osobistości stojące na czele różnych urzędów czy instytucji oraz wspomagający ich eksperci.

Jeśli do tych uwag wskazujących na zmieniające się funkcje dyplomacji dodamy i to że wzrastają niebezpieczeństwa towarzyszące ich życiu (terroryzm), nie dziwi iż coraz częściej słyszy się pytania: czy dyplomacja jest jeszcze potrzebna? Niektórzy pesymistycznie nastawieni dyplomaci zachodni posuwają się tak daleko, że proponują zlikwidowanie permanentnych przedstawicielstw dyplomatycznych i zastąpienie ich specjalnymi „objazdowymi wysłannikami", nieco podobnymi do szesnastowiecznych kurierów dyplomatycznych. Wypowiadane też są opinie, że wymiana ambasadorów między zaprzyjaźnionymi krajami jest zbędna, zaś wymiana ambasadorów między krajami wrogimi — ryzykowna. Ale stawianie w taki sposób kwestii miejsca i roli dyplomacji wynika tylko z dużego sfrustrowania starszych stażem pracowników służb zagranicznych, pamiętających epokę w której z dyplomacją wiązała się duża swoboda w postępowaniu i szeroko rozbudowana etykieta.

Właściwie instytucja dyplomaty rozwinęła się dopiero u schyłku średniowiecza tj. w okresie, gdy jedność Europy uległa rozbiciu; powstały wówczas liczne państwa bądź to powiązane ze sobą układami, bądź pozostające we wrogich stosunkach. Konieczność posiadania dokładnych informacji o sytuacji politycznej i intencjach władzy w innych państwach skłoniła do powołania stałych posłów (pierwszym posłem był książę **Francesco Sforza** z Mediolanu mianowany na tę funkcję we Florencji w 1446 r.).

Jeśli powiemy, że dyplomacja zrodziła się wskutek wzajemnej nieufności, jaką żywiły do siebie państwa, to trzeba będzie również dodać, iż brano tu pod uwagę także możliwość wywierania wzajemnego nacisku. W wieku XVIII to czy Chiny były wrogo usposobione do państw europejskich czy też odwrotnie, stanowiło sprawę zupełnie nieistotną. Nie dysponowano bowiem żadnymi środkami za pomocą których obie strony mogły, chociażby w minimalnym stopniu, wywierać na siebie nacisk; po prostu nie pozwalały na to środki techniczne. Nawiasem mówiąc w Azji ukształtował się odmienny styl prowadzenia polityki zagranicznej. Podczas gdy w Europie państwa tworzące sojusze zmierzały do zachowania równowagi sił, to na kontynencie azjatyckim Chiny jako mocarstwo wcale nie musiały się nad tym głowić. Polityka zagraniczna państwa o tendencjach hegemonistycznych miała na celu utrzymanie w innych krajach swoich wpływów gospodarczych, kulturalnych itp.

To prawda, że tradycyjna rola dyplomaty jako międzynarodowego negocjatora maleje w epoce łatwego komunikowania się. Ale z drugiej strony wiele wskazuje na to, że nic nie jest w stanie zastąpić dyplomatów tam, gdzie chodzi o dokładne rozeznanie specyfiki narodowej, danego problemu, a także niuansów i szczegółów dotyczących tradycji oraz taktyki dyplomatycznej danego kraju, co często ma ogromne znaczenie dla uczestników spotkań, choćby na najwyższym szczeblu. W kluczowych negocjacjach ZSRR z przedstawicielami administracji Nixona, Forda czy Cartera rozmowy były prowadzone bezpośrednio przez aktualnego sekretarza stanu z ministrem **Gromyką**. Ale tylko pozornie wyglądało na to, że w tym „kanale okrężnym" nie bierze udziału ambasada radziecka. Długoletni ambasador ZSRR w Waszyngtonie, **Dobrynin**, zawsze, jak podkreśla to amerykańska prasa, jest tym politykiem, na którego ocenach i filozofii faktów polega A. Gromyko.

Odmienny wydaje się być stosunek departamentu stanu w Waszyngtonie do ambasady tego kraju w ZSRR. Ambasador **Malcolm Toon** uważał, że takie ekskluzywne korzystanie z „kanału okrężnego" jest złe. „Wielokrotnie powtarzałem **Vance'owi**, że jeśli Waszyngton będzie kontynuował postawę jaką ma wobec ambasady w Moskwie, będzie mógł z powodzeniem obejść się bez swego ambasadora" — napisał Malcolm Tonn.

Całkowicie nowy styl w dyplomacji wprowadził b. sekretarz stanu, **Henry Kissinger.** Niejednokrotnie chwalił się, że posiada swoje liczne kanały informacyjne, przy których pomocy może się obejść bez dyplomacji swego kraju. Jak też stwierdza w swoich pamiętnikach, niekiedy świadomie manipulował tą dyplomacją, aby wyłączyć ją i wejść w bezpośredni kontakt z określonym mężem stanu. Tak na przykład symulując chorobę „wymanewrował" ambasadę amerykańską i prasę w Pakistanie, by po kryjomu udać się na rozmowy do Pekinu. H. Kissinger, który ze wstrząsającą pychą kreślą własną rolę i degraduje dyplomatów amerykańskich do roli statystów, przy innych okazjach stwierdza, że nikt inny jak tylko dyplomaci mogą nadawać polityce polor, którego brak wielu działaczom politycznym. „Przed I wojną światową — pisze w pamiętnikach — przywódcy światowi reprezentowali środowisko intelektualne. Dzisiaj kwalifikacje konieczne, by stać się narodowym przywódcą nie są wcale takie same, jakie były konieczne kiedyś. Tak więc dyplomaci są ludźmi bardzo potrzebnymi, ważnymi". W związku z nowym stylem dyplomacji jaki wprowadził H. Kissinger — „dyplomacji wędrownej", warto powiedzieć, że wcale nie odniósł on znaczących sukcesów. Krążył po różnych regionach z jednego krańca na drugi i osiągnął niewiele, a to dlatego że nie rozumiał wszystkich zaangażowanych w tamte wydarzenia interesów.

— Dyplomaci są dzisiaj raczej bardziej niż mniej potrzebni — stwierdzają historycy dyplomacji i politolodzy. Ci którzy prowadzą rozmowy na wysokich szczeblach, w tym i „na szczycie", tracą przy wielości wydarzeń panowanie nad niektórymi z nich. Tylko zawodowy doświadczony dyplomata jest w stanie przekazać „realną perspektywę" rozwiązania problemu i tylko on posiada niepowierzchowną percepcję wydarzeń związanych z badaną sytuacją. Przed dyplomatami otworzyły się też nowe dziedziny aktywności:

Dyplomacja gospodarcza. Zarówno państwa zachodnie jak i wschodnie utworzyły własne służby zagraniczne mające na celu rozwijanie wzajemnych kontaktów ekonomicznych. W państwach kapitalistycznych własną służbę zagraniczną powołały także wielkie koncerny; przedstawiciele tej dyplomacji, która często ma charakter nieoficjalny, utrzymują się z zamówień, jakie uzyskują na miejscu. Naszym odpowiednikiem stały się biura radcy handlowego, którym zlecono reprezentowanie interesów central handlowych.

Dyplomacja kulturalna. Poza normalną funkcją ambasad w zakresie propagowania i godnego reprezentowania jego kultury, powstają za granicą różne instytuty, ośrodki informacji, domy kultury itp. obcych państw. Sieć takich placówek, zwłaszcza jest rozwinięta w krajach socjalistycznych. Niektóre z tych placówek podlegają ministerstwom zagranicznym, inne np. ministerstwu oświaty.

Dyplomacja socjalna. Ta nowa dziedzina dyplomacji rozwinęła się w związku z wielką wędrówką ludzi w poszukiwaniu pracy. Służba socjalna w placówkach dyplomatycznych wprawdzie nie ma prawa ingerowania w sprawy zatrudnienia swoich rodaków, ale interesuje się, czy jest przestrzegane wobec nich obowiązujące prawodawstwo, a także udziela ziomkom opieki w sytuacjach losowych.

Dyplomacja może zmieniać swoje funkcje, ale pewne jest, że jednej z nich nikt jej nie pozbawi: funkcji reprezentowania kraju. Reprezentacja wiele kosztuje, toteż różne kraje w różny sposób rozwiązują ten problem.

Jeszcze w okresie międzywojennym niektóre państwa europejskie wymagały od kandydatów na ambasadorów atestu dużego majątku. Dzisiaj decydują inne kryteria, choć np. w Stanach Zjednoczonych, mimo że kraj jest bardzo bogaty, chętnie desygnuje się na placówki ludzi o wielkim kapitale. Inna sprawa — jakie daje to rezultaty. Czasem, jak to było z ambasadorem USA w Indiach, gafy reprezentanta USA dają okazję prasie do wielu żartów na temat intelektu i wiedzy ambasadorów.

Aby zaoszczędzić na wydatkach reprezentacyjnych, szereg państw akredytuje jednego przedstawiciela w kilku krajach naraz, który niekiedy obowiązki swe pełni na terenie większym od Europy.

Znacznej redukcji uległy także reguły protokołu dyplomatycznego (uszczuplenie ich nastąpiło szczególnie po II wojnie światowej), co widoczne jest m.in. w sposobie ubierania się na różne okazje. Frak z białą kamizelką, który obowiązywał na przyjęcie po godz. 19, w praktyce został zastąpiony przez wygodniejszy w noszeniu smoking. W Polsce i innych krajach socjalistycznych, które przeszły ewolucje tradycyjnych form w kierunku ich demokratyzacji i uproszczenia, zaniechano noszenia fraku i żakietu, a często i smokingu, zastępując je strojem wyjściowym, z tym że przy uroczystościach oraz wieczorem nosi się ubranie ciemne. Niektóre państwa europejskie np. Wielka Brytania, Francja oraz kraje skandynawskie posiadają specjalne umundurowanie dla swoich przedstawicieli dyplomatycznych i urzędników konsularnych. Także galowy mundur z okrągłą czapką typu wojskowego nosi służba zagraniczna ZSRR. Dla wielu przedstawicieli państw Trzeciego Świata „galowym mundurem" jest strój narodowy.

To prawda, że dyplomaci utracili wiele swych dawnych zadań i że dzisiejsza dyplomacja nie ma już, tak jak kiedyś, wielkiego blasku. Prawdą jest również że został zredukowany prestiż dyplomaty. Kiedyś prezydent **Pompidou** powiedział: „rola ambasadora polega teraz na balansowaniu filiżanką kawy i kawałkiem torta". Ale nie można zapominać, że z dyplomacją, która jest sztuką, wiąże się wysoka kultura bycia.

Dyplomaci zawsze potrafią zachować twarz w najtrudniejszych sytuacjach politycznych i osobistych, nie naruszają zasad dobrego tonu i grzeczności. Zasadą sztuki dyplomatycznej jest bowiem nie cieszyć się zbyt wylewnie ze zwycięstw a porażki przyjmować spokojnie nie okazując bólu i zawodu. Wbrew niektórym sądom, iż z dyplomatycznym stylem wiąże się cynizm, dyplomaci są ludźmi o wielkiej wrażliwości i być może reprezentują ostatni stan, który potrafi jeszcze zachować wiele z człowieczeństwa i dżentelmeńskiej godności.

Język dyplomatyczny

Ten, kto chciałby śledzić przebieg międzynarodowych rokowań, a nie zna zaszyfrowanego żargonu polityków, będzie się czuł równie zagubiony, jak ktoś, kto bez przygotowania trafi w gorączkę spekulacji na giełdzie. Dyplomaci wszystkich krajów mają bowiem do dyspozycji cały arsenał kryptonimów, do którego sięgają zawsze wtedy, gdy mają niewiele, nic, albo zupełnie nic do powiedzenia, albo gdy po prostu nie chcą nic powiedzieć.

Gdy np. minister któregoś z krajów EWG podaje do wiadomości w Brukseli, że rozmowy z jego kolegami o nowych cenach produktów rolnych były „swobodne", oznacza to, że w rzeczywistości o mało nie doszło do rękoczynów. Jeśli dyplomata mówi o szczerych rozmowach, jest to również pewną oznaką, że ich wynik był katastrofalny. Istnieje reguła, że sojusznicy między sobą rozmawiają swobodnie, z przeciwnikiem zaś w szczerej atmosferze.

Dwa dalsze ulubione wyrażenia dyplomatów, to „pożyteczne" i „owocne". Jako pożyteczną ocenia się z zasady każdą konferencję, która nie prowadzi do wojny. W języku dyplomacji jest już rzeczą użyteczną, że przeciwnicy siadają przy jednym stole i wygłaszają całkiem rozbieżne opinie. „Owocne" oznacza natomiast, że udało się gdzieś znaleźć jakąś minimalną zbieżność poglądów.

Innym, chętnie i często stosowanym terminem jest „postęp". Dyplomaci używają go zawsze wówczas, gdy chcą przedstawić coś w różowym świetle lub zakamuflować fiasko. Klasycznym przykładem tego była wypowiedź Cyrusa Vance'a, który po wielogodzinnych, bezskutecznych rokowaniach na temat nowego układu o ograniczeniu zbrojeń strategicznych (SALT II) w Genewie, stanął przed mikrofonami i oznajmił: „Poczyniliśmy mniejsze postępy, niż można było oczekiwać".

wg. „Frankfurte Rundschau"

Dyplomatyczne sygnały

Dawniej ambasadorzy przynosili pisma i noty do obcych rządów w skórzanych teczkach. Później ministrowie spraw zagranicznych wzywali ambasadorów i wręczali im odpowiedzi swych rządów. Był to prosty i bardzo tani sposób wzajemnego porozumienia się. Teraz jednak, cena komunikowania się jest niebotyczna. Oto jak rządy porozumiewają się obecnie:

Prezydent wzywa sekretarza stanu: „Chcę powiedzieć ZSRR, że powinien trzymać się z dala od Ameryki Środkowej. Przekażcie więc rządowi Salwadoru broń za 5 milionów dolarów".

„Tak jest".

●●●●●

W kilka dni później prezydent ponownie wzywa sekretarza stanu: „Czy jest już odpowiedź radziecka na nasz sygnał?"

„Właśnie nadeszła. Rosjanie dostarczyli Kubie 50 MIG-ów i nowe rakiety przeciwlotnicze".

„Wyślijcie więc natychmiast Kubie stanowczy protest. Skierujcie eskadrę szturmowych helikopterów „Huey" do Hondurasu i dopilnujcie, aby Gwatemala otrzymała wszystko, czego zażąda. Powołajcie się na mnie, aby wiedzieli, że traktujemy sprawę poważnie".

„Tak jest. Przy okazji pragnę zakomunikować, że otrzymaliśmy sygnał od Francji. Francuzi popierają reżim sandinistów w Nikaragui i sprzedali jej 100 samolotów „Mirage"! Co im odpowiemy?".

„Podarujcie rządowi Trynidadu dwa okręty podwodne i rakietowy krążownik, aby Mitterand wiedział, że potępiamy tę transakcję".

„Czy chciałby pan przekazać sygnał Chińskiej Republice Ludowej przez wysłanie nowej partii samolotów na Tajwan?".

„Zaczekajmy z tym jeszcze, bo Chiny mogłyby to fałszywie zrozumieć, jako sygnał, że nie potrzebujemy ich w zimnej wojnie z ZSRR".

„To na dzisiaj wszystko, panie prezydencie. Natychmiast uruchomię odpowiednie sygnały. Jeszcze tylko jedna sprawa. Nasz ambasador w Moskwie przysłał właśnie depeszę, że potrzebna mu jest limuzyna Cadillac, ponieważ Rosjanie, widząc ten mały samochód, który został mu dostarczony, interpretują to jako sygnał, że kapitalizm przestaje funkcjonować".

„Nie wiedziałem, że mamy ambasadora w Moskwie!".

„Nie korzystamy z jego usług, ale trzymamy go tam na wypadek, gdyby zechciał pan przekazać Kremlowi jakieś pismo".

„Po co miałbym to robić, skoro istnieje tyle łatwiejszych sposobów komunikowania się z Rosjanami?".

Fragment felietonu A. Buchwalda w „International Herald Tribune"

„Poczyniliśmy mniejsze postępy, niż można było oczekiwać".
Na zdjęciu: minister spraw zagranicznych Z SRR, Andriej Gromyko i sekretarz stanu USA, Alexander Haig podczas spotkania w Nowym Jorku (18.06.82 r.).

Coraz gorzej się umiera, Pani Luciu, coraz marniej i w ogóle byle jak. Ledwie pół roku mija od pożegnania z Francem, a cała chyba epoka od porządnych, solennych i — jakby to rzec? — naturalnych śmierci. W gruncie rzeczy tylko na wsi ma to jeszcze, a zapewne będzie miało przez jakieś dwa dalsze pokolenia, zgodny z naturą (stąd określenie naturalności) sens usychania na wzór drzewa — i tego walenia się z majestatycznym wspaniałym, w szum przechodzącym trzaskiem. Ziemia stęknie, kiedy pień o nią godnie, głucho uderzy.

A u nas już od dawna przykrość sprawia myśl, że mogłaby zostać wysłuchana stara modlitwa: „od nagłej, niespodziewanej... zachowaj nas, Panie!". Przeciwnie, przeciwnie, niech się nie zdążę zorientować, niech się nie spostrzegę, niech będzie pod znieczuleniem zwykłego snu, niech będzie tylko cudzą, nie moją sprawą, kwestią szybkiego uprzątnięcia krępujących resztek. Wyjść z życia niezauważalnie dla siebie samego, o to błagam Cię, Panie!

Franc Fiszer jednak odszedł po dawnemu, jak na marszałka szlachty pomżyńskiej przystało, nawet miał szczególny, hieratyczny przywilej wypowiedzenia Ostatnich Słów, własnego „Mehr Licht", własnego „Qualis artifex pereo". Wie Pani, że brzmiało to u niego: „Zabiłem albatrosa — zabiłem albatrosa!".

I dyspozycję zdążył wydać: „Idźcie po moim pogrzebie do Simona i Steckiego na dobrą kolację", on, gurmand tak zajadły (czyż może być bardziej przylegający przymiotnik dla wspaniałego żarłoka?), że trudno o większego w tej mierze artystę. Tylko Franc mógł powiedzieć to, co powiedział Zarubie: „Idziesz na obiad? Szczęśliwy! Ja już zjadłem...". Toteż rozumie Pani, kolacja, jedynie dobra kolacja mogła spełnić rolę funebralnego nabożeństwa, wyłącznie ona była tu na miejscu.

Osiągnął przecież szczyty wirtuozerii w jedzeniu, ucztę stanowiły nawet same jego — ich, bo z Leśmianem — dysputy o warkoczu mięs, splecionych z trzech finezji smakowych, niby ryba u Wojskiego, ze smażeniny, pieczeni i gotowanego, w jednej smudze półmiska! Na dodatek nie Franc za to płacił, cudza zaś fundа dodawała wszystkim przyprawom aromat nc jedny: błogość abstrakcji. Wydawanie pieniędzy w restauracji, kiedy się ma już wszystko za sobą, musi (tak sądzę, choć sam nigdy nie praktykowałem), musi z pewnością przypominać niesmaczne, nieestetyczne uiszczanie należności — zimnym, brr, wilgotnym świtem! — po nocy z kobietą płatną. Odliczanie z porfela — a jeszcze gorzej — z portmonetki, wykreśla jakąkolwiek szansę na wspomnienie, czymże zaś jest rozkosz, jeśli nie budowaniem wspomnień?

W protokole dworskim, od cesarza japońskiego po tutejszych, europejskich królów, jest zawarowane, że monarcha osobiście nie używa w ogóle monet, żadnych bankocetli, nie tyka w ogóle pieniędzy. I słusznie, po stokroć słusznie Ta wstydliwa czynność pozostaje do wykonania specjalnemu słudze, niby wyniesienie spluwaczki.

Dlatego właśnie Franc nie płacił nigdy, choć sądzi się, że z powodu tak mało istotnego, jak brak gotówki Bzdura. On się nie chciał splamić kraszuarką (kraszuarka — dawne określenie spluwaczki), to miał załatwić zawsze ktoś inny i tak, aby nie widziano żenującego gestu. Był zatem — właśnie w tym, obok tylu innych cech — monarchą stołu, władcą dań i suwerenem całego obrusa. U Rogowiczów na Starym Mieście, ku zgorszeniu pani Wandy, Franc zsunął sobie na talerz wszystkie kotleciki, jej — jak twierdzą, nie jadłem, nie zapraszali —

— Przyznaję wam, kolego Mikołaju odznakę Zasłużonego Optymisty.

chlubę. I kiedy powiedziała, że być może smakowałyby one także komuś innemu, odpowiedział najtubalniejszym głosem, przeznaczonym do tych dowcipów jakie należało zapamiętać i powtarzać: „Ale nikomu, łaskawa pani, tak jak mnie!"

On, trzeba przyznać, wspaniale grał Franca Fiszera Odkąd ostatecznie napisał sobie tę rolę, osiągał w niej wyżyny wszystkich Leszczyńskich naraz, plus zawziętość i rutynę Solskiego. Nie popuścił, nie zmarnował niczego, już z kulis (czytaj: ze schodów do przedpokoju) wchodził gotowy, szczypiąc między brwiami zacisk pince-nez i z tym samym stentorowym tembrem w krtani, z jakim wygłaszał swoje — kiedy go garson spytał, jak tytułować, dziedzicu, hrabio, czy inaczej: „możesz mi mówić Boże Ojcze!". Do dziś próbuję dociec, czemu to dla nikogo nie zabrzmiało jak bluźnierstwo, ale chyba zaczynam rozumieć: — oto nikt nie przyjmuje w charakterze bluźnierstwa okrzyków Wielkiej Improwizacji, bo taka jest jej konwencja i potem się bije brawo Węgrzynowi. Franc miał swoją osobistą, i na dokładkę permanentną, na ni mniejsze brawa obliczone Wielką Improwizację Każdego Spotkania. Gdzież miejsce na bluźnierstwo, to tylko tekst roli! Możemy mu najspokojniej mówić: Boże Ojcze.

Na tamtej wszakże funebralnej kolacji u Simona byłem, bo choć nikomu nie przyszło do głowy, by mnie na nią zaprosić, nikt także nie pomyślał, aby się mnie pozbyć. Wedle tej zasady działam na wielu polach, lecz to już inna sprawa, tu szło o słypę po człowieku, któ-

ry akurat nie im wszystkim, ale właśnie mnie i tylko mnie... Zresztą mniejsza, jesteśmy w knajpie, ober się krząta, spod srebrn, ch pokryw wybuchają widoki, zapachy i para kłębami. Cała kelneria wie, że to „za pana Fiszera" celebrują swoją liturgię z dodatkowym napięciem, doprawdy zmysłowo, miłośnie oddanym obrzędowi kręgiem, szuraniem, szastaniem się wokół stołu.

Zapewne już Pani o tym wiadomo, jak się skończył ów wieczór, jeśli jednak pozwalam sobie dopisać finał, postępuję tak nie tylko z racji kompozycyjnych, aby pozawijać ładnie wszelkie loczki narracji, ale i dlatego, że właśnie coś, co się wydaje na pewno opowiedziane komuś bliskiemu, ponieważ jest bliski i wszystko mu się zawsze melduje, otóż to coś okazuje się z nagła nie przekazane stałemu odbiorcy. Niby list, któryśmy sposobem Grzesia-kłamczucha z tuwimowskiego wierszyka wrzucili do skrzynki, pamiętamy nawet wysokiego oficera, kiedy kucał, gdy wrzucał razem z nami (to jest w ogóle jedna z okrutniej ekshibicjonistycznych spowiedzi literackich w naszej sztuce, w twór-

SZYMON KOBYLIŃSKI

Artysta bez teki

Rozdział z książki Szymona Kobylińskiego pod tytułem „O Stasiu plotkarzu i Piotrusiu mizeraku" jest mistyfikacją jako list do (wymyślonej) Pani Luci, ale prawdą w warstwie realiów epoki, oraz próbą ustalenia prawdopodobieństw literackich minionego czasu. Stąd w spotkaniu pozornego autora, owego „Stasia plotkarza" z rzeczywistym Francem Fiszerem splatają się rzeczywiste dane,

czości „Szalonego Julka", w naszym tutejszym środowisku mitomanów artystycznych i życiowych!), a list ten leży nadal w domu, nietknięty. Tym trybem mogła do Pani, Pani Luciu, nie dojść wcale relacja o fiszerowskim soires gourmande. Nadeszła tedy chwila żenująca estetycznie, chwila, gdy któryś z biesiadników rozejrzał się po sali i ruszył brwiami na widok oberkelnera. No i cóż się okazało, pani Luciu, cóż? Okazało sie oto, że nam powiedziano z ukłonem i żałośnie — dumnym uśmiechem.

— Zapłacono już, proszę szanownych panów!

— Kto płacił? — spytało kilka zdziwionych głosów.

— Pan Fiszer — rzekł szef lokalu głosem i w pozie cezara. — Pan Fiszer, proszę szanownych państwa.

Tak więc zatrzasnęło się ostatecznie wieko wieku, którego Franc był reprezentantem pośród nas ostatnim. Z tej mianowicie przyczyny, iż tylko on — o czym odnośna anegdota zaświadcza — potrafił naprawdę twórczo nic nie robić. „Ta dłoń — huczał znacząco, podnosząc rękę do góry — ta dłoń nigdy nie splamiła się żadną pracą!", a na naiwne stwierdzenie któregoś młokosa, że cóż to za sztuka leniuchować, dodał grzmotem godnym Zeusa z najlepszego teatru: „To wielki kunszt, powstrzymać się od pracy i tyle dokonać!".

Poprzybijany takimi dykteryjkami, niby złoconymi ćwiekami do firmamentu naszych czasów (niech sobie użyję stylistycznie!), wspaniały kobierzec intelektu Franca zdobi wnętrze tego pomieszczenia, jakie nam — gdzieś tak pomiędzy IPS-em i SIM-em, knajpą Lija i górką w Ziemiańskiej — przydzielono do chwilowego, ziemskiego użytkowania. Piękne zdanie ukręciłem, nieprawdaż? Fiszer jest jego podmiotem, nasze odczucia orzeczeniem.

Już fakt, że przytwierdzał świadomie, z odpowiednią inscenizacją, nabraniem oddechu i wybrzmieniem, każdą istotniejszą sprawę osobnym powiedzonkiem, od razu gotowym do powtarzania, określa wagę tych gromkich dowcipów. Trzeba je brać pod głęboki rozmysł, trzeba nam je analizować jak wersety Alkoranu, gruntować znaczenia.

Ot, niezapomniana z onegoż IPS-u, gdzie spłoniony niby pensjonarka, która zdobyła autograf Zbyszka Sawana, Kazio Wierzyński wprowadza między stoliki Kusocińskiego, a Franc dosyć demonstracyjnie nie zauważa czempiona. Aż mu, zgorszeni ignorancją, sąsiedzi zwracają uwagę, że oto przecież sam „Kusy!". I wtedy pada to świetne, grzmiące pytanie, z ustalonym gestem chwycenia binokli szczyp'ą grubych paluchów:

— A cóż on robi?

— Biega...

— A w którąż stronę?

Niech się Pani, Pani Luciu, przypatrzy dobrze tym słowom, niech je Pani obejrzy skrupulatnie, a znajdzie w nich Pani streszczenie całego Hamleta, łącznie z klasztorem Ofelii, czyli bezprzydatnością uczuć... Dokąd my tak biegniemy w brawach tłumu, w krzyku widowni, wśród strasznego wysiłku stadionów i o czym nam łka w superheterodynie zemocjonowany Trojanowski: „Szkoda, że państwo tego nie widzą! Szkoda, że państwo nie widzą! —? W którą stronę to wszystko, ach w którąż? Dlaczego państwo nie widzą, dokąd?".

Nie dowiemy się, dokąd. Dokładnie tak samo, jak nie poznamy tych gwiazd, co je Franc spotkał w Alejach Ujazdowskich pewnej ciemnej nocy, gdy — zapewne skutkiem stłuczenia latarni zgubiliśmy drogę w kompletnym mroku, tak gdzieś opodal rogu Piusa. Fiszer poświecił zapałkę, a w tej samej chwili rzekł z zachwytem Światek Karpiński: — „Ależ gwiazdy cudowne!".

— Gdzie, gdzie? — dopytywał się basem Franc, podnosząc tę samą zapałkę wysoko nad głową. — Gdzie?...

Czyż nie dostrzega Pani, Pani Luciu, całej człowieczej nauki, badań i dociekań Lavoisierów i Edisonów, w tym wątłym ogieńku, który za chwilę oparzy palce obserwatorowi? „Gdzie?" — pytamy od tak dawna i szukamy płomyczkiem świateł pozaziemskich. Proszę mi wybaczyć egzegezę stokroć za ciężką wobec przedmiotu analizy, ja chcę jedynie w Pani obecności posmakować dokładniej, sumienniej to, co i tak oboje świetnie rozumiemy i co

poznane kiedyś przez Szymona Kobylińskiego, z próbą ich umotywowania na zasadzie „jakby to mogło wyglądać naprawdę?". Książka, której fragment dziś publikujemy, traktująca o kilku malowniczych, znaczących figurach minionego czasu poezji i kultury, ukaże się nakładem jednej z warszawskich oficyn wydawniczych. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Najwyrazistszą (bo uwieńczoną sławnym Franca wykrzyknikiem: „Daję panu słowo honoru, że Boga nie ma!") dysputą była ta u Mortkowiczów, rozpoczęta płonącym sufletem, deserem, który wywołał głęboki, błogi pomruk zadowolenia z przepastnego brzuszyska Fiszera, monarsze pogładzenie przezeń rozległej — i jakże wielobarwnej od niedbałego farbowania! — brody oraz tubalne zapewnienie, że „tym płomieniem wchodzi pani — (do Mortkowiczowej apostrofa) — w prometejską sferę sztuk kulinarnych!".

A potem danie posłużyło jako gotowa metafora, skoro pod ogniem spirytusowym zawierało lekkie ciasto czy piankę, kryjącą kulę lodów. Idealny model fiszerowskiej teorii. Bez trudu bowiem wywołał u sąsiada i adwersarza zarazem, mecenasa Feingolda, łatwiutkie skojarzenie wyjściowe: — oto zimna istota ludzka, nad którą polatuje mistyczne światło, dane z zewnątrz, ów dwuznaczny spiritus, tu wlany przez kucharkę, podpalony przez samą panią domu... Prostactwo porównania obezwładniało co nieco, lecz nie Franca, który złapał dogodną przenośnię i roztoczył przed słuchaczami swoją wizję generalną świata. Zdziwiło mnie, Pani Luciu, niebywałe oczytanie Franca, głębokie tym, że nie cytował filozofów, lecz brał ich na świadków swoich tez. Nie rzucał ich imionami, ale ukazywał zamiary każdego (na przykład: „Schopenhauer, który chciał

Aby mąż rósł w siłę, a żona żyła dostatniej!

nam sadystyczną ironią ukazać brzydotę tych odruchów, jakie należy zmieniać w urodę świadomości"!). Zresztą mniejsza o bibliografię przedmiotu, ważny jest przedmiot, mogący — o dziwo! Dziwo typowe dla zwartych, przemyślanych struktur — ulec streszczeniu w kilku najprostszych słowach. Niby hasło w encyklopedii. Tu hasło: „Reguła Fiszera" mogłoby zabrzmieć, powiedzmy, w ten sposób: — „Gorący blask, przez panią domu z kucharką, przez pomysł z realizacją przydany bryle chłodu, zimnego konkretu — jest obrazem duchowego piękna dlatego, że zaskakująco kontrastuje z materią (z materialnością damy, sługi, wódki, piany i lodu), z której, dzięki której i dla której dopełnia pożywną jadalność bezcielesnym, wabiącym światłem. Tak wszelkie piękno, w nim i mistyka rodzi się z materii służąc jej!".

Nie opowiadam tego, Pani Luciu, bez kozery, gdyż chciałbym Pani — skoro mnie obległy wspominki fiszerowskie — zwierzyć się (czy też: zwierzyć Jego) w pewnej delikatnej sprawie.

Było to krótko przed śmiercią Franca, a jeśli dotychczas milczałem o naszej rozmowie w cztery oczy, jeśli milczę nadal, albowiem ta korespondencja zmienia tylko obszar ciszy, ale jej nie przerywa — skoro więc zachowuję tajemnicę, to z powodu przykrych obyczajów, panoszących się w dziedzinie „komentarzy pośmiertnych". Każdy okazuje się jedynym rzeczywistym potwierdzeniem czcigodnego nieboszczyka, co potwierdzałoby słowa naszego sztandarowego absurdokraty, Władzia Grabowskiego: „W życiu pozagrobowym panuje komplet-

ne zdziczenie!". Pamięta Pani te elukubracje, gdy umarł Żeromski? Czasu by mu na literaturę nie starczyło, gdyby chciał każdemu z najserdeczniejszych — jak się okazało — druhów poświęcić bodaj połowę godzin, przypadających na wzajemną, bogatą zażyłość.. Nie chciałem się wydać jednym z nagle wtajemniczonych, gdy już delikwent zaprzeczyć nie może. Tymczasem zaś, o dziwo, byłem takim właśnie. Raz, jeden jedyny raz, ale naprawdę byłem.

Deszcz sprawił, że do tego doszło. Specjalnie lubię, kiedy pada na Marszałkowskiej, jej styl staje się wtedy smakowitszy, na wygiansowanej mokro ulicy gęstwa liter z obu stron, szyldów, reklam, znaków — staje się zabawnym mrowiskiem abstrakcji, bo niczego nie czytamy w ucieczce przed chlapaniną. Takie wyszlifowane, lśniące mnóstwo po nic, bo leje! I dźwiękowo tu inaczej, niby na zdartej płycie patefonowej: każdy głos, kląskanie kopyt końskich, pobekiwania trąbek samochodowych, tramwajowe dzwonki, wszystko w szumie, wszystko zatarte. I zamiast ludzi śpieszą linie zaaferowanych, czarnych grzybków. Dwa strumyki parasoli pod ścianami: śmiesznie jest!

Nie miałem parasola, który w naszym wilgotnym klimacie wciąż tylko żartem zwany jest paraplujem, wbrew oczywistości — więc bardzo szybko poszukałem przypadkowego schronienia przed ulewą i wpadłem tam, gdzie się przecież nie chodzi, do Leżańskiego, wie Pani, między Wspólną i Hożą, taka podłużna salka z podłogą w kafelkach, przypominających — pardon — szalet. Ciastka jednak są, kelner pół czarnej poda, tylko że nie ma n i k o g o. Już Nadświdrzańska vis-a-vis potrafi się pochlubić k i m ś, Leżański nie. Niezbadane są wyroki snobizmu, a może po prostu szlaków wydeptanych tak samorzutnie i tak nieuchronnie jak linia ścieżki na pustym polu. Jakiś niedostrzegalny łuk tej ścieżki omija akurat Leżańskiego, ocierając się naprzeciwko o Nadświdrzańską. Przecież niezbyt dawno tamtędy biegła droga między zbożami, o wiatrakach przy dzisiejszej Kruczej słuch wcale ze szczętem jeszcze nie zginął. Leżańskiemu przypadło najwidoczniej miejsce w krzakach, choć tam materialnie już nie figurują, lecz nawykowo, podejrzewam, są.

Toteż zdziwiłem się, zobaczywszy w tych krzakach Franca. Zapewne i jego wtrąciła tu plucha, kiedy wędrował na Śniadeckich. Siedział przy małej czarnej z dość oślizgłą eklerką, której nie miał zamiaru jeść, bo oglądał ją w podejrzanym skupieniu, a podniósłszy oczy, jak gdyby szukał świadków podobnie dziwnego wydarzenia, napotkał wzrokiem mnie. I wydałem mu się, będąc bądź co bądź, wyimkiem z jego normalnego otoczenia, kimś, a raczej czymś nareszcie swojskim. Nigdy przedtem ani potem nie rozjaśnił się tak na mój widok i nie wykonał tak kordialnie, szeroko zapraszającego ruchu ramieniem. Rodak, spotkany na obczyźnie, witaj rodaku!

Niecodzienność, odmienność tła sprawiła też zapewne to, że pozbawiony swojej zwykłej sceny Franc odszedł od normalnej, granej tam roli. Okazał się zwyczajnym starszym, tęgim panem w banalnych binoklach, z kiepsko farbowanym zarostem, nieznacznie, lecz trwale poplamioną kamizelką i z tą szklaneczką kawy przy czekoladowym ciastku w obcej cukierni. Oglądać monumentalnego Fiszera jako przechodnia, widok przyzna Pani, Pani Luciu, oryginalny i zaskakujący. Sprawiał też wrażenie, że po swojemu odpoczywa, ba więcej! — że jest to jeden z jego odpoczynków, jakie musiały się zdarzać po tak natężonym programie dni, a szczególnie wieczorów.

Widziałem kiedyś Jaracza w podobnym stanie. To się też zdarzyło w strefie eksterytorialnej, w kompletnie — jak ten Leżański — przypadkowej jadłodajni na Powiślu. Co ja tam robiłem? Boże mój, to cała osobna i okropnie zawikłana historia, której nigdy chyba nie opowiem, bo opis zagniótłby samą sprawę, jakiej by musiał tyczyć. Czy wyobraża sobie Pani komplet objaśnień do malutkiego westchnienia, jakie się nagle wyrwie człowiekowi, tak jak Boyowi te jego tragiczne jęki: „ach, Boże, Boże...". Trzeba by księgę napisać z tysiącem odnośników, przyczynków, dygresji i gloss — na to jedno wiotkie westchnienie, dopieroż by się nic nie zrozumiało! Toteż najpewniej nie podejmę się wytłumaczenia swoich — bo były dość liczne — peregrynacji po Powiślu i jego podejrzanych garkuchniach.

Jaracz miał jednak usprawiedliwienie Redutą, toteż nie fakt jego obecności zaskoczył, ale obraz człowieka. Jadł otóż kapuśniak blaszaną łyżką i siorbał. Nie, nie odtwarzał postaci krępego apasza, który mlaska nad miską, nic takiego, on był ciężko zmordowanym człowiekiem, jak piaskarze przy stolikach obok, jak jacyś retmani, złodziejaszkowie z Czerniakowskiej, furmani, tutejsi ludzie. Łyżka cynowa, talerz do kapuśniaku biało emaliowany z rąbkiem, i siorbanie spowodowane ukropem potrawy. I chlebem suchym pogryzał, i setkę wódki, jak się tu mawia, obciągnął — i nikt z obecnych (prócz mnie, co dla bohatera sceny nie istniało zgoła) nie wiedział, że to akurat tytan kulturowy tam w kącie zupę pałaszuje. Oto, jakiś taki przysadzisty facet...

Teraz przy Marszałkowskiej, lecz w nie używanym po temu punkcie ulicy, tkwi wyzbyty maski, kostiumu i pozy Fiszer. Usunąwszy się na chwilę ze swojego służbowego szlaku, odsapywał od obowiązku bycia Francem Wielkim. Cmokał tę kawę i przymierzał się do eklerki. Ja stanowiłem trzeci rekwizyt samotności.

Jednocześnie nadawałem się do zwierzeń, jak mało kto, bowiem nie ma dalszego towarzyskiego ciągu coś, co się powie temu „Stasiowi od czą kania" nie jest przecież Staś wmontowany w żaden układ wpływów lub znaczeń międzyludzkich. Mówiąc k wieciście: czapka niewidka o cechach dejanirow i koszuli, gdy się to weźmie od strony Stasia... Toteż Franc niemal bez wstępu wszedł w zupełnie prywatne wyznanie, co czyniło nieodparte wrażenie, że zaczął „głośno myśleć", a moja nikłość była jeno ułatwieniem monologu wewnętrznego. Bo są też, Pani Luciu, również dobi strony bycia kragłym zerem: udziesięciokrotnia ono, na przykład, jedynkę, jeśli stanie za nią. Fiszer u Leżańskiego zwielokrotnił tym trybem rozmowę z samym sobą, kiedy obok szklaneczki tkwił niepozorny Staś, grzecznie milczący Nikt.

Fiszer mówił zatem półgłosem, niemal mamrotał, musiałem uważnie łowić zamazane słowa, bo nie dbał, abym je usłyszał jak należy:

— Jest taki wiersz Baudelaire'a o albatrosie, o tym, że ptak ten winien tylko szybować, bo na ziemi... Na pokładzie statku staje się bezsensowny, tak ciężko wloką się za nim zbyt

duże, za ciężkie skrzydła. Taki właśnie wiersz napisał. Dobrze napisał, zawsze pisał dobrze, ale to mu się szczególnie udało. Czy Staś wie, że to właśnie o mnie napisano? Tak, my ze Stasiem jesteśmy sobie dwa improduktywy z ogieńkiem w środku. Boy chciał mnie pocieszyć, kiedy się upierał, że istnieją artyści bez teki, jak ministrowie bez teki. Że nawet jego brat, samobójca, był właśnie tym niewypłacalnym twórcą. Mała to pociecha, chociaż ładna.

Popatrzył przez zaparowaną szybę na ulicę, gdzie zgrzytliwie prześlizgiwały się strasznie czerwone tramwaje, a jedni ludzie pędzili po trotuarze tam, skąd właśnie nadbiegali inni.

— I ja też, Stasiu, popełniłem samobójstwo z braku tej teczki, tych papierków, jakie powinna zawierać. Bo powinna. Bez nich nie ma się z czego rozliczyć, nie ma się czym wylegitymować, zaświadczyć, pokazać kwitek z pieczątką ważności, weksel z dobrym żyrem. Rimbaud wypełnił formularze w pośpiechu, na odczepne, na kolanie i zniecierpliwiony tym, że są potrzebne, no, ale jednak wypełnił i mógł sobie dalej myśleć swoje w ciszy, wypłacił co należy. Temu szczeniakowi, temu od „Ubu Roi", Jarry'emu wydawało się jednak, że trzeba dawać nadal, więc zanudzał, zamęczał wszystkich jakimiś zbędnymi tekstami, był arogancki, szwędał się po Parnasie i Montparnassie, strugał literata, artystę, ech... Podobnie ten nasz, Uniłosio, a byłoby z nim gorzej, gdyby w porę się nie zawinął. Straszny jest, Stasiu, taki homo na pewno unius libri, który się upiera, że będzie Kraszewskim i że następnego roku przyniesie do Roju następny szlagier! Rimbaud wiedział, że to zbędne, chociaż też był smarkacz — a wiedział. Ci nie wiedzą.

Spróbował kawę, lecz była już zimna, więc odsunął ją definitywnie.

— No, a ja wiedziałem, niestety, jeszcze więcej i jeszcze wcześniej. Jak pewna moja kuzynka, która świetnie grała, zwłaszcza Szopena i Brahmsa i masz tobie, któregoś dnia zatrzasnęła klawiaturę, bo, powiada, za dobrze zna się na muzyce, żeby słuchać własnej interpretacji! Miałem jej Paderewskiego trzymać w soloniku pod palmą? Niżej tego rudzielca nic jej zadowolić nie mogło, więc zabroniła grać komuś tak mało mistrzowskiemu, jak ona sama. I widocznie to rodzinne, bo ja nawet nie zacząłem pisać, już przed wzięciem pióra do ręki rozumiałem dokładnie to samo, co ona o sobie, Stasiu. To samo... Ani jednego formularzyka się nie wypełniło, już nie powiem: statku pijanego, ale nawet lekko zawianej łódeczki nie spuściłem na wody. Nic, rien, nullo. Ty też jesteś zerem, ty, Stasiu, to rozumiesz, bidaczyno. Nie trzeba mieć takich wymagań, zabijają.

Pomilczał chwilę, zdjął binokle i przecierał je machinalnie połą marynarki. Nie znałem tego trywialnego gestu, jeśli czyścił szkła, dokonywał tego lekką i lekko strzepniętą chusteczką z małej kieszonki (inna sprawa, iż dosyć nieświeżą, lecz jednak). Teraz ugniatał grube soczewki grubymi palcami przez ciemny, trochę wyświechtany szewiot, co było z jakiegoś powodu brzydkie i żałosne. Nasadził je wreszcie na pot..żny nos i wrócił do wyznań.

— I zagłodziłem tego swojego albatrosa. Zagłodziłem go, zamiast napaść czymś i wzmocnić do lotu. Żeby pofrunął, jak mu się należy, żeby nie wlókł piór między majtkami majtków po deskach okrętu. Pomyśl, Stasiu, ja, który tak pasę, tak tuczę ten kałdun, tak mu dogadzam i tak dbam o menu, żeby nie było dysonansów, żeby się bezbłędnie komponowało... Ja zamorzyłem bodlerowskiego ptaszka, utrupiłem go samobójczo, jak ten drugi Żeleński siebie. Ja przecież nawet nie mam dzieci. Każdy dorożkarz to potrafi, ja nie. Nic nie mam.

Oczywiście nie odezwałem się, mimo wszelkie „Stasiu, wie Staś, proszę Stasia" i inne tego typu zwroty, pełniące jawną rolę interpunkcji nie kontaktu. Miałem, co prawda, ogromną ochotę, by powiedzieć staremu, że nie jest tak źle, że te akordy, jakimi grał na naszych cercle'ach, te , nikowe dowcipy, tężejące z punktu w długoletnie cytaty — że to jest „wypełnienie formularzy", weksel, żyrowany najświetniejszymi podpisami współczesności. Takie były jego dzieci, dużo żywotniejsze od dorożkarskich.

Zrobił to za mnie i tym samym dołożył ciężarów własnemu sercu — bo skoro i ten obszar uznał za bezpłodny... Odpowiedział bowiem głośno na moje przemilczane pociechy:

— Wiem, wiem, improwizuję bardzo zręczne sztuczki. Z paru nawet jestem zadowolony. Udało mi się ładnie powiedzieć o panu rejencie, że zajeżdża pusta dorożka i wysiada Leśmian... Taaak. To danie słowa honoru, że Boga nie ma, też miało klasę. I jak nas po uczcie u jenerał-gubernatora na Zamku kozunie nahajkami zaczęli siec żeby się w głowach nie poprzewracało, i jeszcze kilka podobnych. Wiem. Ostatecznie, jak się rozmawia z ludźmi, trzeba mówić po ludzku. Ale zauważył Staś? Jest jeden, którego najchętniej wyciągnąłbym na rozmowę, który jest najbliżej tego, by mi powiedzieć coś szczególnie ważnego. Parandowski. I on akurat, „kłaniając się, umyka", bo ja błazen jestem dla niego, Falstaff bez zaplecza Szekspira jestem, beczka sadła ku uciesze gawiedzi dla niego jestem... Nie przecz kochany. Parandowski wie coś więcej i ukrywa przede mną, bom mu nie wart strzępienia języka. Kiedyś, raz, zaczął mówić, i to bardzo ważne rzeczy. Że mitologia grecka, ta co ją niby znamy. „Herkules hydrze wydrze", nie była wcale religią w naszym dzisiejszym rozumieniu! Nie należy jej traktować po biblijnemu, jako fali, napływającej na nasze głowy skądś z wysoka, ale przeciwnie: jako idące z dołu, z ciągle nie zgruntowanej głębi ludzkiej duszy emanacje, wznoszące się opary. Niby te dymy z wróżebnej jamy delfickiej, z wnętrza człowieka, i trzeba nam szukać wyroczni... Tak. Zaczął mówić, ale się przede mną cofnął, spłoszył; już nie wróci, nie wróci... Już pani Wanda Rogowiczowa powiada o mnie: „Il est grand dans son genre, mais son genre n'est pa grand" (Tłumaczenie z grubsza: „Jest wielki w swoim zakresie, ale ten zakres nie jest wielki").

Fiszer odchylił się w krzesełku, aż skrzypnęło, popatrzył teraz w sufit cukierni, potem przelotnie nad moją głową, a następnie przetarł czoło całą garścią, nim podjął z westchnieniem:

— Parandowski, widzisz, napoczął coś o wierzeniach chtonicznych, z epoki grubo przed Homerem, przed uporządkowaniem w literaturę. To było to, czego właśnie szukał sam grunt, gleba, mój początek i majątek. Ja jestem ze wsi, którą zresztą całą przeżarłem, aż do ostatniej, najmniejszej kosteczki chudego kurczaka, chociaż zaczynałem od tłustych wołów i grubych drzew w mojej Dąbrowie. No i widzisz, Stasiu, pozostałem w środku chtoniczny, z ziemi taki, ze skiby, z łąki, lasu. Ale powiedzieć tak sobie, to za łatwo i za mało, trzeba uchwycić, zgruntować, zrozumieć co jest w takim (— tu klepnął się w kałdun, opięty kamizelką —) w tym worku gadulstwa i knajpiarstwa chtoniczne, przedhomeryckie, prawdziwe.

Dlaczego albatros mógłby mieć mocne skrzydła do fruwania? Ja już to prawie, że złapałem, ale dopiero Parandowski mógłby pomóc tej świadomości, która rzeczywiście steruje, on mógłby naprowadzić na kurs do Itaki! To tam, na Itace, dowodem obłędu było orać głupio, idiotycznie sprzężajem, być niefachowcem rolnym! Pojmujesz, Stasiu! To był rzetelny miernik wartości Odyseusza. Nie konik z drewna wojskiem nadziewany, nie fortel przeciw zawinieniu podwładnych, nie maskarada rycerza w łazęgę, ale pług, pierwotna socha! Zresztą dość tych metafor...

Oparł się swoim ogromnym ciężarem o mały blacik marmurowego stolika i zmierzał ku finałowi zwierzeń, bo już błądził palcami w pobliżu binoklowego uchwytu: usłyszałem zatem:

— Parandowski ma to bez cudów, zwyczajnie uporządkowane w swojej bibliotece, pod numerkiem, oczywiście rzymskim, i mógłby mi udzielić porady, zawiadomić o prostym, chtonicznym sposobie na życie. O konkrecie, o uchwytnej rzeczy, bo tylko konkrety są paliwem piękna. Ba, kiedy on nie chce ze mną gadać, samolub. Co mi tam najdowcipniejszy nawet Świątek, ale ten, tamże mu tam... Mniejsza. Aha, Minkiewicz. Potwornie zdolne bestie! Wszystko napiszą. Za darmo, za same złotówki, nic więcej. Żadnych aspiracji. Paczkowski, taki dzieciak, to samo. Za darmo, za darmo. Tyle talentu...

I na koniec chwycił palcami zacisk pince-nez, wyprostował się, olbrzymi, nade mną, marsa na czole postawił i zahuczał, jak należy:

— Dobrze, Stasiu, nie mamy talentu. Bo szkoda by go było dla takich niezdolnych.

I po tej cukiernianej rozmowie nie tak wiele minęło czasu, nigdy nie mija go dużo między czymś ważnym a czymś istotnym, kiedyśmy, siedząc na stypie u Simona i Steckiego, zanim wyszło na jaw, że za nas już Franc zapłacił — próbowali wnikliwie dociekać, co też to oznaczały słowa o albatrosie, już rozgłoszone, chyba dzięki Seli Gelbart. Mówiąc ściślej: oni wszyscy dociekali, bo akurat ja wiedziałem dokładnie, skoro mi Fiszer po prostu powiedział, jak zabijał ptaka z wlokącymi się skrzydłami. Nie brałem udziału w egzegezie, albowiem zostałbym wyśmiany, jako chwalipięta i kłamca. Nawet Pani, Pani Luciu, miałem tego nie pisać, gdyż milczenie w tej kwestii stanowi gwarancję prawdy. Jednakże nie potrafię przed Panią niczego ukrywać dłużej, niż przez półtora listu. Nie potrafię...".

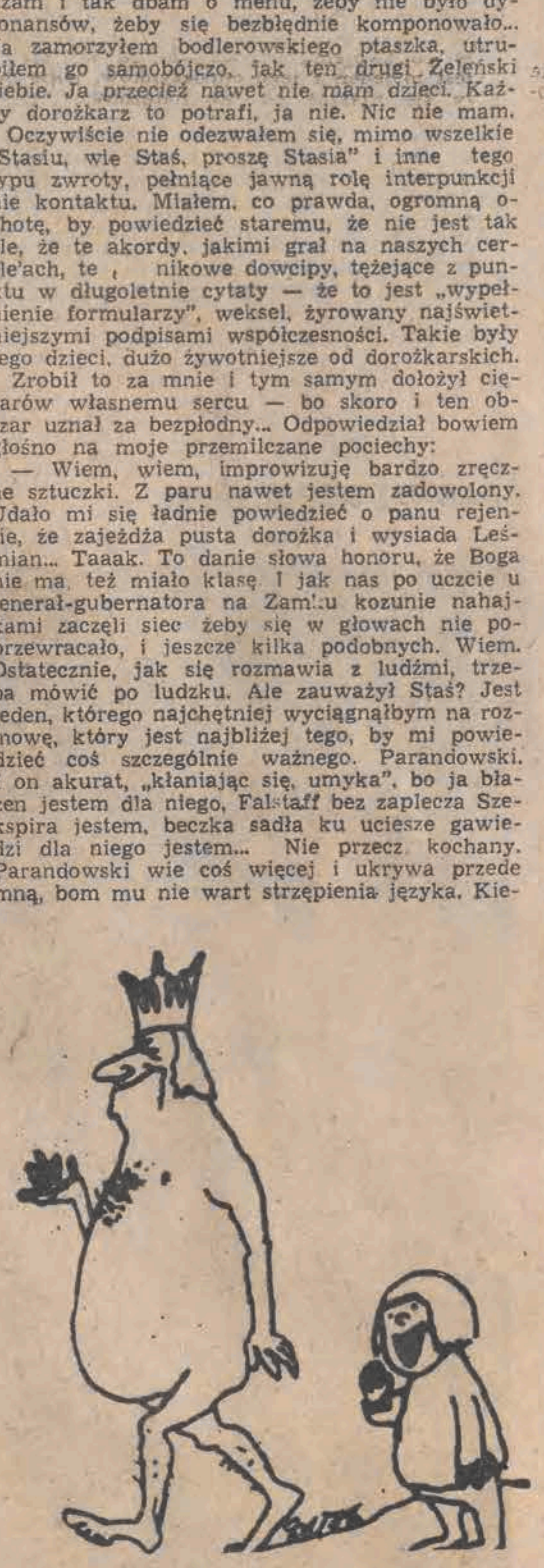

— Nie szata zdobi człowieka! Nie szata zdobi człowieka!

Stanisław Jachowicz

Kukuryku

Piał kogucik: kukuryku!
Wstawaj rano, mój chłopczyku!
A chłopczyk się ze snu budzi,
Patrzy... dużo chodzi ludzi;
Więc się szybko zrywa z łóżka,
By nie uszedł za leniuszka;
I rzekł: — za twe kukuryku
Dziękuję ci, koguciku!

Andzia

— Nie rusz, Andziu, tego kwiatka,
Róża kole — rzekła Matka.
Andzia Mamy nie słuchała,
Ukłuła się i płakała.

Staś

Staś na sukni zrobił plamę;
Idzie i przeprasza Mamę.
Korzystając z chwili, Mama
Rzecze: — Na sukni wypierze się plama;
Ale strzeż się, moje dziecię,
Brzydkim czynem splamić życie;
Bo ci, Stasiu, mówię szczerze,
Ta się plama nie wypierze.

Tadeuszek

Raz swawolny Tadeuszek
Nawsadzał w flaszeczkę muszek,
A nie chcąc ich morzyć głodem,
Powrzucał tam chleba z miodem.
Widząc to Ojciec, przyniósł mu piernika,
I nic nie mówiąc, drzwi na klucz zamyka.
Zaczął się prosić, płakał Tadeuszek,
A ojciec na to: — Nie więź biednych muszek! —
Siedział dzień cały. To go nauczyło:
Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło.

Chory kotek

Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku,
I przyszedł kot doktor: — Jak się masz, koteczku?
— Źle bardzo... — i łapkę wyciągnął do niego.
Wziął za puls pan doktor poważnie chorego,
I dziwy mu prawi:
Zanadto się jadło,
Co gorsza, nie myszki, lecz szynki i sadło;
Źle bardzo... gorączka! źle bardzo, koteczku!
Oj! długo ty, długo poleżysz w łóżeczku,
I nic jeść nie będziesz, kleiczek i basta;
Broń Boże kiełbaski, słoninki lub ciasta!
— A myszki nie można? — zapyta koteczek —
Lub z ptaszka małego choć parę udeczek?
— Broń Boże! pijawki i dieta ścisła!
Od tego pomyślność w leczeniu zawisła.
I leżał koteczek; kiełbaski i kiszki
Nietknięte; z daleka pachniały mu myszki.
Patrzcie, jak złe łakomstwo! kotek przebrał miarę;
Musiał więc nieboraczek srogą ponieść karę;
Tak się i z wami, dziateczki, stać może!
OD ŁAKOMSTWA STRZEŻ WAS BOŻE!

IGOR SIKIRYCKI

Krótką mamy pamięć, czyli wspomnienie o Stanisławie Jachowiczu

Wśród książek, które przechowuję z ogromnym pietyzmem, zarówno rozmiarem, jak i staranną oprawą wyróżnia się liczące ponad 1500 stron opasłe tomisko opatrzone tytułem: „Wieniec". Pismo zbiorowe, ofiarowane Stanisławowi Jachowiczowi przez pierwszych kraju Autorów oraz licznych innych Jego przyjaciół i wielbicieli. Warszawa, w Drukarni Alexandra Gins, ulica Elektoralna, nr 755, rok 1857.

Wyznaję szczerze, że nieczęsto sięgam do tego dzieła, stanowiącego niezwykły dokument świadczący o ogromnej popularności pisarza, którego śmiało możemy nazwać ojcem polskiej literatury zaadresowanej wyłącznie do dzieci. Nieczęsto, a jednak dzień 24 grudnia br., stanowi szczególną okazję, aby pochylić się nad tą księgą. W dniu tym mija bowiem 125 rocznica śmierci człowieka, którego ogromne zasługi nie tylko w dziedzinie literatury dziecięcej, ale także znakomitego pedagoga, krzewiciela piękna mowy ojczystej, uległy niemal całkowitemu zapomnieniu.

Jakże trudno uwierzyć w te słowa w kontekście wspomnianego „Wieńca". W nim bowiem ponad 300 polskich pisarzy z trzech zaborów, a także przebywających na emigracji złożyło hołd skromnemu opiekunowi sierot, który cały swój talent poświęcił dzieciom.

Przerzucam pożółkłe karty księgi i skrzętnie notuję wybrane strofy oraz nazwiska autorów, bardziej nam znanych od zasłużonego jubilata.

...Więc jaśniej patrzysz na ziemię:
Znasz jej nędzę, niedostatki,
Ty co trzecie już plemię
Rozrzewniasz dzieci i matki!
Franciszek Wężyk

...Cześć ci śpiewaku dobrego posiewu!
Cześć polskich dziatek wierny opiekunie!
Lutnia twa cięta jest z Bożego krzewu!
I stróże Anioły grają po Twej strunie!...
Wincenty Pol

...Jakaż to siła cherubinowa
Zstępuje z piersi, jak grom w otchłanie?
Słowem wygłaszać potęgę słowa,
Znacież wy śmielsze zadanie?
Deotyma

...Trzeba mistrzów, co pilno badając puls młodzi,
Mówiliby „To godzi, a to się nie godzi"...
Władysław Syrokomla

A dalej: Cyprian Norwid, Aleksander Fredro, Lucjan Siemieński, Adam Pług, Felicjan Faleński, Narcyza Gabriela Żmichowska, i nawet Józef Ignacy Kraszewski:

...Wiele głosów wypowie narodu uczucie,
Dziatki Ci zaśpiewają Twoje własne pieśni
Poznasz plon Twego ziarna w ich niewinnej nucie
I całe Ci się życie w ich śpiewie odeśni...

Niestety, nie sprawdziły się słowa jednego z najbardziej płodnych pisarzy polskich. Choć istotnie na strofach bajek Jachowicza wychowało się kilka pokoleń, on sam jakby oddzielony „od plonu swego ziarna" uległ niemal całkowitemu zapomnieniu, do tego stopnia, że nawet najbardziej popularne jego wierszyki, takie, jak: „Chory kotek", „Tadeuszek" czy też „Andzia" powędrowały do archiwum twórczości anonimowej. Jak podaje „Wieniec" we wspomnieniu Hipolita Skimborowicza: „Stanisław Jachowicz urodził się w małym miasteczku Dzikowie dnia 17 kwietnia 1796 roku, w szlacheckiej, ale niezamożnej rodzinie, zasnął na wieki w Warszawie dnia 24 grudnia 1857 roku. Pochowany został na Powązkach, gdzie stanie dlań niezawodnie pomnik, wzniesiony staraniem dziatek polskich... Towarzystwo Naukowe Krakowskie mianowało Jachowicza członkiem-korespondentem w roku 1857. Pięć z liczby dziełek Jachowicza liczyło po dwa wydania, jedno miało trzy wydania, a bajki sześć wydań. Zostawił Jachowicz w rękopisie: „Zarysy historii polskiej" (wierszem), „Pomysły do poznania zasad języka polskiego", „Elementarz polski" z licznymi drzeworytami, które po większej części wykonywała guwernantka z pensji panien Wizytek w Warszawie".

Chociaż od dnia śmierci ojca polskiej literatury dziecięcej minęło 125 lat, i choć „Wieniec" złożony w tym czasie przez przyjaciół pisarza nie zwiądł jeszcze doszczętnie, zdumienie musi budzić fakt, iż od tego czasu na temat Jachowicza ukazały się tylko dwie prace. Jedna z nich to biografia znakomitej znawczyni nie tylko twórczości Jachowicza i współczesnych mu systemów wychowawczych, Izabeli Kaniowskiej-Lewańskiej oraz druga, niezwykle interesująca opowieść pióra Tadeusza Rojka, pt. „Kałamarz z bajkami", wydana w 1979 roku nakładem „Naszej Księgarni". Próżno szukalibyśmy wzmianki o Jachowiczu w podręcznikach szkolnych, czy też w „Dziejach literatury polskiej" Juliana Krzyżanowskiego. Nie sprawdziły się bowiem słowa autorów „Wieńca", mówiące o tym, że Jachowicz żyć będzie zawsze w pamięci całego narodu. Niestety krótką mamy pamięć. A szkoda, bo warto chyba pamiętać o tym, że jak informuje wstęp do bajek Jachowicza, wydanych w 1913 roku, „na Cmentarzu Powązkowskim, koło katakumb, prawie na wprost Pierwszej Bramy, jest skromny nagrobek. Poznacie tam w kamieniu wykute te same łagodne rysy, to spojrzenie serdeczne, co na obrazku, który w tej książce macie. Pomódlcież się na grobie tego przyjaciela waszego i przyrzeknijcie mu, że będziecie dobre i grzeczne, jak te najlepsze dzieci, które on opisał w swych bajeczkach, a potem przeczytajcie śliczny napis na jego grobie:

Czysty sercem, co go wiodło
Wśród burz życia i zamieci
Chrystusowe przyjął godło
Ojca wszystkich biednych dzieci.

Dokończenie ze strony 1

został objęty teren wiertni wraz z budynkami zaplecza. Poparzeniu uległo 4 członków załogi wiertniczej, przy czym po udzieleniu pomocy lekarskiej 2 z nich skierowano do domu, natomiast dwóch pozostałych z oparzeniami drugiego stopnia otoczono opieką w szpitalu. Jeszcze w tym samym dniu powołano sztab akcji kierującej pracami zmierzającymi do zabezpieczenia zagrożonego terenu i przystąpiono do opracowania planu likwidacji pożaru i erupcji gazu ziemnego (...).

No i zaczęło się. Stopniowo lakoniczne notki przedzierały się

NA PIERWSZE KOLUMNY GAZET

na bardziej eksponowane stanowiska, tytuły były coraz bardziej ekscytujące, zaczęły się „własne informacje"! „od naszego wysłannika", „telefonem z Karlina" etc. Gaz z ropą płonęły coraz efektowniej, przybywało ratowników, specjalistycznego sprzętu. Każda gazeta musiała mieć własny reportaż, własne fotki z widokiem buchających w niebo płomieni. Płynęły dni, tygodnie, zaczęły się oficjalne wizyty w Karlinie i pierwsze rozważania z cyklu „*co my teraz zrobimy z tym bogactwem?*". Wiele osób ze zdziwieniem czytało, że mamy własną ropę, że „*płynie to panie, i płynie*". I każde dziecko wkrótce wiedziało co to takiego prewenter, erupcja, strażacy z całego kraju nareszcie mieli prawdziwe pole do popisu.

Ech, to były piękne dni. Przebiegiem akcji ratowniczej żyli wszyscy. Czegóż tam zresztą nie wyczyniano! Rozkopano okoliczne pola, stawiano ziemne barykady, ziejący ropą szyb polewano wodą, pianą, ba, do resztek wiertni strzelano z prawdziwych dział i haubic. Minęła Wigilia, Nowy Rok, a emocje nie mijały. W hutach obstalowano specjalne rury, w Karlinie budowano bocznice transportowe, zastanawiano się, czy wystarczająca będzie skromna armada naszych własnych tankowców. Bo tony ropy płynęły wciąż dzień i noc. Niektórzy sugerowali, że odkryte złoże jest tylko trochę mniejsze od tych w Zatoce Meksykańskiej. Padały oceny, iż z szybu wydobywa się co najmniej 20 tys. ton ropy na dobę. Normalnie zapachniało autentycznym szejkanatem. Daszewo miał się zwać. W okolicznych GS-ach pytano poważnie o świdry wiertnicze, chłopi przeliczali ceny roponośnych działek, a na szkolnych zabawach młodzież defilowała w prześcieradłach, udając Beduinów.

W styczniu 1981 roku, strażacy, jakby znudzeni już całą aferą, pobawili się jeszcze trochę z gazowo-ropną „świeczką", aż wreszcie 10 stycznia 1981 r., w parę minut zgasili ją i basta. Podpalono później szyb, jak papierosa, w sposób kontrolowany, zmontowano ostatnie przewody do transportu ropy, zastanawiając się czy jednak rurami, cysternami, czy

PRZY UŻYCIU ZBIORNIKOWCÓW!

Ale już w połowie miesiąca delikatnie sugerowano, że to jednak nie 20 tys. ton na dobę, ale 580 ton, a może ieszcze mniej...

— *O tych tankowcach myślano naprawdę poważnie* — wspomina z uśmiechem kierownik Jakubowicz. — *I dobrze, że nie skorzystano z tej oferty, statki zardzewiałyby pewnie na redzie w Kołobrzegu. W końcu te trzydzieści parę ton na dobę z otworu Daszewo można spokojnie samochodową cysterną przewozić... Mógłbym jeszcze trochę „kurek" odkręcić, ale muszę ostrożnie zasobami gospodarować — czekam w Kołobrzegu na mieszkanie. A ciśnienie wciąż spada, więc nie mogę wszystkiego na raz wyciągnąć, jeszcze z rok muszę tu gospodarzyć...*

Ośrodek w Karlinie „dyryguje" pracą jeszcze innych kopalni, eksploatujących naszą „wielką" ropę. W najbliższym sąsiedztwie daszewskiego odwiertu też drążono kilka innych szybów. W

Karlino' 82
Znicze z wielkiej ropy

czasie przechadzki po terenie „kopalni" i okolicznych polach przepytuję więc kierownika „na tę okoliczność".

— *Tak, tak, jeszcze w czasie akcji wiercono szyby ratunkowe, pamięta pan. Na przykład taki R-1K. Trafił akurat na tzw. spąg złoża, na głębokości 2902 metry i daje dziś więcej ropy niż Daszewo — 40 ton na dobę. Za to gazu mniej — raptem około 8 tysięcy metrów sześciennych, a tamten regularnie te swoje 20 tysięcy. No tak, ale już R-3 nie trafił w złoże, mimo, że oddalony raptem o 200 metrów od „Daszewa". I klapa. Wie pan, tu wszystko — tak wygląda przynajmniej — poprzecinane uskokami, powypiętrzane, powybrzuszane, stąd takie duże było początkowo ciśnienie w pierwszym trafionym odwiercie. To wszystko siedzi w dolomicie, to taka fałszywa trochę skała, mogą być jakieś ruchy wody — dziś ropa jest, jutro nie ma. Ratunkowa „dwójka"? Owszem wszedł w złoże, ale chyba już inne; jest ropa, ale strasznie zasolona. Został zaczopowany, czyli jak to się u nas określa — zagłowiczony.*

— *Owszem ropa jest, na Wybrzeżu. To znane historie, taki „trójkąt bermudzki": Białogard — Nowogard — Kołobrzeg. O Kamieniu Pomorskim też pan na pewno słyszał, to stare sprawy. Ale 200 ton na dobę z tego rejonu to też już przeszłość. Istnieją chyba z 10 lat, ale ostatnio „łapią" bodaj po kilkanaście ton na dobę. Inne moje kopalnie? A jakże, działają. Na przykład taki Żarnowiec: dwa otwory — Dąbki-1 i G-4, w sumie około 50 ton ropy. Nie, nie na dobę, na miesiąc... Co trzy dni trochę odpuszczą, bo gdyby eksploatowali szyby w sposób ciągły gaz by uciekł i ropy nie wypchnął. Gorzysław też mnie podlega, też ma ropę, ale tam to już prawie w kanistry zbierają...*

Tak sobie sympatycznie dyskutując dobrnęliśmy grząskim polem do niewielkiej wyspy w morzu skib, małej enklawy ziemi otoczonej siatką, ze sterczącą pośrodku, zbrojną w jakieś pokrętła i zawory głowicą eksploatacyjną. Tak wygląda dziś

SŁYNNY SZYB

który według wielu laików miał nas wprowadzić w zaczarowane kręgi liczących się producentów ropy naftowej. Zagospodarowując zniszczone tereny wokół odwiertu Daszewo pługi z SKR orzą ziemię na głębokość do 70 centrymetrów. Okolonego siatką dumnego prewentera może nie zaorzą, ale kabel teleksowy już parę dni temu uszkodzili. W oddali widoczne podobne dwie wysepki na brunatnym tle pola. To wspomniane wcześniej otwory ratunkowe. Ich los już znamy. Ubłoceni wracamy na teren „kopalni", gdzie choć błyszczące w słońcu zbiorniki gazu skuszą redakcyjnego fotoreportera.

Będąc świeżo pod wrażeniem tragedii w kopalni „Dymitrow", pytam o potencjalne zagrożenie na niewielkim placu. Tu jednak, choć szyld podobny, do wypadku dojść nie ma prawa. Otwarta przestrzeń, potężne zbiorniki starannie okopane, pracują eksplorymetry, metanomierze, choć te ostatnie jakoś obecności groźnego metanu nie stwierdzają. Zbiorników zainstalowano dziewięć, ale — jak dyskretnie mój rozmówca przyznaje — pięć by wystarczyło w zupełności. Obok budynek tłoczni, dalej elegancki budynek socjalno-gospodarczy. W trakcie budowy zresztą, kończony przez ekipy „Naftomontażu" z Krosna. Jeszcze dalej wygodny, choć pusty na razie basen. Przeciwpożarowy, ale latem to majtki kąpielowe warto mieć ze sobą w pracy. Grupę budynków zamyka najbardziej widoczny z pobliskiej szosy drewniany gmach zwany w literaturze „sławojką".

I to już właściwie wszystko. Za siatką ogrodzeniową znów świeżo zaorane skiby i — coś jakby miniatura słynnej, karlińskiej „świeczki". Taka sobie niewielka rura z małym płomykiem na szczycie. Kierownik Jakubowicz macha z dezaprobatą ręką:

— *Gaz, jak wiecie, przekazujemy do Zakładu Płyt Pilśniowych i Wiórowych w Karlinie, niech będzie z niego pożytek. Ale wiadomo, oni wszystkiego nie zużyją, mają jakieś niespodziewane przerwy produkcyjne. Czasem gazu po prostu nie potrzebują, ale ja ze względu na brak kleju, czy innych produkcyjnych „duperel" nie będę przecież u siebie otworu czopował. Toteż muszę mieć taki wentyl bezpieczeństwa. A „świeczki" takie istnieją przy każdej szanującej się kopalni ropy na świecie. Ostatnio tylko trochę knot przykręciliśmy, bo się redaktor Żółtek z telewizji rozsierdził, że gaz marnuję...*

— *Załoga? Około 30 ludzi. Na początku było więcej, ponad 40, wszyscy walili jak w dym do kopalni, zwabieni wizją Kuwejtu i planowanymi zarobkami. Później sami odchodzili. Nie, nie, ta trzydziestka jest potrzebna, nie przesadzajmy, toż te rabatki na froncie to też nasza robota. Choć rzeczywiście, przeszliśmy z systemu 3 brygad na czterobrygadowy. Po cóż się mają chłopaki nudzić na zmianach, niech każdy ma tydzień wolnego. A jak jeszcze zainstalowaliśmy samoczynny zawór regulujący płomień „świeczki", to i „ferbla" nie trzeba w czasie roboty przerywać...*

Lekko przemarznięci wracamy do gabinetu kierownika. Kurzymy, jak to mówią — „po całym". Jakubowicz ma, przyznaję, trzeźwe podejście do sprawy naszych podziemnych zasobów ropy i gazu. Jest realistą.

BEZ PSEUDOARABSKICH ZWIDÓW

Pozbawiły go emocji lata pracy w kopalni w Gorzysławiu.

— *Kochany, te na okrągło 300 tys. ton ropy rocznie to rzecz jasna kropla w morzu naszych potrzeb. Kuwejtem nigdy nie byliśmy i nie będziemy. Nie byliśmy, choć w latach międzywojennych wydobywaliśmy tego płynu trochę więcej, bodaj w granicach pół miliona ton. Ale trzeba kopać, trzeba wiercić, trzeba szukać. To nie moja branża, niech pan porozmawia ze specjalistami z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Nafty i Gazu w Pile, oni tu parę otworów ostatnio odwiercali. Znaleźli, o ile się orientuję trochę gazu i bardzo dobrze, ale ropy, choć to odwierty w promieniu paru kilometrów, a i głębokości podobne — nie. To zdaje się około 50 milionów — na „stare" pieniądze — taka jedna dziura kosztuje. Ale trzeba szukać, nie ma innej drogi, jeśli chcemy na takie choćby jak Karlino okazy trafiać. Owszem, sejsmografia, geofizyka — to nauki już szeroko wykorzystywne i z przyszłością, ale zawsze wiercenia będą jedyną metodą uwiarygodnienia przypuszczeń.*

— *I musimy „borować", właśnie na tych terenach, jak mówiłem — w „trójkącie bermudzkim". Wiadomo, że jak się trafi, to ropę wyrzuci tu samoczynnie, taki charakter mają te źródełka. Jest dla nas szansa, to tak zwana ropa zgazowana, a na pompownie nie ma co liczyć. U nas w kraju takie operacje przeprowadza się praktycznie do głębokości 700—800 metrów, a nie jak tu — z trzech kilometrów. Koszty byłyby zbyt wysokie.*

Żegnamy się, życząc szefowi kopalni Karlino, by jego podstawowe źródełko nie wyschło jeszcze długo. I to nie tylko ze względu na upragnione mieszkanie. Wracamy jeszcze na chwilę w rozmowie do „gorących" tygodni sprzed dwóch lat.

— *Wie pan, ta sława Karlina była trochę sztuczna i przypadkiem „rozkręcona". Bodaj dwa miesiące wcześniej rozpoczęto eksploatację podobnego odwiertu, Błotno się zwie, wydajność była tam większa, ale erupcji nie stało, więc nikt się tym nie zainteresował. I o Daszewie też by nikt nie słyszał, gdyby się w sumie przypadkiem gaz z ropą nie zapalił. Metoda późniejszego działania była rozsądna, zgodna z zasadami sztuki, zresztą ówczesny głównodowodzący — dyrektor Kilar — to świetny fachowiec. Że długo trwało? Ano, jak to zwykle w tym kraju — niezbędne są uzgodnienia, ustalenia, telefoniczne porady i podpisy. I nikt nie wie, niech pan nie wierzy w teoretyczne rozważania specjalistów nawet, ile wówczas straciliśmy forsy. Bo tak się mówiło. Ale nie ma takiego mądrego, który by precyzyjnie określił, ile wtedy szło z dymem gazu, a ile ropy.*

Już w drodze powrotnej przypomina mi się najnowszy „patent" pracowników kopalni Karlino. W trakcie eksploatacji obu otworów sporo kłopotów mają z parafiną. Osadza się ona w przewodach i trzeba ją pracowicie zeskrobywać, by zapewnić, jak się to wytwornie określa — drożność rur. To i wpadli na pomysł, by ją po takich przymusowych płukaniach nie wyrzucać, tylko zbierając w specjalne „łapacze" — magazynować i sprzedawać rafineriom. Prawdziwe „trzy S". A gdy ropa będzie sączyć się już bardzo cienką strugą, mogliby uruchomić jakiś oddział czy zakład, wytwarzający na przykład lampki nagrobkowe. Kto wie, nawet nieźle by to brzmiało: Przedsiębiorstwo Produkcji Świec i Zniczy w Karlinie...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

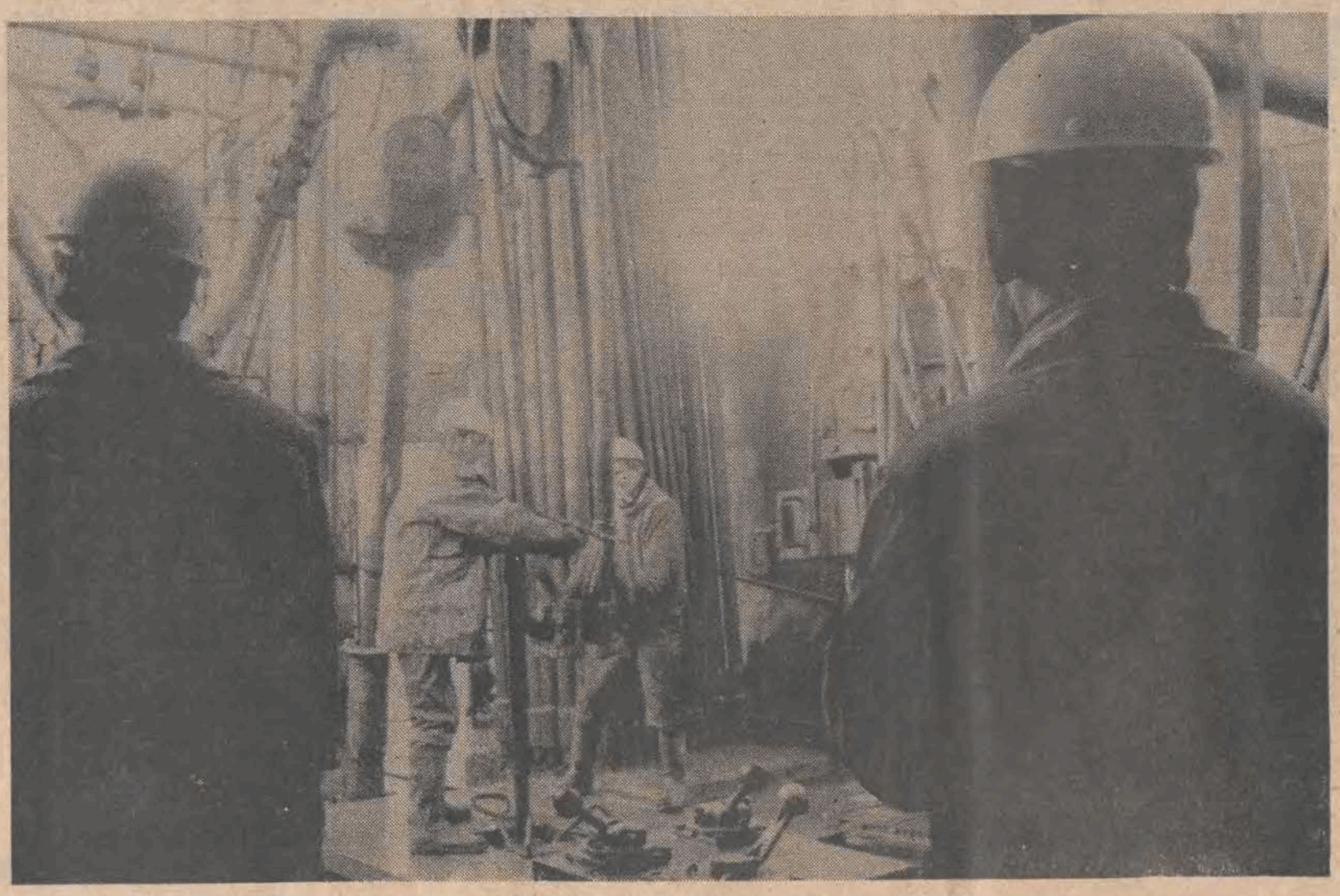

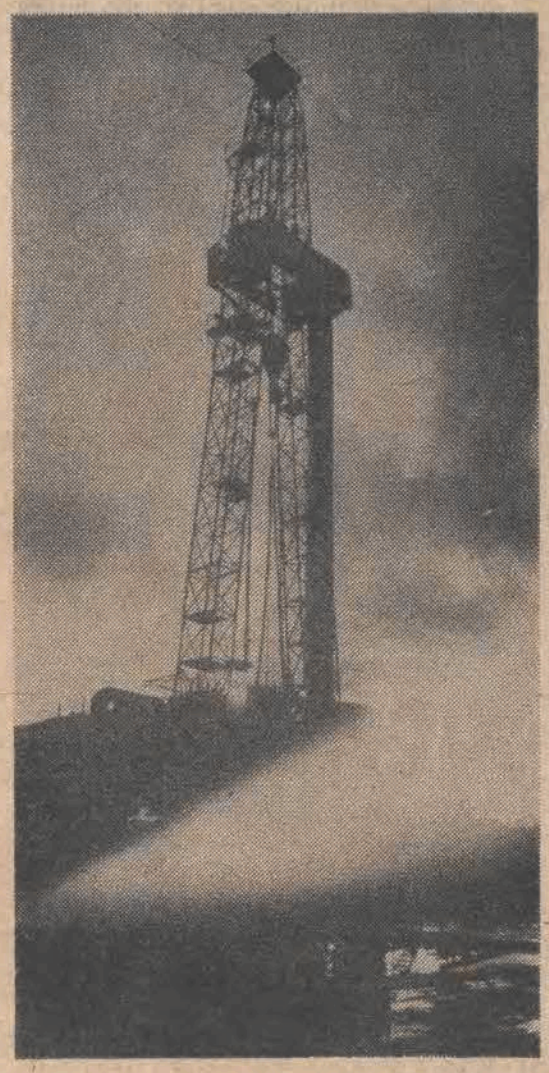

Foto: M. Zajdler

BOMBA z opóźnionym zapłonem

EUGENIUSZ IWANICKI

— *Mamy bombę!* — mówi przez telefon Prokurator Rejonowy Dzielnicy Łódź — Widzew PAWEŁ WYRWAS. — Proszę przyjechać.

— *Duża?* — pytam.

— *Sporawa.*

— *Mniej więcej?*

— *Wystarczy by wysadzić w powietrze całą stację kolejową na Olechowie.*

Przesadza człowiek, myślę, bo niby skąd wziął taką bombę? Czyżby pozostałość po ostatniej wojnie? Chociaż w przeszłości właśnie prokurator Wyrwas był inspiratorem moich kilku reportaży z Olechowa, które zbulwersowały środowisko kolejarskie, ale też pomogły uporać się z wieloma nieprawidłowościami powstałymi na tej największej rozrządowej stacji w centralnej Polsce.

Kiedy zjawiam się w prokuraturze, okazuje się, że akt już nie ma, zostały przekazane do sądu. Wyjmuję więc notatnik i uważnie notuję.

Wielkanoc 1981 roku, ludzie odpoczywają, uczestniczą w nabożeństwach, zasiadają przy stołach. Pracują jedynie służby dyżurujące. Nie pracuje się natomiast na Stacji Paliw Płynnych znajdującej się na terenie PKP Łódź — Olechów. Jeśli wierzyć kierownikowi wzmiankowanej stacji, był on tu 19 kwietnia, w pierwszy dzień świąt, dokonał kontroli i uznawszy, że wszystko jest w porządku, wrócił do domu.

Nazajutrz, tj. 20 kwietnia, drugiego dnia Wielkanocy, kierownik stacji biologicznej PKP zauważył, że pompa tłocząca zanieczyszczenia ze studni do osadnika, pracuje ponad zwykły limit czasowy. Postanowił sprawdzić co się stało. Wtedy stwierdził z przerażeniem, że w studni jest ropa. Natychmiast wyłączył pompę ratując w ten sposób urządzenia stacji biologicznej przed dalszym zanieczyszczeniem olejem napędowym. Niestety, tysiące kilogramów ropy zdążyło jednak spłynąć do Olechówki, stamtąd do ośrodka „Młynek" i do stawów Jana. Działo się to, jak wspomniałem, drugiego dnia świąt Wielkanocnych, około godziny 21.30.

Dopiero we wtorek postawiono w pogotowie wszystkie służby. Stwierdzono, że w jednym z trzech zbiorników ktoś odkręcił zawór odwadniający, w wyniku czego wyciekło ze zbiornika nr 2 około 53.655 kG oleju napędowego wartości 760 tys. zł. Czy na pewno tyle?

Przez tydzień o sprawie nie informowano władz, dopiero 27 kwietnia o wycieku został powiadomiony komisariat kolejowy MO.

I tak narodziła się bomba z opóźnionym zapłonem na stacji kolejowej Łódź-Olechów.

Ale zacznijmy od początku.

Budowa Stacji Paliw Płynnych trwała długo i dopiero w 1973 r. wykonawca uznał, że ukończył swoje dzieło. Stację przejęła Centralna Dyrekcja Kolei Państwowych Zarząd Zaopatrzenia Materiałowo-Technicznego w Warszawie, która przekazała ją do użytkowania kierownictwu Magazynu Głównego PKP stacji Łódź — Kaliska. Niby wszystko w porządku: był projektant, inwestor, wykonawca, w końcu odbiorca i użytkownik. Przez osiem lat nikt tym się bliżej nie interesował: na terenie stacji Olechów wznosiły się trzy potężne zbiorniki paliwa, otoczone wałem ziemnym, do których dowożono olej napędowy, i skąd ten olej był rozdzielany dla potrzeb kolei. Wydawałoby się, że nie powinno być żadnych problemów.

Aż ktoś otworzył zawór odwadniający w zbiorniku nr 2. Kto?

Niedopatrzenie, bezmyślność czy sabotaż?

Olej wyciekał co najmniej 12 godzin.

Każdy z trzech zbiorników ma pojemność 300 m sześc., jest otoczony wałem ziemnym, solidnie umocnionym, wysokim na 120 cm. Z każdego z trzech obwałowanych terenów jest odprowadzona kanalizacja odwadniająca do specjalnej studzienki, w której znajduje się tzw. zawór burzowy. Tak więc każde pole, na którym stoi zbiornik, ma własny taki zawór burzowy we własnej studzience. Jeśli zawór jest sprawny, nawet przy awarii zaworu odwadniającego, ropa nie przedostanie się do oczyszczalni, a pozostanie na własnym polu obwałowania zbiornika. Taką ropę, jak twierdzą fachowcy, można jeszcze odzyskać nawet w 95 proc. Po odpowiednich zabiegach można ją stosować do silników. Niestety, zawór był otwarty i tony paliwa spłynęły do Olechówki.

Kto zatem otworzył główny zawór?

Otoczenie trzech zbiorników wypełnionych ropą stanowią torowiska, bocznice kolejowe i zajezdnie. Dostęp do zbiorników jest dość trudny: wysokie ogrodzenie z betonowych płyt, solidna metalowa brama z furtką. Niedaleko znajduje się portiernia wraz z pompownią, choć nie ma dozorcy. Oświetlenie wokół obiektu jest złe i na dobrą sprawę można niepostrzeżenie zakraść się pod same zbiorniki. Co prawda Stacja Paliw Płynnych, jak cały węzeł na Olechowie, jest chroniona przez kolejowy komisariat MO, jednak obiekt tego typu winien posiadać dodatkową ochronę.

Wspomniałem, że dopiero 27 kwietnia, a więc po tygodniu, o wypadku zawiadomiono milicję, która natychmiast rozpoczęła czynności dochodzeniowe. Całość przejęła Prokuratura Rejonowa dzielnicy Widzew. Ale sprawa się zaczęła gmatwać, nie było odpowiedzi na wiele istotnych pytań związanych z samą Stacją Paliw Płynnych, z jej eksploatacją, zabezpieczeniem itp. Czego się nie dotykano, natrafiano na próżnię. Dla ustalenia stanu faktycznego powołuje się więc biegłego Sądu Wojewódzkiego w Łodzi mgr inż. mech. — dyplomowanego ekonomistę JANUSZA FIJAŁKOWSKIEGO. Jego praca trwa długo, lecz i jemu nie udaje się uzyskać odpowiedzi na rodzące się wątpliwości. Czytając jego opinię złożoną w sądzie odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia z opowiadaniem science fiction. Nie chce się wierzyć, że jest to opis naszej rzeczywistości, chwilami bezmyślnej, prymitywnej i nonszalanckiej, a przecież realnej i groźnej.

Biegły sądowy stwierdza, że mimo usilnych starań zarówno prokuratury, sądu i jego samego, nie udało się odnaleźć dokumentacji projektowo-kosztorysowej Stacji Paliw Płynnych, nie odnaleziono dziennika budowy ani książki obmiaru robót. Do rąk biegłego trafił jedynie niekompletny egzemplarz projektu podstawowego z 1967 r. A przecież zanim ukończono budowę, projekt ulegał wielu zmianom i poprawkom. Dziś nikt nie wie czy stacja została wykonana zgodnie z planem — projektem budowlanym, nikt nic nie wie o zmianach projektu (i czy te zmiany miały wpływ na niesprawności techniczne, na złą budowę itp.). Okazało się także, że Magazyn Główny Stacji PKP Łódź — Kaliska nie chciał przyjąć stacji na Olechowie do eksploatacji, ale ktoś wymusił na nich tę decyzję, ktoś gdzieś nacisnął, kazał, polecił, zażądał — dziś nikt niczego nie pamięta, nie wie, nie był przy tym. W trakcie dochodzenia wyszła na jaw inna skandaliczna sprawa: otóż zbiorniki Stacji Paliw Płynnych nie były wcale zgłoszone do legalizacji w Okręgowym Urzędzie Miar w Łodzi. Fakt istnienia stacji został przed wspomnianym urzędem zatajony. Dlaczego?

Na terenie stacji nie ma instrukcji obsługi, instrukcji jej konserwacji i eksploatacji. Nie ma instrukcji bhp i p.poż. Pracuje się na wyczucie, wierząc, że jakoś będzie, jakoś się poradzi.

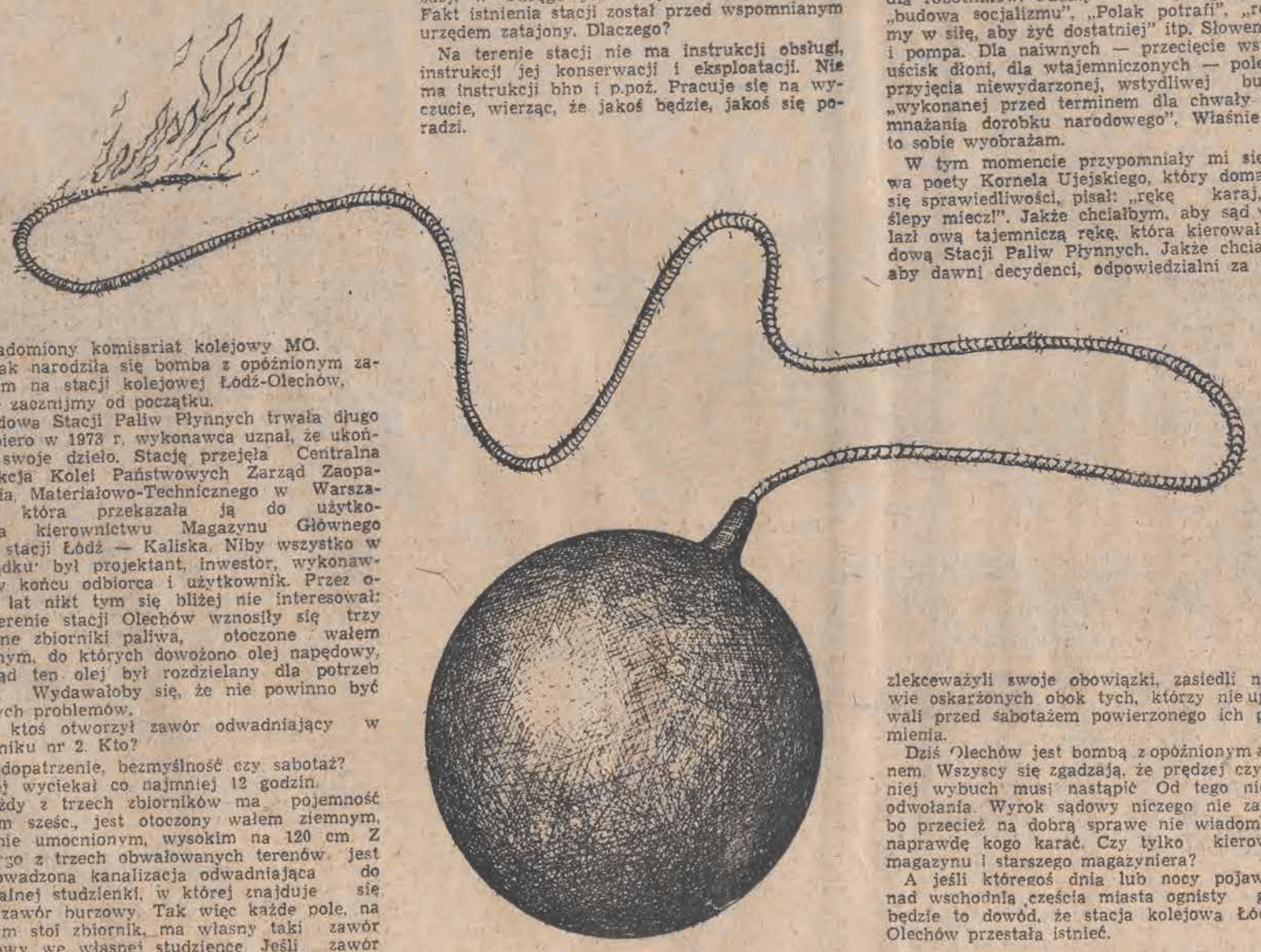

Biegły ustalił — a wywołuje to osłupienie u wszystkich, kto tę opinię czytał — że nikt nie wie, ile paliwa może zmieścić się w zbiornikach, ani ile tego paliwa jest w nich obecnie. Ciekawostką jest fakt, że gdyby napełniać zbiorniki aż do pokryw, wówczas ich ściany zaczynają się niebezpiecznie wybrzuszać. Poszycie zaś ma liczne wżery korozyjne, szwy spawane blach wykazują pęknięcia i daleko zaawansowaną korozję, odpada płatami powłoka lakiernicza. A jeśli nie wytrzyma konstrukcja i płaszcz pęknie? Milion kilogramów ropy w oka mgnieniu zaleje stację rozrządową, setki wagonów i budynków znajdą się w oleistym jeziorze. Wystarczy wówczas iskra i cały, dziesięciokilometrowy odcinek stacji Łódź — Olechów wyleci w powietrze. Będzie to fajerwerk jakiego jeszcze nie widziano.

Zatruto wodę w Olechówce, w ośrodku „Młynek" i stawach Jana. Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Łodzi, dokonał analizy wody i ścieków z PKP Olechów z dziewięciu ujęć. Oto charakterystyka wody z ujęcia nr 1 z rzeki Olechówki (analiza nr 1521): „Woda z rz. Olechówki charakteryzowała się intensywnym zapachem specyficznym Z38 i wysoką wartością wskaźników BZT_5-31 mg O_2/dm^3 i Chzt-118 mg O_2/dm^3, nie odpowiadających żadnej klasie czystości wód. Pozostałe chemiczne wskaźniki zanieczyszczeń, w tym również ekstrat eterowy przyjmujący wartość 10 mg/dm sześc., odpowiadają II klasie czystości wód. Pod względem biologicznym woda w rzece nie odpowiada normom". A przekładając to na język codzienny, znaczy, że w Olechówce zamiast wody, w kwietniu ubiegłego roku, płynęła ropa.

Właściwie można byłoby dokonać pewnego résumé. I tak: zbiorniki na ropę zostały źle wykonane i dlatego dotąd ich nie zalegalizowano, gdyż żaden Urząd Miar takiej legalizacji by nie wydał; magazyn paliw znajduje się w znacznej odległości od dystrybutorów, co stwarza poważne zagrożenie powstania pęknięć na rurociągach tłocznych; Stacja Paliw Płynnych na stacji PKP Łódź — Olechów do dziś nie została ukończona, bowiem nie ma żadnej dokumentacji technicznej, żadnej książki obmiaru robót, ani dziennika budowy, co nasuwa podejrzenie, że czegoś tam nie dokończono, coś zostawiono w połowie, czegoś nie zamontowano; przez te wszystkie lata, kiedy zbiorniki były eksploatowane, ani razu nie przeprowadzono ich konserwacji; nie przeprowadzono także konserwacji instalacji elektrycznej ani sprzętu p.poż.; zawory odprowadzające powinno się było umieścić w specjalnych metalowych skrzynkach zamykanych solidnym zamkiem; nie zrobiono odrębnego odprowadzenia wody z chłodzenia zbiorników w okresie letnim; nikt nie zadbał także, by wykonać dodatkowe odprowadzenie dla ewentualnych wycieków ropy ze zbiorników itp. itd.

A mimo to Stacja Paliw Płynnych została przekazana i przyjęta do eksploatacji protokołem 97/73 z dnia 23 maja 1973 r. Oczywiście, podpisy są nieczytelne. Kto za to odpowiada? Biuro projektów, inwestor, wykonawca czy użytkownik? A może zupełnie ktoś inny, kto wymógł na użytkowniku podpisanie protokołu przyjęcia?

Czy sąd uzyska na to odpowiedź? Znajdzie winnych?

Przy tych wątpliwościach, pytanie: kto otworzył zawór odwadniający, jest pytaniem drugorzędnym, choć także ważnym.

Wypuszczenie oleju napędowego było na pewno przestępstwem, a beztroska służb zatrudnionych przy zbiornikach wymaga napiętnowania. Natomiast cała sprawa posiada specyficzny posmak skandalu, jeśli nie przestępstwa technologiczno-budowlanego. Jestem głęboko przekonany, że w roku 1973, kiedy oddawano Stację Paliw Płynnych, nie obeszło się bez uroczystej akademii, na której zasłużeni budowniczowie otrzymali odznaczenia i gratyfikacje. Był bankiet dla kadry inżynieryjnej i popijawa dla robotników. Padały słowa: „druga Polska", „budowa socjalizmu", „Polak potrafi", „rośniemy w siłę, aby żyć dostatniej" itp. Słowem gala i pompa. Dla naiwnych — przecięcie wstęgi i uścisk dłoni, dla wtajemniczonych — polecenie przyjęcia niewydarzonej, wstydliwej budowli „wykonanej przed terminem dla chwały i pomnażania dorobku narodowego". Właśnie tak to sobie wyobrażam.

W tym momencie przypomniały mi się słowa poety Kornela Ujejskiego, który domagając się sprawiedliwości, pisał: „rękę karaj, nie ślepy mieczu!". Jakże chciałbym, aby sąd odnalazł ową tajemniczą rękę, która kierowała budową Stacji Paliw Płynnych. Jakże chciałbym, aby dawni decydenci, odpowiedzialni za to, że zlekceważyli swoje obowiązki, zasiedli na ławie oskarżonych obok tych, którzy nie upilnowali przed sabotażem powierzonego ich pieczy mienia.

Dziś Olechów jest bombą z opóźnionym zapłonem. Wszyscy się zgadzają, że prędzej czy później wybuch musi nastąpić. Od tego nie ma odwołania. Wyrok sądowy niczego nie załatwi, bo przecież na dobrą sprawę nie wiadomo tak naprawdę kogo karać. Czy tylko kierownika magazynu i starszego magazyniera?

A jeśli któregoś dnia lub nocy pojawi się nad wschodnią częścią miasta ognisty grzyb, będzie to dowód, że stacja kolejowa Łódź — Olechów przestała istnieć.

Nim przypniemy narty

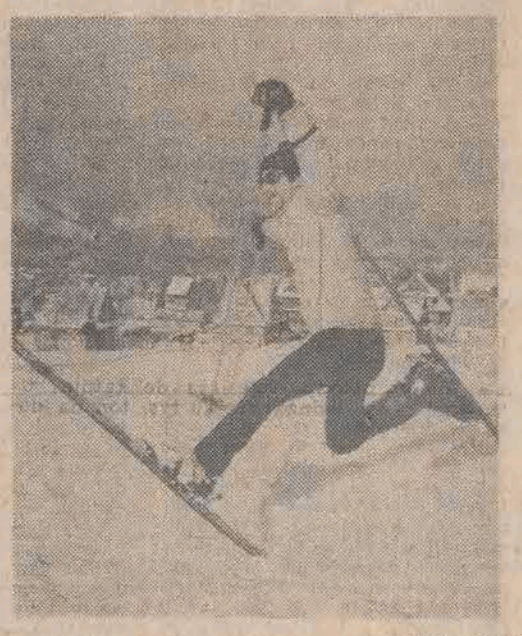

Foto: CAF

Zbliża się sezon „białego szaleństwa". Wiele osób na pewno wyruszy na narciarskie szlaki. Niektórzy po raz pierwszy w życiu. Nim przypniemy deski, może warto wiedzieć, jakim są one poddawane „torturom", aby jeździło się nam bezpiecznie.

W laboratorium pomiarowym znanej miłośnikom „białego szaleństwa" Fabryki Nart „Polsport" w Szaflarach koło Zakopanego, wszechstronnym próbom i badaniom poddawane są egzemplarze seryjne tuż po opuszczeniu taśmy produkcyjnej, oraz narty tak zwane testowe używane przez zawodników i goprowców. Przy pomocy specjalnych urządzeń bada się na przykład sztywność podłużną i poprzeczną, częstotliwość drgań i ich tłumienie, wyniki odczytywane są z wykresu aparatury samopiszącej. Sprawdza się również wytrzymałość narty na złamanie liniowe. Podczas wizyty naszego fotoreportera „deska" złamała się dopiero przy sile liniowej 730 kg!

Wyniki badań służą poprawie konstrukcji nart, ich wytrzymałości i walorów użytkowych. N/z: badanie wytrzymałości narty na złamanie liniowe.

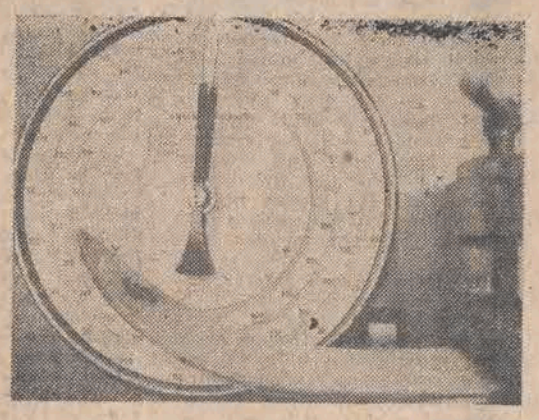

Foto: CAF

Szwajcarski trener narciarski i jednocześnie jeden z kierowników w fabryce zegarków w Le Brassus, jest autorem interesującego wynalazku — narciarskiego licznika kilometrów. Licznik taki, przymocowany do narty, precyzyjnie podaje w kilometrach i milach długość przejechanej przez narciarza trasy.

W kręgu fantastyki

Twierdza trzech studni

JAROSŁAW J. GRZĘDOWICZ

Płaskowyż Imselv był jedną skalną płytą, do której nie miały dostępu niemal żadne rośliny. Otoczony górami Irgelhart, zdawał się być wymarzonym miejscem do obrony. Rozciągał się już ponad linią chmur i nocne niebo było prawie czyste. Pomimo, że księżyca nie było widać, nie było wcale ciemno. Na równinę padał różowawy blask przecedzony między bezimiennymi szczytami Irgelhartu, blask który nie był świtem.

Valhar zagłębił palce w miękkim futrze konia i jeszcze raz spojrzał za siebie, na wschód na czerwoną łunę wstającą zza masywu To Szakale - Harane. Harane, którzy spadli z nieba. Harane, którzy palą miasta, którzy zabijają kobiety i dzieci. Którzy strzelają w plecy. Harane, którzy trują ziemię. Harane, którzy niosą śmierć.

Wąwóz Esgel był na tle czerni gór po prostu czeluścią. Wypełzał z niego nieskończony, chrzęszczący korowód wojska wszystkich szczepów i państw. Vahnorczyków było rzecz jasna najwięcej.

— Valhar! — Sventhor przepchnął konia przez szereg muskularnych wojowników, porośniętych czarnym, gęstym włosem i odzianych w skórzane stroje. Podpierali się grubymi włóczniami, które lśniły w blasku łuny, tylko dowódca miał lśniący, nowy smasher produkcji vahnorskiej, przewieszony przez pierś. Wyszczerzył kły i prychnął coś ostro w swoim języku. Zielonkawe oczy zalśniły spod głębokiego czarnego hełmu. Sventhor warknął coś pogardliwie z wysokości swojego konia i podjechał wolno ze stukotem kopyt.

— Szukałem cię — powiedział.

— Byłem w straży przedniej — rzekł Valhar. Nie odrywał wzroku od korowodu czarnych wojowników. W mroku wydawało się, że ich twarze składają się tylko z gorejących oczu i lśniących kłów.

— Nie wiesz, co to za jedni: — spytał Sventhor.

— A skąd mam wiedzieć? — wzruszył ramionami Valhar. — Jakiś północny lud. Wyglądają groźnie.

— A jednak, jak na nich, są dla nas uprzejmi. Gdybym był, dajmy na to, Koboldem, ten ich dowódca odgryzł by mi rękę.

— Ustąpili ci i co z tego? Jeszcze jesteśmy najpotężniejsi jeszcze mamy autorytet, ale cała potęga i sława Vahnoru jest jak na razie bezsilna.

— Ale oni wierzą nam — powiedział Sventhor. Machnął ręką w kierunku sunącej wolno kawalkady. — Rangellowie, Celverowie, Sverskjolowie, jakieś dzikie plemiona pustyni Kershan, Unkurl, czy jakoś tak, ludy północy, Koboldowie. Wszyscy walczyli u naszego boku, a teraz wszyscy dobrowolnie chcą się zamknąć w twierdzy Virgengaard skąd nie będzie wyjścia. Nawet Nortekowie, z którymi od wieków toczyliśmy wojny i wyrósł między nami mur nienawiści, stanęli z nami ramię w ramię i chcą razem umrzeć.

— Wszyscy rozumieją, że to nie jest sprawa Vahnoru. W każdym razie nie tylko. Gdyby chodziło wyłącznie o nas, nie kiwnęliby palcem. To sprawa całego Verangenu. Harane nie chodzi wcale o nas. Chcą całej planety.

Byłem przy rozmowach z ich posłami. Bardzo trudno ich zrozumieć. Mają dziwne obyczaje. Na przykład, chcieli, żebyśmy oddali broń i przestali walczyć. „Jak to?" — pytamy — „Więc odejdziecie?".

— „Wcale nie odejdziemy" — oni na to. — „Ale dalsza walka z nami nie ma sensu". Oni chcieli, żebyśmy oddali im się w niewolę. I wydawało im się to normalne.

— To zakrawa na obelgę — przyznał Sventhor. — Ale podobno Nortekowie kiedyś tak robili. — To może po prostu taki obyczaj.

— Norteków zawsze podejrzewało się o różne nieprawdopodobne podłości. Połowa z tego to bajki. Przynajmniej to były bajki do tej pory, bo Harane dorównali wszystkim mitom. Na Goora, dlaczego musimy zginąć? Przecież do tej pory zwyciężaliśmy! Przecież prawda jest po naszej stronie! — Valhar zamilkł, zachowując kamienny wyraz twarzy, wściekły, że dał wyraz uczuciom. Żadna klęska nie usprawiedliwiała tego rodzaju rozluźnienia wewnętrznej dyscypliny.

Myśl jednak nie dawała się zagłuszyć, więc zamilkł na wszelki wypadek. Dlaczego to wszystko ma ginąć? Beztroskie życie wśród szczęśliwego ludu na południu, rozrzucone rzadko skromne jasne domy. Smukłe piękne kobiety i widok, jaki miał za oknem. Stok niewielkiej góry, po którym spadał mały wodospad, rozpryskując się na kilku progach i karłowate, powykręcane drzewka wyrastające niemal prostopadle do ściany. I odblask słońca w tle.

Kamienne domy na północy. Srebrne miasta Rangellów, smukłe okręty Sverskjollów. Pieczary Koboldów. Tajemnicze i piękne krainy dookoła. Kultura i mądrość czterech tysięcy lat. Wszystko to ma zostać spalone? Zastąpione przez monotonną wegetację szarego, omotanego stalą plemienia które wyszło z lodowatej pustki siejąc zniszczenie?

— Dlaczego? — powtórzył Sventhor — przeminęły nasze czasy. Spełnia się przepowiednia: „Aerskjoll w ręce wroga wpadnie". I miecz zaginął. Razem z nim przepadła szczęśliwa gwiazda Vahnoru. Pozostaje nam tylko godnie umrzeć.

Twój brat Erik, nie był najlepszym powiernikiem Aerskjolla. W pierwszej potyczce utracił miecz i sam poległ. Był zbyt lekkomyślny, zarozumiały i pewny siebie. Wiedziałeś o tym. Powinieneś sam był przejąć powiernictwo.

Oskarżenie. A więc Sventhor go oskarża. A skoro on, to inni także. Przez niego Aerskjoll wpadł w ręce wrogów.

— Erik był moim starszym bratem. Był pełnoprawnym powiernikiem Aerskjolla. Nie mogłem po prostu odebrać mu...

— Mogłeś zwołać Radę. Ona zdecydowała by, komu przyznać miecz, ale ty bałeś się odpowiedzialności. Mówię ci to dlatego, że jesteś moim przyjacielem.

— Co Aerskjoll mógłby sprawić wobec faktu, że Harane są silniejsi? Że mogą podróżować między światami? Że mają Krankaary, które mogą zabijać z powietrza, niszczyć i palić z ogromnych odległości?

Że mogą roztapiać skały, zapalać jeziora, zamieniać miasta w pogorzeliska przesiąknięte zarazą, która ścina krew i sprawia, że ciało się rozpada? Czy mogłaby temu zaradzić moc jednego Miecza? I czy ona w ogóle istniała?

— Coś takiego może powiedzieć tylko mieszkaniec Południa. Ale ja nocowałem w skałach pustyni Kershan. Byłem w pieczarach Koboldów Wysokich Gór. Przeszedłem bagna Moongar i widziałem takie rzeczy, że moc miecza jest dla mnie oczywista.

Zresztą, już nic nie poradzimy. Za pół roku nie zostanie po nas już nawet pieśń. Chyba, że Virgengaard Tirien się utrzyma — to najsilniejsza twierdza.

— Nie Sventhorze. To już nie jest twierdza. To kurhan. Nie łudź się. Idziemy umrzeć.

Od tej pory nie odzywali się obaj. Zalany blaskiem łuny korowód wojowników posuwał się w niemal zupełnym milczeniu. Poza cichym pomrukiem, kiedy ktoś mówił półgłosem, bezładnym szuraniem tysięcy podeszew, szczękiem broni i stukotem kopyt.

Valhar czuł, że bolą go ścięgna w udach obejmujących szeroki grzbiet konia, że hełm ciąży mu na głowie. Jego koń wyglądał nie lepiej: potykał się co chwila, a z pyska kapała mu piana. Przystanąć, zejść z konia, rozprostować obolałe nogi, zdjąć hełm. Słabość, słabość. Nie ma o czym mówić, trzeba myśleć o czymś innym. Oczy piekły go od wpatrywania się w horyzont.

Monotonny stukot kopyt konia Sventhora zmienił nagle rytm, kiedy kłusem zjeżdżał ze szlaku i stanąwszy z boku zaczął wypatrywać coś w tyle. Valhar szarpnął cugle i uderzył konia nogami. Zmaltretowane zwierzę spojrzało z wyrzutem odwracając łeb i zrobiło dwa chwiejne kroki szybciej, a potem wróciło do normalnego tempa. Podjechał do Sventhora.

— Chcę zobaczyć, czy straż tylna wyszła już z wąwozu. Szkoda, że nie wolno zapalać pochodni. Nic nie widać. — rzekł tamten.

— Natychmiast wypatrzyłyby nas Krankaary — odpowiedział Valhar.

— Póki twierdza Zegen Kjagee Tirien utrzymuje gardziel wąwozu, żaden Krankaar nie śmie pokalać nieba po tej stronie gór.

— Twierdza Złamanych Lanc nie wytrzyma ani jednego silnego ataku. I oni wiedzą o tym. Mieli utrzymać gardziel wąwozu dopóki nie dojdziemy do Virgengaardu, ale mogą przecież paść wcześniej. — Sventhor nie odpowiedział. Spojrzał wzdłuż szeregu. Ktoś jechał galopem od końca korowodu odcinając się czarną plamą od zalanej krwawym blaskiem płyty płaskowyżu.

— To Haakon — rzekł Sventhor. — Żaden inny koń by tego nie wytrzymał.

— Szuka nas. — zauważył Valhar. — Haakon gwałtownie zawrócił konią i podjechał do nich. Spieszył się. Uniósł prawą dłoń w geście powitania. Sventhor i Valhar zasalutowali do prawych ramion i skłonili się.

— Nie zatrzymujcie się przy kurhanie — rzekł Haakon. — Postoju nie będzie.

— Zwierzęta tego nie wytrzymają — powiedział Valhar. — Od trzech dni nie miały wypoczynku.

— Muszą wytrzymać. Twierdza Zegen Kjagee Tirien upadła. W tej chwili Harane mogą już wchodzić do wąwozu — Oczy Haakona były po prostu wilgotnymi plamkami w szczelinie hełmu, lśniącymi w blasku nieba. Żadnych uczuć na zewnątrz, w żadnych okolicznościach.

— Spójrzcie — powiedział wskazując na niebo. Gwiazd prawie nie było widać. Za blisko był świt i za blisko byli najeźdźcy. Jednak płonął tam pojedynczy świetlny punkt. Płonął ostrym, zielonym blaskiem, kreśląc z wolna gigantyczne kręgi i zygzaki, jak sęp albo skrzydlaty upiór, których nazwę otrzymał — Krankaar.

Sventhor wyjął z kabury przy siodle smasher.

— Zostaw — machnął ręką Haakon. — Jest za wysoko. Zresztą on nie zaatakuje. A póki nie wejdzie w obręb dział Virgengaardu nie pozbędziemy się go. Trudno, już wiedzą o nas. Pozostaje mieć nadzieję, że nie zdąża. Jeśli dogonią nas na płaskowyżu, nie będzie nawet jak się bronić. — Uniósł niedbale dłoń w rękawicy i odjechał. Sventhor patrzył przez chwilę za jego czarną, otuloną płaszczem sylwetką.

— Jest znacznie lepszym wodzem niż Sigurd, — rzekł.

— Sigurd był stary, nie wiedział, co się wokół niego dzieje — odpowiedział Valhar bez zainteresowania.

Korowód posuwał się dalej, bez słowa. Valhar i Sventhor jechali obok czarnego szeregu północnego szczepu, który był przednią strażą. Nie odzywali się. Szli absolutnie płaską i dziką okolicą, na której czasem tylko, gdy gdzieś w szczelinach skały zachowało się odrobinę ziemi, wyrastały drobne, białe kwiatki.

Szereg wijąc się, jak olbrzymi pancerny wąż, omijał głębokie szczeliny. Wzrok spadał w nich niepowstrzymanie w mroczną czeluść, w której można było czasem dojrzeć czerwone oczy smoków. Z czeluści buchały siarkowe wyziewy i wszyscy odskakiwali gwałtownie. Czasem mijali bulgocące wrzące źródła i powietrze napełniało się gorącem wilgotnego oddechu pary. Zdawało się, że im bliżej do twierdzy, tym okolica była bardziej dzika i wyjałowiona.

— To musi być potworne mieszkać tutaj na stałe — odezwał się Sventhor. — Żeby stąd dostać się do świata, człowiek musiałby samotnie przejść przez ten płaskowyż, być może nocować tu, a potem przez trzy dni przedzierać się przez wąwóz Esgel, gdzie niebo jest tylko jasną kreską w górze, a ze wszystkich stron wyciągają macki czeluści jaskiń i tuneli.

— Twierdza Trzech Studni wcale nie jest mniej ponurym miejscem — odparł Valhar. — Są przyzwyczajeni. — Mijali właśnie olbrzymie pęknięcie, które ziało w skalnej płycie piorunowym zygzakiem długim na setki stóp, a szerokim co najmniej na pięć końskich długości. Przerzucona przez nią była linowa kładka napięta między wbitymi w skałę metalowymi kołkami. Szereg stanął. Haakon już tam był. Na swoim czarnym koniu, otulony czarnym płaszczem. Zeskoczył z rozmachem na ziemię.

— Zawiązywać oczy koniom! — krzyknął. — Przeprowadzać je. Piechota przechodzić jednym szeregiem! I na miłość Goora nie tupać, żeby nie rozchwiać pachołków! Nie marudzić! Szybciej! Nie patrzeć w dół! — Szereg ścieśnił się znacznie, aż przednia straż nie zaczęła przesączać się przez gardziel kładki.

Rozlegało się skrzypienie skór, szczęk broni, dudnienie kopyt po belkach i krzyki oficerów. Valhar zeskoczył z siodła napinając mięśnie, aby nie ugiąć nóg. Owinął zwierzęciu głowę własnym płaszczem i ujął uzdę tuż przy pysku. Weszli na drgający pomost. Valhar nie wytrzymał i spojrzał. Wzrok runął w dół ześlizgując się po gładkich ścianach i spadając tak głęboko, że trudno było to sobie nawet wyobrazić. Zachwiał się i chwycił linę poręczy. Zwierzę parsknęło i potknęło się. Poprowadził drżącego konia ostrożnie, słuchając bezradnych, drobnych kroków jego kopyt i patrząc na swoją dłoń w czarnej rękawicy sunącą po kosmatej, starej linie poręczy. Twardą skała pod nogami wydała mu się niemal piękna w swojej pewności.

— Nie stawać za kładką! — Uderzył go krzyk Haakona — wepchnął nogę w strzemię i skoczył znów na siodło.

Był to jeden z tych marszy, które, wydaje się, że trwają w nieskończoność. Toteż gdy Valhar zobaczył najpierw punkt na horyzoncie, a potem kanciastą bryłę twierdzy, nie mógł uwierzyć, że to jest właśnie cel podróży, który wydał mu się wręcz mityczny. Jednak od ujrzenia twierdzy do końca wędrówki było jeszcze daleko. Dalej był uporczywy ból mięśni brzucha i ud, zmęczenie i głód skręcający jelita. Jednakże to był dla Valhara chleb powszedni, więc trapił się tylko swoim biednym koniem, który, jeżeli się nie przewracał, to tylko dlatego, że od czasu do czasu podpierał się uszami.

Kawałek dalej koń Sventhora potknął się i upadł na kolana przednich nóg, a potem zwalił się na bok. Sventhor wyleciał z siodła unikając zmiażdżenia nogi, przekoziołkował i legł bez ruchu. Valhar zeskoczył z konia i podbiegł do niego. Sventhor podciągnął nogi i wstał ciężko, pomagając sobie rękoma. Haakon był przy nich już po chwili. Koń zarżał cicho i żałośnie usiłując dźwignąć swoje cielsko na udręczone nogi. Uniósł się trochę i znów padł.

— Nic z tego — rzekł ze współczuciem Haakon. — Musisz go dobić. Takie jest prawo. — Okuta hełmem, kanciasta twarz Sventhora nawet nie drgnęła, ale Valharowi wydało się, że gdzieś na dnie jego oczu zobaczył nikły błysk bólu. Sventhor miał tego konia od dziecka. Wierne zwierzę wyniosło go w niejednej bitwie i nie raz mu uratowało życie. Kucnął przy siodle i zaczął odpinać pasy juków. Szereg przesuwał się koło nich lśniąc i podzwaniając bojowym rynsztunkiem.

— Weź tylko to, co najpotrzebniejsze — rzekł Valhar. — Usiądziesz za mną.

— Tylko broń i koc. — odpowiedział Sventhor. Wstał. W dłoni lśnił mu smasher. Zwierzę popatrzyło na niego z takim żalem i niedowierzaniem w oczach, że mogłoby się wydawać, że wie o co chodzi. Valhar odszedł do swojego konia nie chcąc przyjacielowi przeszkadzać w chwili, gdy musiał się skoncentrować. Rozległ się suchy trzask wyładowania i po kamieniach przemknął jaskrawy odblask błyskawicy. Wzdrygnął się. Śmierć od miecza byłaby o wiele bardziej honorowa, ale miecz podniesiony na przyjaciela musiał ściągnąć na właściciela klątwę. Sventhor zbliżył się i zarzucił zwiniętą derkę na grzbiet ich wspólnego konia. Milczał. Valhar uszanował to milczenie.

Virgengaard Tirien był olbrzymią kanciastą budowlą murowaną z topornie ociosanych na płasko głazów. Mury były szare i wyjątkowo długie, ale największe wrażenie robiła ich wysokość. Jakby stało się u stóp skalnej ściany wąwozu. Gdzieś za nimi bodła niebo okrągła, smukła baszta, widoczna dopiero z daleka, bo gdy stało się u podnóża samych murów, trzeba było dobrze zadrzeć głowę, żeby ujrzeć ich kraniec. Płaskowyż leżał za wysoko dla ptaków, lecz wokół szczytu baszty wirowało kilkanaście hodowanych przez załogę orłów. Z dołu były tylko ledwo widocznymi punktami, lecz docierało tu ich przytłaczające krakanie.

Wokół zamku biegły dwa potężne pęknięcia w skale spotykające się po jego jednej stronie i połączone sztucznie wykutą przed wiekami szczeliną. Tak więc, twierdza stała jakby na trójkątnej wyspie otoczonej wąskimi przepaściami.

Przednia straż stanęła naprzeciw prostokątnej, kutej bramy, która przy ogromie murów wydawała się wręcz maleńka. Zamek był jak wymarły. Poza krakaniem orłów, nie było tam żadnych oznak życia. Haakon zeskoczył z konia i stanął na krawędzi fosy. Przyłożył dłonie w rękawicach do ust i krzyknął:

— Ingareth! Ingareth Assatur!

— Co to znaczy? — spytał Sventhor — znasz starocelverski.

Valhar pokręcił znacząco głową. Zaklęć nie wolno wymawiać bez powodu.

Gdzieś wysoko, na czymś w rodzaju skalnej półki pojawiła się sylwetka. Wyglądała podobnie, jak wojownicy Północy. Rycerz ów stanął w bezruchu na krótkich, krzywych nogach. Spojrzał na stojących, a potem daleko na nieskończony wąż wojska, który wciąż maszerował, gdy czoło już stało. Zawołał coś chrapliwie przez ramię i z głębin czarnego hełmu błysnęły kły. Pojawił się drugi, postali chwilę, a potem obaj zniknęli. Rozległ się metaliczny zgrzyt i spod bramy zaczął wysuwać się szeroki, kuty ze stali i wybijany ogromnymi nitami pomost. Wysunął się na całą długość i stanął z głuchym dudnieniem, gdy pięć olbrzymich zębów na końcu mostu wsunęło się w pięć olbrzymich otworów wykutych w skale i wyłożonych stalą. Coś szczęknęło i most znieruchomiał. Jednocześnie z turkotem i zgrzytem brama uniosła się, ukazując mroczną czeluść. Z ciemności wynurzył się siwobrody starzec okryty płaszczem. Uniósł prawą dłoń do lewego barku i skłonił się.

— Witaj Haakonie — rzekł Haakon uniósł dłoń.

— Witaj Elmarze.

— To dla mnie wielki zaszczyt — ciągnął Elmar. — Mury Virgengaardu nie gościły jeszcze nikogo tak znamienitego. Przywiodłeś poza tym znaczne siły.

— To garstka Haakonie. To garstka, bo to armia całego Verangenu. Cały świat, od Północy do kraju Rangellów na południu, jest tu z nami. Także Nortekowie. To wszyscy, których zdołaliśmy zebrać przeciw Najeźdźcom.

— Wejdźcie więc. — rzekł cicho Elmar i cofnął się. Haakon ujął swego konia za uzdę przy pysku i przeprowadził przez pomost. Z ciemności wynurzyło się jeszcze kilku wojowników z lśniącymi czerwono oczyma. Nareszcie można było im się przyjrzeć. Byli wysocy, muskularni, o krótkich nogach i długich rękach. Porośnięci sierścią przypominali ludy północy. Mieli krótkie pyski lśniące szeregiem białych kłów. Ubrani byli w długie kamizelki z czarnej skóry, z czerwonym smokiem na piersi, czarne opończe, obcisłe spodnie, długie podkute buty i hełmy. Z wojowników tych składała się prawie cała załoga twierdzy. Uzbrojeni byli zresztą bardzo różnie. Od mieczy i toporów, po nowoczesną broń cieplną.

Korowód znów ruszył, z chrzęstem wszedł w czarny tunel bramy. Szli przez nieskończenie grube mury, pogrążeni w zupełnej ciemności. Setki kroków odbijały się echem od sklepienia i gasły. Setki par oczu, czerwonych i zielonych, zapalały się gdzieś w czeluści i też gasły. Coś zaskrzypiało, potem z turkotem uchyliła się kolejna brama wpuszczając blady półmrok świtu, który wydał się blaskiem.

Wyszli na dość duży, wybrukowany kamieniami podwórzec, który był częścią wewnętrznego dziedzińca. Całe wnętrze muru podzielone było na kilka mniejszych części niższymi wewnętrznymi murami schodzącymi się do podstawy centralnej wieży. Dopiero tutaj można było naprawdę docenić jej wysokość.

— Co to za lud? — spytał nieco głośniej Haakon, tak, że Sventhor i Valhar idący z tyłu usłyszeli to z pomruku cichej rozmowy.

— Zallowie — odpowiedział Elmar. — Dzielny, górski lud, choć niepiękny.

Na dziedzińcu panowała gorączkowa krzątanina. Wewnętrzne ściany głównych murów pokryte były wnękami, krużgankami i galeryjkami. Czerniały na nich dziesiątki wysokich sylwetek. Najwyraźniej mieszkała tam załoga twierdzy. Słychać było rytmiczne szczękanie młotów, dochodzące ze zwykłej kuźni, a z wąskich okienek, których rząd widniał u nasady wieży, nad samą ziemią, sączyło się błękitne światło, świadczące o obecności nowoczesnego warsztatu.

— Nie stawać. — Zawołał Haakon. — Nie robić zatoru. Oddawać Zallom konie i przechodzić dalej. — W wewnętrznym murze otwarto ze skrzypem kute wrota i przednia straż zaczęła przesączać się przez nie. Valhar zdjął ekwipunek z konia i oddał zwierzę jednemu z Zallów, jak inni. Sventhor stał obok i patrzył za odprowadzanymi końmi.

— Valhar i Sventhor! — krzyknął przez ramię Haakon. — Chodźcie ze mną.

Ruszyli za nim i za zgarbioną sylwetką Elmara. Weszli po schodkach na wewnętrzny mur, przeszli po nim na okrągły taras i wyminąwszy jeszcze jedne okute stalą drzwi, znaleźli się w mrocznym wnętrzu wieży. Elmar poprowadził ich po spiralnych, kamiennych schodach, potem przez puste korytarze do okrągłej komnaty. Vahnorskim obyczajem był tam tylko długi niski stół i honorowy tron pod ścianą. Sala była jasna i pogodna. Mimo surowych, prostych sprzętów można było odczuć potęgę gospodarza. Broń wisząca na ścianach musiała przechodzić z pokolenia na pokolenie od wieków. Elmar stanął niezdecydowanie, po czym odwrócił się do stojących. Machnął ręką w kierunku tronu.

— Siadaj Haakonie. Teraz to miejsce tobie się należy. — Haakon strzepnął ze zniecierpliwieniem dłonią i jednym ruchem zdjął z głowy hełm. Położył go z trzaskiem na stole i podszedł do wąskiego okna.

— Siadajcie, na miłość Goora i nie zwracajcie uwagi, czy stoję, czy siedzę i czy jestem do was z przodu czy z boku. Dajcie mi trochę pomyśleć i zostawcie etykietę w spokoju. Starożytne zasady są mądrością, ale nie można przesadzać. — Oparł się o parapet i spojrzał na pustkowie. Popatrzyli po sobie niepewnie i przyklękli wokół stołu. Valhar i Sventhor zdjęli hełmy.

— Valharze — rzekł jakby z wahaniem Elmar. — Czy prawdą jest straszliwa wieść, jaka do mnie dotarła? Czy Aerskjoll dostał się w ręce wrogów?

— Brat mój, Erik — rzekł surowo Valhar — ostatni powiernik zaklętego miecza, godny syn rodu Gjärsel, poległ bohaterską śmiercią. Aerskjoll był przy nim.

— W tym mieczu zaklęta była cała potęga Vahnoru. Stał na straży sprawiedliwości od czasów Galda — Młota.

— Czy mamy wobec tego usiąść i płakać? — Haakon gwałtownie odwrócił się od okna. — Czy bez pomocy sił tajemnych nie potrafisz walczyć? Nie chcę więcej słyszeć o utracie tego miasta. A jeżeli któryś powie coś takiego przy żołnierzach, to sam rozpłatam mu gardło.

Na korytarzu rozległ się tupot i wysoki Zall z dystynkcjami oficera wpadł do komnaty.

— Panie. — Zobaczył Haakona i zamarł w skłonie z ręką na lewym ramieniu.

— Mów — warknął Haakon.

— Panie, Krankaary nad pustkowiem. Jest ich coraz więcej.

— A więc stało się — rzekł Haakon, podnosząc ze stołu i zakładając hełm. — Czy armia zdążyła wejść?

— Wszyscy na murach, panie. Musieliśmy otworzyć wszystkie bramy i część koni została na zewnątrz. Gród jest pełny.

— Więc na mury — rzekł Haakon.

Zielone punkty Krankaarów płonęły kilkoma szeregami w poprzek całego nieba. Oprócz nich wróg się nie pojawił. Nie było żadnego ruchu, tylko ten zimny blask od kilku rzędów zielonkawych gwiazd. Kiedy stanęli na murach, owiewani ostrym wiatrem, płomienie Krankaarów na

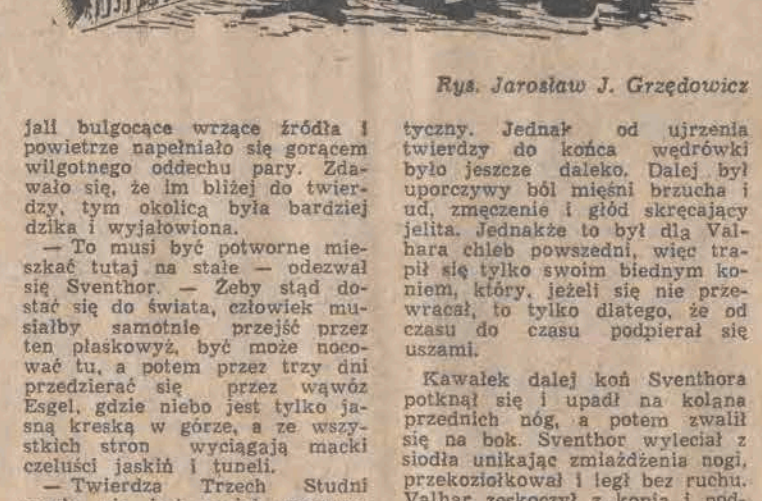

Rys. Jarosław J. Grzędowicz

moment zmieniły barwę na różową. Rozległ się suchy grzmot rozpalonego nagle powietrza, kiedy dalekosiężna artyleria Virgengaardu bluznęła strugami ognia zalewając blaskiem okolicę. Ziemia drgnęła, ale Wrogowie byli za daleko.

Potem coś się stało. Najpierw spadł na wszystkich gigantyczny ciężar, przyduszając do ziemi, potem lekkość, a potem słabość. Valhar nagle stracił czucie. Broń wypadła mu z brzękiem na ziemię. Wyciągnął ramię chcąc oprzeć się o flankę muru. Jakby poruszał ręką obcego człowieka. Ujrzał, jakby patrząc przez strzelnice, jak ramię niezdarnie uderza w mur uginającymi się palcami. Opadł na kolana i resztą świadomości spojrzał w bok muru, a potem na dół. Mury, wewnętrzne i główne, tarasy, odległe dziedzińce, wszystko zawalone było dziesiątkami tysięcy ciał, bezradnych i bezbronnych. Dlaczego nie mogli zginąć w walce? Do tego dążyli, nie było już innego wyjścia, ale tak... Przypomniał sobie srebrne miasta Rangellów stratowane nalotami, zatopione łodzie Sverskjollów, smukłe kobiety zastrzelone w progach domów, bo nie chciały wyjść witać najeźdźców, krater w miejscu domu. Śmierć zadawana z daleka. Zwalił się na ziemię nie chcąc tej śmierci takiej, szamocząc się w rosnącym bezwładzie i bezsilności. Potem czarny hełm stuknął w nagiej ciszy, wsparty o głaz flanki. Niewidzącymi oczyma Valhar wpatrywał się w rosnące sylwetki Krankaarów. Nad Twierdzą Trzech Studni wstawał świt.

Olej wyciekał bezpowrotnie z plastykowej butelki bulgocąc i tworząc opalizujące kręgi na powierzchni płynu. Valhar zaklął i poderwał butelkę. To była jedna z trzech ostatnich w tym sezonie, a zmarnował prawie połowę. Jeszcze zimny płyn utrzymywał się bezkształtną białą plamą zawieszoną w bursztynowej cieczy. Póki nie zagrzeje się i nie zmieni koloru na złotawy i przejrzysty jest szansa. Złapał łyżkę i dalsze parę minut upłynęło na wyławianiu i odcedzaniu. Uratowany olej wlewał przez lejek, bo ręce trzęsły mu się bardziej niż zwykle. W ogóle dzień był nieudany. Klientów było mało, gruby sierżant policji Briggs znów był pijany, przewrócił dwa stoliki, wylał coca-colę i rozbił jedyny automat muzyczny. A potem stał i walił pięściami w falistą blachę ściany, zanim nie udało się nakłonić go do wyjścia. A na odchodnym jeszcze rzucił butelką po coli w lampę przed wejściem, oświetlającą szyld. Straty wynosiły co najmniej z pięćdziesiąt sol. O skardze nie ma nawet co marzyć. Jeszcze się nie zdarzyło, że Vahnorczyk, a zwłaszcza właściciel nędznej, blaszanej budki snack-baru wygrał sprawę z człowiekiem, a zwłaszcza policjantem. Nawet tak kiepskim jak sierżant Briggs. Valhar westchnął.

Nagle przypomniał sobie, dlaczego omal nie wylał oleju. Coś w rodzaju snu na jawie, tylko snu mówiącego o czymś, co kiedyś było. Dlaczego, po tylu latach, w środku dnia, nagle przeżył to jeszcze raz? Było to coś dziwnego. Te wspomnienia, odgrodzone do tej pory jakąś przeszkodą, odpychane ze strachem (mówienie o takich rzeczach może tylko wciągnąć w paskudną aferę z agentami PSC „Z kim rozmawialiście o tym? Jak się ustosunkowywał? Gdzie mieszka?", wspomnienia nagle znów powróciły i znów wróciły gorzkie pytania. Tylko teraz już wiedział. Już rozumiał, dlaczego nie zabili ich wtedy. Nie potrzebowali stosów bohaterskich trupów. Potrzebowali żywych i spokojnych sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników dokerów i barmanów. Zrobili coś gorszego niż zabicie ich. Po przebudzeniu nikt nie mógł już nigdy wziąć do ręki noża, zwykłej wiatrówki popchnąć nikogo. Ba. Nawet podniesienie na kogokolwiek głosu przychodziło z trudem. Mogli tylko słuchać i potakiwać. Nienawidzić sobie mogli. W duszy.

Co jest, co mu się stało? Żeby ktoś przyszedł i przerwał tę samotność, wypełnioną przeszłością, wypełnioną bezsilnością, wypełnioną słabością.

Przetarł ścierką powierzchnię blatu i spojrzał przez okno koło drzwi na zachodzące nad płaskowyżem Imselv słońce. Płaskowyżem Lonneya, do diabła.

Było beznadziejnie pusto. Spojrzał przez okno po lewej, w kierunku Spiderton, które zaczynało się na szczycie wzgórza i było beznadziejną mieściną, z całymi kilometrami skleconych z blachy Vahnorskich przedmieść.

Z dołu wyszedł jakiś Vahnorczyk w uniformie pomocnika na stacji benzynowej, niosąc w obięciach skrzynkę piwa. Poszedł w kierunku miasta nawet nie spojrzawszy. Valhar popatrzył za nim bezmyślnie i dojrzał daleko na płaskowyżu sunący po drodze obłok kurzu. Samochód! Jeżeli jedzie tędy, to za kilka minut musi przejechać przed jego barem. To pierwsze miejsce na drodze do miasta, gdzie można coś zjeść, więc powinni tu stanąć. Wydobył spod szynkwasu stertę plastykowych kubków i zdarł z nich foliowe opakowanie. Umocował je przy automacie z napojem pomarańczowym, kiedy samochód pojawił się na wprost okna. Był to poobijany, farmerski pick-up z dwoma zapasowymi kołami na dachu szoferki i stalową kratownicą przed długą maską. Zwolnił i skręcił z szosy na betonowy podjazd. Trzasnęły drzwiczki. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn i wymijając wystawione przed budką stoliki, weszli do środka. Obaj byli ludźmi. Pierwszy, ubrany był w poplamione spodnie i rozchełstaną na piersi koszulę. Valhar widywał go czasem. Był to Stanter — nadzorca Vahnorczyków w pobliskiej kopalni. Podszedł do szynkwasu, oparł się łokciami i spojrzał z obrzydzeniem na skwierczące w oleju frytki. Drugi wszedł po dłuższej chwili. Był to wytworny mężczyzna w średnim wieku. Musiał jechać z bardzo daleka. Ubrany był wytworniej niż mieszkańcy Spiderton. Nawet poruszał się jakoś dyskretniej.

— Nareszcie — rzekł do Stantera. — Od rana nic nie miałem w ustach. Gdyby mnie pan nie podwiózł, to nie wiem co bym zrobił na tym pustkowiu.

— Drobiazg — mruknął tamten — Co pan zje? Tu nie ma nic specjalnego, to vahnorska buda.

— Nie wiem... — rzekł przybysz zaglądając do parujących niklowanych niecek, w których bulgotały dziesięciocentowe, vahnorskie potrawy. Jednemu tygielkowi przyjrzał się uważniej.

— To hevgas? — spojrzał na Valhara.

— Häevgaas — poprawił Valhar. — Wymawiało się: häevgas, proszę pana. Ale ma pan rację, to właśnie ta słynna, vahnorska potrawa.

— Proszę jedną porcję.

— Proszę. Trzydzieści centów.

— Tacka, szczypce, opakowanie sprawdzonych rządowo sterylnych sztućców, tu rozedrzeć, dziękuję, proszę, kasa, czek, szufladka, drobne, reszta. Wrzucił monety do przegródki z przyjemnością słuchając ich obiecującego brzęku. Nadzorca patrzył na towarzysza ze zdziwieniem i ledwo maskowanym obrzydzeniem.

— Chyba nie będzie pan tego jadł?

Przybysz odniósł tackę do jednego ze stolików i zaczął jeść.

— Dlaczego? To bardzo smaczne. Z ryby. Może pan skosztuje?

— Piękne dzięki — odpowiedział Stanter. — Mam ich dość na co dzień, dzikusów. Z ich dziwactwami. Jeszcze bym jadł ich tysiącletnie paskudztwa. Diabli wiedzą jak oni to przyrządzają. W to powinien wejść rząd. W te ich zwyczaje, barbarzyństwa.

— Chyba pan przesadza. Oni stworzyli wspaniałą kulturę. Bardzo ciekawą. Takie zwyczaje, potrawy, sposób życia, wszystko było logicznie urządzone. To bardzo ciekawy naród.

— Nie zna ich pan tak, jak ja. Swoje wiem na ich temat. Dla mnie parówki. Tylko, żebyś ich nie brał łapami, brudasie.

— Tak, proszę pana. — Głupi tępy prymityw. Obelgi przychodziły do głowy z trudem, tracąc po drodze znaczenie. Westchnął niedostrzegalnie, wziął do ręki idealnie czyste, srebrne szczypce i wyłowił z wody dwie jędrne, różowe parówki. Z tuby pociekła musztarda, pozostawiając jasnobrązowy wężyk na każdej z nich. Smugi pary uniosły się w górę wessane przez okap. Sterylne sztućce, świeża bułka szczypcami.

— I piwo.

— Przykro mi, ale nie mam koncesji na sprzedaż alkoholu, proszę pana.

— Nawet piwa?

— Niestety, takie są przepisy.

— Nawet jednego?

— Po prostu nie mam.

— Dzikus cholerny. — Stanter zgarnął tackę z lady i poszedł do stolika. Przez chwilę obaj ludzie pracowicie żuli w milczeniu.

— Pan jest archeologiem? — spytał Stanter.

— Kimś w tym rodzaju — odparł tamten. — A dlaczego?

— Tak myślałem, czego mógłby pan szukać w tej dziurze.

— Istotnie, interesuje mnie twierdza. Zboczyłem z drogi do Moonley, kiedy zepsuł mi się samochód.

— Z tego w ogóle można żyć? Z jakichś starych śmieci dzikusów?

— Coś panu pokażę. Wiozę to do Moonley. Chwileczkę. — odłożył widelec i wyszedł. Wrócił dosłownie po dwudziestu sekundach niosąc płaski, czarny neseser. Położył go na stole i zaczął manipulować szyfrowym zamkiem.

— W środku jest stare, jeszcze przedvahnorskie dzieło sztuki. To miecz, ma chyba z pięć tysięcy lat. Odnalazłem go z wielkim trudem. To właśnie mój zawód. Sprzedaż i kupno takich rzeczy. Pytał pan, czy z tego można żyć. Muzeum Astroarcheologii w Moonley zaoferowało mi półtora tysiąca sol.

Stander wypluł świeżo odgryziony kawałek parówki do talerza i wolno uniósł głowę. Źle ogolona, długa szczęka z wolna odchyliła się jak obluzowana pokrywa śmietnika. Oczy miał okrągłe jak guziki.

— Pół... tora tysiąca sol? — wyszeptał.

— O, to wcale nie jest najwyższa cena. W zeszłym miesiącu przewoziłem hełm i pierścień, warte okrągłe pięć tysięcy każdy.

— I tak to pan przewozi, w walizce? Bez obstawy, bez...

— Rany boskie, człowieku, przecież to nie sztaba złota. Przypuśćmy, że dałby mi pan teraz po głowie i zabrał to. Otóż złapaliby pana w pierwszym miejscu, w którym by pan się z tym pojawił i chciał to sprzedać. A żaden paser by tego nie wziął. Każda taka rzecz jest skatalogowana i ubezpieczona. I zapisane jest tam nazwisko właściciela. O każdej transakcji zawiadamia się ich na bieżąco i wypisuje akt własności. Ten miecz jest jakby przypisany do mnie, dopóki nie przejmie go muzeum w Moonley.

To zresztą bardzo ciekawy okaz. Na przykład, świeci w ciemności na czerwono. To świecenie czasem przygasa, czasem się wzmaga, ale nie wiadomo co je powoduje. Jest absolutnie nierdzewny, a niech pan pamięta, że wykuto go przed kilkoma tysiącami lat. Poza tym ma całą masę dziwnych właściwości. Fizycy muzeum mają się nim zająć na serio. Poza tym, jest to absolutnie unikalne dzieło sztuki. Na klindze, znajduje się napis, który nie został jeszcze odczytany.

Trzasnął szyfrowym zamkiem i otworzył neseser.

Valhar czuł się bardzo dziwnie. Miał dreszcze, czuł jakieś niesamowite zdenerwowanie i szumiało mu w głowie. Stanter żuł wolno parówkę i wpatrywał się w towarzysza, który jednym ruchem wyciągnął miecz na światło dzienne. Był długi na jakieś pół metra i szeroki na dłoń. Klinga lśniła różowawym blaskiem. Na rękojeści znajdował się wizerunek smoka Sallga, poniżej oplatały ją gałęzie świętego drzewa Gnärla, które sięgały aż do jelca. U nasady klingi wprawiony był Galjall — kamień ziemi Izell. Wzdłuż klingi biegły starocelverskie zaklęcia. O dwie szerokości kciuka od jelca, na ostrzu, znajdowała się jedyna szczerba, która powstała, kiedy Gald — Młot uderzył mieczem w kamień na Srebrnej Górze, biorąc ją i okolicę w posiadanie. Był to Aerskjoll.

Valhar otworzył ruchomą część lady i wyszedł przed nią. Obaj mężczyźni pogrążeni byli w kontemplacji miecza.

— Proszę pana — odezwał się Valhar — słyszałem, że to pana interesuje, mnie uczono podobnego starożytnego pisma, kiedy byłem dzieckiem, więc może...

— Wynoś się — ryknął Stanter. — Zielonoskóry bydlaku.

— Niech pan poczeka — uspokoił go tamten. — To naprawdę może się przydać. Oni mogą być bardzo pomocni w badaniach.

— Niech pan w to nie wierzy— burknął Stanter. — Gdyby nie to, że nie może dotknąć żadnej broni, to rąbnąłby go panu przy pierwszej okazji.

Valhar wyciągnął powoli rękę w kierunku miecza. Nie drżała. Była spokojna jak skała i zaskakująco silna. Ostrożnie pomyślał z nienawiścią o Stanterze. Nienawiść była zimna i mocna. Jednym szybkim ruchem chwycił chłodną rękojeść i uniósł miecz oburącz ostrzem przed twarz. Stanter otworzył szeroko oczy pełne bezbrzeżnego zdumienia. Valhar uderzył go otwartą dłonią w klatkę piersiową. Stanter wyleciał z taboretu rozrzucając szeroko ramiona, odrzucił plecami drugi stolik i wyrżnął w blaszaną ścianę. Zwalił się na podłogę i nie drgnął więcej. Drugi zerwał się na równe nogi i odskoczył w tył z twarzą bladą jak płótno. Wyszarpnął spod marynarki czarny rewolwer. Valhar jednym ruchem nadgarstka uderzył go końcem ostrza w szyję. Rewolwer upadł z trzaskiem na ziemię. Człowiek zwalił się obok, obejmując szyję rękami.

Valhar wyprostował się. Po raz pierwszy od czterdziestu lat. Wyszedł przed bar i uniósł miecz do góry. Ostrze błuznęło ostrym czerwonym blaskiem. — Ingareth Assaturi — krzyknął. Tysiące sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników, dokerów i barmanów stanęło w swoich domach, dokach, kopalniach i barach, przemieszani z bezbronnymi, zaskoczonymi ludźmi, znieruchomiali nagle, i nienawidzący.

Po drugiej stronie ulicy jakiś Vahnorczyk klęczał na ziemi i zbierał na wózek rozsypany złom. Znieruchomiał, a potem sięgnął między śmieci po wyszczerbiony nóż myśliwski, patrząc w stronę ludzkiej dzielnicy. Jego dłoń miękko ujęła rękojeść. Zacisnęła się na niej pewnie i bez najmniejszego drżenia. Słońce już zaszło. Nad Virgengaardem zapadał ciepły, letni wieczór. ■

Huśtawka Pustelnika

WIKTOR KOŁUPAJEW

18

Eva przygotowała herbatę i kanapki bezpośrednio w pomieszczeniu pulpitu łączności. Wszyscy od dawna już nic nie jedli. Oza wciąż siedziała przy oknie. Chwilami Eva zaczynała z nią rozmowę, która jednak szybko się kończyła. Eva kilka razy siadała na parapecie naprzeciwko Ozy i ukradkiem przyglądała się jej. Ona już wcześniej znała Ozę. Nagle powstałe przypuszczenie nie dawało jej spokoju, ale bała się wypowiedzieć je głośno. Coś ją powstrzymywało.

W kącie naprzeciwko, Erli badał zawartość skrzyni przywiezionej z drugiej bazy. Arkusz po arkuszu przekładał diagramy. Papier często kruszył się, więc pracować musiał bardzo ostrożnie. Gdyby nawet wszystkie przyrządy rejestrujące na drugiej bazie pracowały bez przerwy, przez całe doby, to i w takim przypadku nie miałaby się skąd wziąć taka ilość dokumentów. Od razu rzuciło mu się to w oczy. Cały czas przekładał pakiety z wykresami mając nadzieję, że znajdzie coś w rodzaju listu, jakieś wyjaśnienie. Skrzynka była już prawie pusta, ale nic takiego nie udało mu się znaleźć... Wtedy zaczął rozwiązywać pakiety — i już pierwszy z nich wysunął mu się z rąk. W rogu każdego diagramu znajdowała się data. Ale to były bardzo dziwne daty. Pierwsza z brzegu głosiła: „2195 dzień do dnia katastrofy". Zaczął starannie przeglądać cały pakiet i wreszcie doszedł do dwudziestego dnia. Wcześniejszych dat nie było na żadnym diagramie. W jednym pakiecie znajdowały się zapisy prędkości wiatru, w drugim temperatury, w trzecim ciśnienia, a następnie przyspieszenia czasu dla dwóch datowników rozstawionych w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Nie była to żadna odległość dla badań tego typu.

Były tu takie liczby... Zwłaszcza w pierwszych dniach. Tak, w pierwszych... Dlatego, że na podstawie diagramów było najzupełniej oczywiste, że na drugiej bazie od momentu katastrofy minęło co najmniej 15 lat. Co najmniej! Potem zapisy urywały się. Nie było w zapisach też pierwszych dni, być może dlatego, że ludzie walczyli z selwą o swoje istnienie. Udało im się wyżyć i teraz ich praca pomagała Erli'emu zorientować się w tym, co naprawdę zaszło tu, na Pustelniku.

Teraz wiele rzeczy znalazło swoje wytłumaczenie. Teraz jest jasne, dlaczego Sven twierdził, że słońce w czasie ich pobytu na drugiej bazie nie poruszyło się nawet o jedną sekundę kątową. Jasne, dlaczego twierdzili, że spędzili w locie sześć, a nie cztery godziny. Dlatego, że w ciągu doby, w ciągu jednego obrotu Pustelnika wokół własnej osi, na szerokości drugiej bazy mijało półtora roku.

— Eva — zawołał dziewczynę.

Podeszła do niego i usiadła obok.

— Eva, wszystko co mówiła Seona jest prawdą. Ona rzeczywiście przeżyła tam dwadzieścia lat. Dziwi cię to?

— Nie zrozumiałam, ale coś ci powiem. Ta dziewczyna nie jest Ozą.

Teraz Erli spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Jest bardzo podobna do Ozy. Zadziwiająco podobna. Ale to nie jest Oza. Henry był zbyt podniecony spotkaniem z nią, przecież to był cud, że ona żyje. A potem pomyślał, że Oza straciła rozum. Wkrótce on sam też zauważy różnicę... Tak, mówisz, że ona tam przeżyła dwadzieścia lat? Kiedy zrozumiałam, że to nie Oza, pomyślałam: może ci obcy dla jakichś własnych celów odtworzyli Ozę, żonę jednego z żyjących. Nic innego nie mogłam wymyślić. Ale jeśli mówisz... Znaczy, że to córka Ozy. I wszystko co mówiła jest w takim razie prawdą?...

— Tak, coś się wyjaśnia. Ale jest i dużo ciemnych plam. Eva, wprowadź do komputera te dane i program o przyspieszeniu czasu na różnych szerokościach Pustelnika. Zdaje się, że wyjdzie coś strasznego. Zaraz spytam Henry'ego, w którym miejscu przecięli ekrany energetyczne. Może się okazać, że to nie są żadne energetyczne bariery, ale coś całkiem innego.

Erli wyszedł z oddziału łączności i wymijając kilka pokoi otworzył drzwi do laboratorium zapisu informacji. Henry powinien właśnie przesłuchiwać tu zapisy rozmów z Centralną, nagranych, kiedy kilka razy przecinali bariery energetyczne. Henry siedział z głową opartą na stole montażowym. Wokół niego poniewierały się kryształy pamięciowe i stosy taśmy magnetofonowej. Kręciła się pusta szpula magnetofonu.

— Henry — Erli trącił go w ramię. — Chcę ci powiedzieć... Musisz być mężny.. To nie Oza, Henry.

Wirt podniósł bladą, zmęczoną twarz i kilka razy skinął głową:

— Wiem o tym, Erli. To moja córka, Seona. W pierścionku Ozy był kryształ z zapisem. Ten pierścionek przekazała mi Seona. Oza wszystko mi opowiedziała. Co prawda nasze spotkanie trwało tylko minutę...

— Tu, Henry, wszyscy kogoś lub coś stracili.

Erli stał jeszcze przez moment, po czym wyszedł, ale po chwili wrócił:

— Chciałem cię spytać, Henry, na jakich szerokościach przecinaliście bariery energetyczne?

Henry podał szerokości i dodał:

— Tylko, że to nie są bariery energetyczne.

— Domyślam się.

— To były granice obszarów, na których czas płynie z różną prędkością. Im dalej od równika, tym szybciej płynie. Słuchaj:

Zatrzymał obracającą się szpulę, założył taśmę i znowu włączył magnetofon. W pokoju rozległo się basowe dudniące wycie.

— To najniższa częstotliwość głosu Nika. Teraz słuchaj:

Zwiększył prędkość odtwarzania. Z głośnika dało się słyszeć:

„Wołam Wirta! Tu Trajkow. Wzywam Wirta! — słowa powtarzały się wiele razy. — Co się u was stało?"

— Za pierwszym progiem czas płynie dwadzieścia razy szybciej niż u nas. Ile razy szybciej płynie za następnym — nie wiem. Na drugiej bazie czas płynie pięćset razy szybciej!

— To dlatego tak was przytrzymywało na każdym progu. Czas płynie szybciej i dlatego potrzebny jest potężny impuls energii, żeby w niego wskoczyć. Oto dlaczego bez żadnej widocznej przyczyny „Fiołek" nagle się obrócił. Miał zbyt małą prędkość, a co za tym idzie dysponował zbyt małą energią — rozmyślał głośno Erli.

— Co teraz zrobimy? — spytał Wirt.

— Przekaż te dane Evie, niech wprowadzi je do komputera. Kiedy otrzymamy wynik, powiadomimy o wszystkim Svena i Nika. A co powiesz Seonie?

— Dam jej tego posłuchać — odpowiedział Henry i rozwarł dłoń, na której leżał pierścionek z kamieniem. W drugą wziął niewielki aparat do zapisu i odczytywania kryształów, po czym obaj wyszli na korytarz.

Erli przekazał Evie dane, niezbędne do rozwiązania zadania. Henry usiadł obok Seony. Uśmiechnęła się do niego. Widać było, że czuje się niezręcznie, jak każdy człowiek, który nagle znalazł się wśród dobrych, ale jednak obcych ludzi.

— Seona — powiedział Henry — nie będę ci niczego wyjaśniał. Nazywam się Henry Wirt. Posłuchaj tego. — Wstawił pierścionek w uchwyt czytnika i włączył aparat. Rozległ się smutny, cichy głos:

— Dzień dobry, Henry, mój kochany.

Erli wziął Evę za rękę i wyszli z sali.

— Chciałem wyjaśnić wiek szczątków Ezry i Jumma — rzekł Erli. — Trzeba to koniecznie zrobić.

— Pomogę ci.

— Nie, sam to zrobię. To nie jest zbyt skomplikowane. Tylko nie wiem, gdzie jest laboratorium.

— Będziesz musiał przejść tym korytarzem do północnego skrzydła. Tam jest tabliczka.

— Eva, niedługo będą gotowe wyniki obliczeń. Przejrzyj je.

— Teraz niezręcznie mi tam wchodzić. Odprowadzę cię.

— Dziwaczka. Nie ma dokąd odprowadzać. Tu wszędzie jest blisko.

— Wszystko jedno.

Zdążyli przejść kilkadziesiąt kroków, kiedy otworzyły się drzwi i ukazała się w nich głowa Henry'ego.

— Dokąd uciekacie? — krzyknął za nimi.

— Idź, Eva. Niedługo wrócę.

Erli szedł korytarzem nierównymi krokami, czasami potykając się ze zmęczenia. Tam, gdzie korytarz przecinał linę równika, nie wytrzymał i zajrzał do warsztatu. Wiedział, co tam zastanie i nie omylił się. Ta sala też miała kilkaset lat. Wszędzie leżał wiekowy kurz. Około dwustu metrów dalej korytarzem odnalazł potrzebne laboratorium. Zabrał stamtąd niewielki analizator. Następnie pojechał windą na najwyższe piętro Centralnej, przez kilka sekund stał przy przezroczystej ścianie kopuły próbując rozpoznać postacie Svena i Nika na czwartym akumulatorze, ale niczego nie udało mu się zobaczyć.

W sztabie spotkał kłócących się przez cały czas Ezrę i Jumma. Ale nie zwracał na nich uwagi. Oni żyli w jakimś innym wymiarze czasu.

Analiza szczątków dwóch ludzi wykazała, że zmarli oni półtora tysiąca lat temu. Po pięciu minutach Erli był w sali łączności. Henry'ego nie było tam. Okazuje się, że wezwał go Sven. Nieznajomi coś zamierzali. Henry odjechał drugim łazikiem w kierunku akumulatorów.

Eva wyszła mu na spotkanie bardzo zdenerwowana.

— Erli! Na dwudziestej bazie minęło około sześciuset lat! Oni od dawna już nie żyją!

c.d.n.

■

kolumna ajencyjna

KOLUMNA DWUDZIESTA
(świątecznie ilustrowana)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

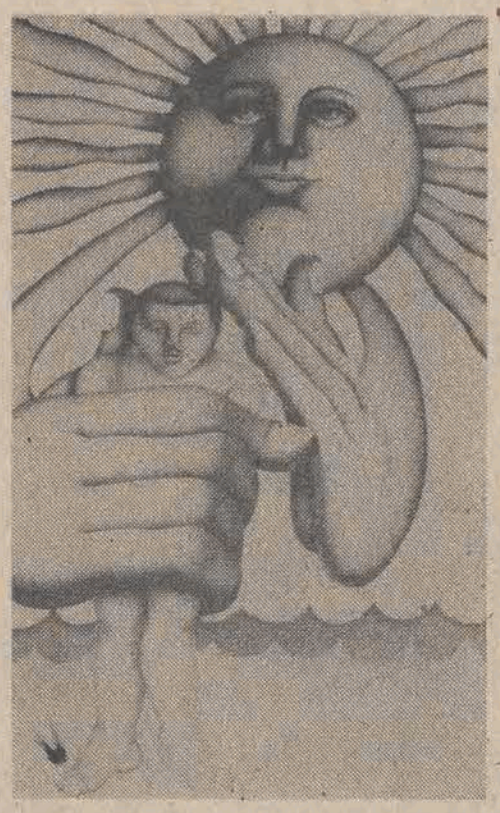

Wiernym Czytelnikom KOLUMNY AJENCYJNEJ — jeżeli tacy w ogóle istnieją — serdeczne życzenia zdrowych i pogodnych świąt, wesołego wielkanocnego jajka, a także słonecznych i radosnych przyszłorocznych wakacji składa ryczałtem,
zawsze ufnie spoglądający w przyszłość

AJENT

Pewien aktor dowodził, że świat to olbrzymia scena, na której nieustannie odbywa się przedstawienie.

— Ma pan pecha — wtrącił T. — Nawet tu pana źle obsadzono.

Eugeniusz Iwanicki

Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

*

Kiedy poeta Z. zaczął rozpowiadać, że zamierza uprawiać wspinaczkę wysokogórką. T. tak to skwitował:

— Aby znaleźć się na Olimpie, wcale nie trzeba być alpinistą.

*

Jakich profesji jest w Polsce najwięcej? — zapytano T.

Odpowiedział:

— Działaczy.

Teraz przestanie wreszcie zjadać cukierki z choinki!
Rys. Jarosław Szymański

Roman Gorzelski

FRASZKA ŁACIŃSKA
Inter pedes
Sedes.

MUŁŁA
Wierzy
W wieży.

Rozerwij się! (naszym kosztem)

Ostrzegali nas ludzie życzliwi i wiedzący wiele, że jeżeli chcemy narazić się na zasłużoną wzgardę, a być może wylecieć nawet z ajencji wystarczy wydrukować krzyżówkę albo rebus, ani jedno ani drugie nie przystoi bowiem pismu o tak zwanych ambicjach. Wydało się to nam wprawdzie wielce dziwne, widzieliśmy bowiem w młodości profesora uniwersytetu który jadąc do Warszawy trzymał na kolanach „Przekrój" bez cienia wstydu wypełniając jakieś kratki, wytłumaczono nam wszakże, że rozwiązywać — pod pretekstem nudy — można, nie wypada jedynie drukować.

Długo powstrzymywaliśmy się tedy przed pokusą dziś jednak — w obliczu nadchodzących świąt — postanowiliśmy zaryzykować. Rozerwij się Czytelniku Drogi, nawet jeżeli to ma być rozrywka naszym kosztem. Wpadnij w dziecinną radość stwierdziwszy że Herculesa Poirot i pannę Marple wymyśliła jedna i ta sama autorka rozwiąż też tajemniczy SZYFROGRAM choć wydał się nam okropnie trudny.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 10 stycznia 1983 r. z dopiskiem na kopercie lub pocztówce „Rozwiązania rozrywek umysłowych". Kiniemy się słowem honoru że rozlosujemy książki. Przynajmniej trzy chyba że rozwiązań przyjdzie mniej niż trzy, co jednak załamałoby nas zupełnie.

Z dawnych lektur

Należy połączyć w pary postacie stworzone przez jednego autora. W rozwiązaniu wystarczy podać liczby i odpowiadające im litery.

1. Mazepa	A. Ewa Pobratyńska
2. Longinus Podbipięta	B. Matka Courage
3. Aleko	C. Herkules Poirot
4. Krzysztof Cedro	D. Kapitan MacWhirr
5. Arturo Ui	E. Kirkor
6. Kapitan Ryków	F. Kali
7. Portos	G. Eugeniusz Oniegin
8. Panna Marple	H. Konrad Wallenrod
9. Lord Jim	I. Józef Ślimak
10. Izabela Łęcka	J. Edmund Dantes

SZYFROGRAM

Rozwiązaniem jest sentencja oraz nazwisko jej autora.
Przepowiada przyszłość: 68 — 73 — 33 — 61 —.
Zajmuje czołowe miejsce w panteonie naszej sztuki: 63 — 45 — 71 — 42 — 23 — 31 — 52 —.
Oświetla scenę teatralną 34 — 57 — 46 — 70 — 20 — 4 — 32 — 40 — 44 —.
Otyłość: 22 — 3 — 10 — 2 — 29 —.
Wśród sztućców: 58 — 27 — 51 — 60 — 56 — 38 — 12 —.
Określone jest prawem Newtona: 16 — 47 — 7 — 41 — 72 — 36 — 59 — 62 —.
Ma skorupkę: 28 — 24 — 19 — 30 — 50 —.
Smętna ukraińska pieśń ludowa: 65 — 54 — 67 —, 25 — 18 —.
Zjawisko istotne dla wodnej gospodarki organizmu: 66 — 1 — 53 — 69 — 13 — 5 —.
Nie pasuje do nosa: 26 — 17 — 14 — 15 — 48 —.
„Z ogrodowej altany Wojewoda zdyszany..." itd.: 8 — 11 — 55 — 43 — 35 —.
Ustąpienie z urzędu: 49 — 9 — 39 — 37 — 21 — 6 — 64 —.

Opracowanie:
ŁÓDZKI KLUB SZARADZISTA

					1	2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34
35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47
48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60
61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73

Autowywiad

(Wcieleni w postać WYWIADOWCY kontynuujemy nasz smętny autowywiad ze sobą samym, w którym — dodajmy z goryczą — nikt, nawet telewizja nie chciał nas jakoś wyręczyć...)

WYWIADOWCA: Przepraszam, a to co znowu? Jakieś rysuneczki, jakieś piosneczki, zamiast zapowiadanych pikantnych plotek i barwnych wspomnień z młodości...

AJENT: Barwne wspomnienia i pikantne plotki nieodwołalnie postanowiliśmy przełożyć na kiedy indziej, a może nawet przenieść do „Dzieł pośmiertnych". Bądź co bądź idą święta, a choć w noc wigilijną nawet bydlęta mówią ponoć ludzkim głosem, to przecież nie obszczekują przyjaciół. Zarazem, jak to powiadają, czas umierać, skoro my — ajent — weszliśmy do pieśni masowej, to jest rockowej.

WYWIADOWCA: Wziął pan do siebie ten utwór?!

AJENT: Do siebie, nie do siebie, ale skoro raz się zaczęło, to teraz poleci. Złe przeczucia miałem już przy „Ajencyjnym spotkaniu z balladą", potem przyszedł ten utworek, za jakiś czas wysłucham piosenki retro z tekstem „Bo zakochany ajent okradał niebo z gwiazd", a skończy się na milicji, prokuratorze oraz artykulikach w prasie. „Kochał, bił i gwałcił" — zaczną krzyczeć tytuły w byle gazetce i zaraz w niej wyczytamy, że ajent XYZ kochał, ale tylko pieniądze, bijał personel, a jego ladniejszą część nie tylko bijał, lecz i gwałcił. I jak potem udowodnić, że ten pan na obrazku poniżej to wcale nie ja, ale ktoś inny?!

WYWIADOWCA: A Pan na obrazku powyżej?

AJENT: Pan na obrazku powyżej to też nie ja, czyli nie my, ale tak właśnie wyobrażamy sobie nasze przyszłe szczęśliwe życie. Skromna posadka ze skromnym uposażeniem, lecz koniecznie także i z sekretarką, wszakże podającą nie bezsensowną zupkę, lecz wyłącznie herbatkę. Potrafimy wypić całą nieskończoność herbatek, przeto wieloręka sekretarka byłaby jak znalazł.

WYWIADOWCA: A kwalifikacje?

AJENT: Sekretarki?

WYWIADOWCA: Nie, kandydata na posadkę.

AJENT: To nie jest dobre pytanie, mój panie! Powiem więcej, to jest pytanie wprost chamskie, dlatego też poproszę o inne.

WYWIADOWCA: No dobrze. Nie żal panu rozstawać się z ajencją?

AJENT: Owszem, żal, włożyliśmy bowiem w tę robotę wiele dobrych chęci i szczerego serca. Ale tak zupełnie, mam nadzieję, to się nie rozstaniemy. Na państwowej posadce będziemy mieli oczywiście mnóstwo wolnego czasu, przeto między jedną a drugą herbatką to skrobniemy liścik, to napiszemy jakiś śmieszny kawałek, słowem z ajenta przekształcimy się w producenta. I tym sprytnym sposobem związemy może koniec z końcem.

WYWIADOWCA: Wobec tego dziękuję za rozmowę.

AJENT: Nie ma za co. Tylko proszę nie przestawić dolnego zdjęcia z górnym zdjęciem, bo wtedy za siebie nie ręczę...

Nowy szlagier czyli:

Dzisiaj w cyklu „Piosenka rockowa nośnikiem autentyzmu" prezentujemy tekst wykonywany przez jedną z nowych grup Muzyki Młodej Generacji, a mówiący o... ajencie. Wszystkim, którzy mieliby kłopoty z dokonaniem rozbioru logicznego i gramatycznego, proponujemy rozbiór dramatyczny utworu. Zwracamy też uwagę na neologizmy — szczególnie ciekawie brzmi sformułowanie „agentura firmy Cia" czyli „si-aj-ej". Przyjemnej lektury.

„Ajent"

O trzynastej rano wstaje
niewyspany wiecznie ajent
bierze swoje „mirafiori" —
gna do pracy nawet chory
we łbie szumi, w uszach brzęczy
i nie kac, lecz dźwięk pieniędzy.

Ajent w knajpie zawsze zdrowy
do spraw mu wystarcza głowy
świat się kręci, nowe twarze
ciągle rosną apanaże
przez dzień cały kumpli chmara
tu się zbiera stara wiara.

Ajent ci ułatwi wszystko
bo to wielkie jest panisko
lepiej grzecznym być petentem
niż pokłócić się z ajentem
bo wychodzisz stąd bez żalu
zostawiając kupę szmalu.

Tu refleksja się nasuwa:
czemu brak high life'u — u nas
których cała sprawa boli.
u nas szarych wprost roboli
Może zróbmy konkurencję
biorąc byle co w ajencję
bo na wakat chrapkę ma
agentura firmy Cia
agentura firmy C—I—A....

Ciąg dalszy cyklu — być może — nastąpi.

1 Spojrzenie znad szachownicy

Co położyć pod choinkę?

1.

Można żywić obawę, iż obywatel Mikołaj będzie miał w tym roku niejaki kłopot, asortyment towarów, które dałoby się cichcem położyć pod choinkę bądź efektownie wnieść w wielgachnym worku, uległ bowiem poważnemu uszczupleniu. Bez dewiz — a skąd, u licha, polski Mikołaj ma mieć cudzoziemskie środki płatnicze — nie kupisz wytwornych perfum ani ekskluzywnych alkoholi, z kolei bez stosownych kartek nie ma co myśleć o czekoladzie czy byle bombonierce. To i owo można co prawda znaleźć w prywatnych sklepikach, a nawet w całkiem nieźle zaopatrzonych kioskach „Warsu" — ostatnio podziwiałem je na stacji Warszawa Wschodnia — spojrzawszy jednak na ceny pobożnie padamy na kolana. Duża bo duża tabliczka czekolady — 1800 złotych. Trochę mniejsza — 1200. Całkiem zwykła, formatowa rzekłbym — 450 złociszy.

Oczywiście, jak to ze wszystkim bywa, ta nie najweselsza sytuacja ma swoją korzystną stronę, znam bowiem łasuchów, którym oczy świecą się do byle landrynek, znam też namiętnych palaczy gotowych pocałować Mikołaja w rękę za parę ponadnormatywnych paczek „Sportów" vel „Popularnych". Lat parę temu Mikołaj rozdający landrynki i byle papierosy byłby niechybnie wyśmiany, a być może nawet zrzucony ze schodów, a dziś — proszę — jaka sympatyczna odmiana obyczajów i to na lepsze.

2.

W rezerwie pozostają jeszcze książki, które radzę kupować w antykwariatach, bowiem co ciekawsze tarafiają tam niemal natychmiast. Pętanie się po księgarniach — i to w przededniu świąt — jest zajęciem jałowym, a nawet idiotycznym; czas ten stanowczo lepiej przeznaczyć jest na jakąś pożyteczną, możliwie dobrze płatną pracę i dopiero z kieszeniami pełnymi pieniędzy udać się w z góry upatrzonym kierunku. Osobiście polecałbym stary, niezwykle fachowo prowadzony antykwariat w alei Schillera, bądź też nowo otwarty przy Andrzeja Struga tuż przy Piotrkowskiej, w którym widywałem i widuję wiele ciekawych pozycji.

Na jednej, nie chwaląc się, zarobiłem nawet coś ze sto złotych, tyle bowiem mniej więcej wyniosła różnica między honorarium za felietonik o grzybie czernidlaku a cena zakupionej książki nie to jest jednak przyczyną mojej świeżo narodzonej sympatii. Otóż pewnego dnia — a Andrzeja chodzę codziennie do pracy i z pracy — zauważyłem na wystawie wyciętą z „Odgłosów" (tak z „ODGŁOSÓW", żadnej pomyłki tu nie ma!) rubrykę SPOD LADY, poświęconą książkom S-F, które „były, ale się zmyły", czyli normalnym trybem kupić już ich się nie da. Wycinek leżał sobie jak gdyby nigdy nic, bez żadnego komentarza, że niby posiadamy te książki na składzie, albo wręcz odwrotnie — pragniemy je zakupić. Leżał i dawał do myślenia, co również bez komentarza odnotowuję.

3.

Na tym — rzecz jasna — możliwości sprokurowania sensownego prezentu jeszcze się nie wyczerpują. Można, do czego zachęcają nas sążniste reklamy, kupić los na loterię, można też wypełnić i złożyć w kiosku, oczywiście wnosząc stosowną opłatę, opatrzony nazwiskiem obdarowywanego kupon Toto-Lotka, co jest zagraniem o tyle hazardowym, że jeżeli delikwent przypadkiem wygra, do końca życia będziemy pluć sobie w brodę, że sprezentowaliśmy taką forsę.

Wreszcie — to jest pomysłem całkiem świeżym i szalenie oryginalnym, zaczerpniętym z drobnego ogłoszenia zamieszczonego bodaj w „Expressie" — można zamówić dla upatrzonej osoby (pod warunkiem wszakże, iż znamy jej datę urodzenia) komputerowy wypis biorytmów, cyklu wzmagającej się i opadającej aktywności psychicznej i fizycznej sprawności. Nie jest to żadna lipa ani czarna magia, istnienie indywidualnych biorytmów nie tylko nie podlega bowiem wątpliwości, ale stanowi problem stosunkowo nieźle przez naukę przebadany, do tematu powrócę może jednak przy najbliższej okazji, gdy własny cykl biorytmów poznam. Zdecydowałem się bowiem na podobne szaleństwo i to wyłącznie z myślą o Przenajukochańszych Czytelnikach, jeżeli bowiem moje skromne felietoniki są niekiedy jakby trochę śmiesznawe, innym zaś razem tak dęte i chachmętne że wstyd po prostu, nie bierze się to z lenistwa, bądź nieochoty, ale z tego, iż Matka Natura — od której drugi tydzień nie mogę się już odczepić — tak a nie inaczej Jerzego P. zaprogramowała.

Poznawszy swoje biorytmy będę odtąd pisywał jedynie w Dobre Dni, zaś w te gorsze zajmę się czymś innym, jeszcze nie wiem dobrze czym właściwie...

I tym optymistycznym akcentem pozwalam sobie zakończyć.

JERZY P. ■

2 Zdarzenia i zwierzenia

Wolna amerykanka

„Wolna amerykanka" — to nazwa popularnej niegdyś właśnie w Ameryce dyscypliny sportowej (jeśli to rzeczywiście można zakwalifikować jako sport?) Walki w tym stylu polegały na... braku wszelkich reguł. Można było przeciwnika boksować, dusić, można było dać kopa między nogi, wykręcić rękę. Po angielsku nazywało się to „catch as catch — can" czyli „Łap jak możesz".

Wyobraźmy sobie teraz, że na ringu stanie nasz olbrzym-zapaśnik Sandurski przeciwko zawodnikowi „wolnej amerykanki". Nie będzie miał żadnych szans, bowiem zapaśnik przyzwyczajony jest do pewnych reguł gry. Podobnie nawet najlepszy bokser przegra w „wolnej amerykance" bo też ma wpojone zasady, aby np nie bić po nerach, ani nie kopać...

Propaganda jaką kierują na nasz kraj zachodnie środki dywersji przypomina właśnie „wolną amerykankę". Nasza propaganda natomiast — przyzwyczajona do pewnych reguł — zachowuje się wobec tych ataków jak Sandurski zaskoczony, że na macie można przeciwnika kopać i dusić.

Styl „wolnej amerykanki" zachodnie środki masowego przekazu opanowały do perfekcji. Ktoś, kto się orientuje w metodach propagandy nie da się na to nabrać, ale przeciętny słuchacz np. „Radio France International", jest przekonany, że nawet za najprostszą informacją kryją się jakieś złowieszcze treści. Serwis tej — i innych rozgłośni — podawany jest w pewien szczególny sposób. Pomijając ewidentne kłamstwa i bzdury, temperatura i aluzyjność przekazu sprawiają, że w słuchaczu następuje tzw. podgrzanie emocjonalne.

I o to chodzi.

Jako przykładem posłużę się anegdotką o Michale Choromańskim — pisarzu, który swoje powieści nasycał właśnie atmosferą aluzyjności i niedopowiedzeń. Choromański mówił na przykład tak: „Nagle znalazłem się w dusznym, zamkniętym pudle. Raptem zaszumiało i pudło wraz ze mną zaczęło spadać w niepojętą przepaść..."

Co się stało? Nic takiego — po prostu Choromański wszedł do windy i zjechał na dół. Nie ma w tym żadnego kłamstwa — przecież winda to pudło i rzeczywiście zjeżdżając w dół czujemy owe opadanie.

A więc najprostsze zdarzenie można podać w taki sposób, że u słuchacza wywoła dreszcz niepokoju. I o to chodzi.

Nasza propaganda nie stosuje takich metod. Próbuje logicznie, rzeczowo — i często niestety diabelnie zawile — dementować, wyjaśniać, argumentować. Niestety — to nie jest metoda na walkę w stylu „wolnoamerykańskim".

W każdej walce — także propagandowej — trzeba stosować metody, jakie narzuca przeciwnik. Inaczej będziemy w tej walce bezbronni, gdy przeciwnik nie stosuje żadnych reguł gry, a my — cywilizowani Europejczycy — ciągle spoglądamy w regulamin bacząc, aby nie naruszyć obyczajów, które przeciwnik dawno odrzucił, albo w ogóle o nich nie ma pojęcia.

Nasza propaganda ma wiele wad. Jej słabość wykazały ostatnie lata w sposób aż nadto wyraźny. Wydaje mi się jednak, że główną wadą propagandy jest brak elastyczności wobec przeciwnika. Bądźmy taktowni i eleganccy wobec tych, którzy nas krytykują — nawet ostro, ale w granicach przyjętych przez cywilizowany świat — bądźmy bezpardonowi wobec tych, którzy uważają, że styl „wolnoamerykański" można stosować bez żadnych ograniczeń.

JERZY WILMAŃSKI ■

3

Zwolnili przewodniczącego

„— Słyszałaś, zwolnili nam przewodniczącego" — rozpoczyna rozmowę z koleżanką brunetka o prezencji rezolutnej urzędniczki (rozmowa odbywa się w przepełnionym autobusie linii „P" — uzupełniam, aby znów nie być posądzonym o felietonowe zmyślenia). „ — Nawet go widziałam — odpowiada koleżanka — w eleganckiej kurtce i nowiutkich butach". „—Pewnie żonie pomagali. — Tak, a jak dobrze wygląda, jaka cera! — Co chcesz, tyle miesięcy nad morzem, przecież powietrze nie takie jak tu..."

Zaraz przypomniał mi się wiersz, jednego z byłych pryszczatych, drukowany w tygodniku, którego łamy — jak pierś kombatanta w bliznach — znaczone są myślnikami w kwadratowych nawiasach: Tutaj — pisze poeta — „staruszka codzienność/ drepce tańczy trąca się ze mną/ i do serca bijącego niespiesznie/ przygarnia mnie/ z pobłażliwym uśmiechem".

Zanim zdążyłem zorientować się ile pobłażliwości dźwięczy w głosach dialogujących pań, te zmieniły temat: „— Oglądałaś Rakowskiego: — Tak, wiesz to jest ktoś, i przeczytać potrafi, i powiedzieć, i wytłumaczyć... A te listy, które czytał na koniec... — No wiesz, nie chce mi się wierzyć. Ponaglenie z biblioteki dostałam z pieczątką „ocenzurowano", a tu takie słowa przeszły do wicepremiera! To spreparowali. To są te metody. Marian mówił mi co w „Polityce" napisali o Holoubku, wiesz, ile miał żon i co wyprawiał z bileterką... Muszę przeczytać. Ach, nie warto mówić. Robią co chcą!".

Dialog o „metodach" i o „nich" toczył się jeszcze przez parę przystanków, ale doprawdy trudno by mi było obie interlokutorki jednoznacznie określić: w każdym razie nie „milcząca większość" (mówiły głośno, bo „Ikarus" brzęczał i skrzypiał), ani „lojalna opozycja" (zmyślny oksymoron ukuty za oceanem) — ci publicznie milczą i robią miny. Chyba takie zwykłe „kolaborantki", jakich miliony, co to pracują, posyłają dzieci do szkoły, stoją w kolejkach, „zwyczajne wszystkiego" (jeszcze jeden wers z cytowanego wyżej wiersza), myślą już jak dzielić wigilijnego karpia (komisje socjalne znowu się przypodchlebiły).

Życie wraca do zwykłego nurtu coraz to pełniejszymi strumieniami, a dzień 13 grudnia 1981 roku staje się historią. „Przegląd Tygodniowy" drukuje o nim wspomnienia z namaszczeniem, z jakim zwykło się patynować wydarzenia prawdziwie odległe w czasie, a Daniel Passent w „Polityce" opowiada anegdoty sprzed koksownika.

Nim Sejm podjął dyskusję, nim generał Jaruzelski wygłosił przemówienie, w którym zapowiedział określone decyzje (jak wszystkie i te ostatnie są przedmiotem rozmaitych społecznych roztrząsań) stan wojenny od kilkunastu tygodni oddalał się w naszej świadomości na plan drugi bądź jeszcze odleglejszy. Dramatyzm pierwszych dni po ogłoszeniu stanu wojennego, nie bez tragicznych następstw, przeszedł do historii jako pokoleniowe doświadczenia, o których należy pamiętać dla nauki o naszym tu i teraz. Racje tamtych decyzji weryfikować będzie przyszłość, ta bliższa, oczekiwana z niecierpliwością i ta dalsza, o której mawia się, że z jej perspektywy oceniać lepiej.

Zbyt pośpiesznie zasypuję okopy i zbyt jednoznacznie oceniam społeczne nastroje. Być może. Jednak trudno dziś zaprzeczyć, a z całą pewnością nie będzie można tego zrobić za lat kilka, że taki a nie inny charakter świadomościowych relacji na linii władza — społeczeństwo, wynika przede wszystkim z sytuacji ekonomicznej naszego państwa, z codziennych, bytowych kłopotów, z nader radykalnej podwyżki cen, którą przeprowadzono właśnie w rygorach stanu wojennego. To głównie decyduje, ale i przecież decydowało w przeszłości o społecznych nastawieniach wobec władzy: kryzys nie rozpoczął się 13 grudnia 1981 roku. Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to otrzeźwienie władzy i społeczeństwa, czy najpierw społeczeństwa, a potem władzy, które zdeterminowane jest bezlitosnymi mechanizmami ekonomicznymi (że posługiwano się nimi w sposób wysoce niekompetentny to już inna, choć równie ważna sprawa). Tzw. rewindykacje polityczne anarchizujące życie państwa dopisane potem do robotniczych protestów stały się w rezultacie kartą przetargową o kontekstach, przekraczających obszar znad Odry i Wisły. W te konteksty jest Polska uwikłana po dziś dzień. Czym więcej objawów normalizacji, a zatem czym mniej argumentów dla rozmaitych apeli, protestów, meetingów i „dni solidarności" tym częściej i głośniej zagraniczna opozycja grzmi o prawach obywatelskich, o „niezbędnych krokach" o „pozornych działaniach junty". Nikogo nie trzeba przekonywać o nerwowej demagogii w poczynaniach waszyngtońskiej administracji w dniach poprzedzających obrady Sejmu. Na wiele dni przedtem, nie znając przecież powziętych decyzji, próbowano je deprecjonować na wszelkie możliwe sposoby. Także głosami tych „autorytetów", które Polskę oglądały ostatnio na długo przed ogłoszeniem stanu wojennego, i które o naszej codzienności wiedzą to, co po swojemu interpretują amerykańskie departamenty i gazety „polonijne" (z wyraźną satysfakcją cytuje je „Głos Ameryki" — toć to przecież, drodzy słuchacze nad Wisłą, opinie waszych „rodaków"). Sądzę więc, iż ci którzy chcieliby znaleźć jeszcze jedno potwierdzenie, że życie w Polsce wraca do normalnego stanu, winni częściej słuchać „Głosu Ameryki" i najzwyczajniej konfrontować słowa „nawiedzonych" z polską rzeczywistością końca 1982 roku. Chociaż czy warto?

Tak czy inaczej, nie bez optymizmu będziemy siadać pod choinką do wigilijnej kolacji. Życzę tego sobie i wszystkim czytelnikom „Odgłosów".

GRZEGORZ GAZDA ■

4 Sport

Zawodowiec nie je cebuli

W kolarstwie zawodowiec to ktoś lepszy, ktoś kto posiada wyższe umiejętności, lepiej jest przygotowany do walki na szosie. Być zawodowcem to marzenie wielu młodych kolarzy. Amator natomiast to ktoś gorszy, ktoś, kto się wśród zawodowców nie liczy. Może się nawet z nimi ścigać, ale mimo wszystko jest to człowiek z innej płaszczyzny, z innego poziomu. Więc amator marzy o tym, aby być zawodowcem.

Jeden polski kolarz już tego spróbował. Nazywa się Czesław Lang. Był zawodnikiem warszawskiej Legii. Wyjechał do Włoch jesienią 1981 roku. Jeździ teraz w grupie GIS Gelati Olmo. W jego ślady zamierzał pójść też Krzysztof Sujka. Ale okazało się, że nie jest to takie proste. Teraz jeździ w tymże samym GIS Gelati Olmo, ale w grupie amatorów. Być może zostanie zawodowcem. Jeszcze się nie zdecydował.

Wielu młodych zawodników, nie tylko kolarzy, sądzi, że życie zawodowca, że życie sportowca na Zachodzie jest znacznie przyjemniejsze niż gdzie indziej, że twarda waluta mu sama płynie do kieszeni. Rzeczywistość rozwiewa te mniemania. Owszem, zarobić można, ale też i napracować się trzeba. We włoskim kolarstwie na przykład — jak wyznał to Krzysztof Sujka przedstawicielowi katowickiego „Sportu" Janowi Lazarowi — obowiązuje żelazna zasada, że „zdrowy zawodnik to dobry zawodnik", w takiego klubowi opłaca się inwestować. Ale o zdrowie tenże zawodnik musi dbać sam. Nikt go nie pilnuje, nikt mu niczego nie zabrania, on musi sam sobie wiele zabronić i twardo tego przestrzegać. Tu żartów nie ma. O kondycję zawodnik też dba sam. Trener za nim nie chodzi, niczego nie przypomina. Trener tylko sprawdza, jak zawodnik jest przygotowany do walki.

— „Żadnej cebuli — opowiedział Krzysztof Sujka — żadnego tłustego mięsa, żadnej wieprzowiny, ciastek itp. To trzeba odstawić, bo to psuje wątrobę. Trudno w to uwierzyć, szczególnie komuś, kto w trakcie wyścigów w Polsce był napychany jedzeniem na zasadzie „im więcej wtłoczysz do siebie, tym więcej będziesz miał energii potrzebnej na trasie". Poznałem inny świat. I to od dziwnej strony. No, bo znalazłem się w kraju, gdzie bez kartek można kupić wszystko, co tylko ciało i żołądek zapragną, a tymczasem kazano mi się oszczędzać".

Więc Krzysztof Sujka je białe mięso i ryż. I w ten sposób oszczędza wątrobę. Dla włoskich trenerów i menadżerów najcenniejszą informacją o zawodniku jest informacja o... jego wątrobie.

— „Bo chora wątroba to potem czyraki, to kłopoty, to klapa z wyścigiem" — wyjaśnił Krzysztofowi Sujce włoski menadżer z GIS Gelati Olmo, Pieroni. I wyjaśnił dopiero wówczas, gdy obejrzał wyniki badań przeprowadzonych w szpitalu na koszt klubu. Krzysztof Sujka ma zdrową wątrobę. W taki okaz zdrowia GIS Gelati Olmo może śmiało inwestować.

Grupą amatorów w GIS Gelati Olmo zajmuje się „Mario". Jest on jak pisze Jan Lazur — „trenerem — lekarzem — mechanikiem w jednej osobie' Do tego jest menadżerem tej grupy. „Słowem — wszystkim" — to też określenie Jana Lazara. Kiedy okazało się, że Krzysztof Sujka jest okazem zdrowia i warto w niego inwestować, bo ma zdrową wątrobę, wtedy „Mario" wziął z Sujki miarę i po czterech dniach przyprowadził rower specjalnie dla niego zrobiony.

— „Jeszcze nigdy nie miałem tak świetnie dopasowanego roweru" — powie o tym były zawodnik łódzkiego „Społem", Krzysztof Sujka. Bo o sprzęt dba klub. O co jeszcze dba klub? „Klub dbał o wszystko, co potrzebne zawodnikowi na zawody. Dostarczał także różnego rodzaju reklamowych dresów, czapeczek, koszulek, spodenek, itp. Bo to, co należy zareklamować, to rzecz święta".

Wszakże amator żyje tam jak zawodowiec, bo może zostać zawodowcem, jeśli będzie zdrowy i będzie się wyróżniał. Różnią się od siebie tylko wyścigi amatorów i zawodowców. „Reszta — mówi K. Sujka — bez zmian. Tryb życia, treningi, dbanie samemu o formę, o to, by być widocznym. Troska o swe zdrowie. To już należy do samego zawodnika". Nie będziesz dobry, to nie będziesz dużo zarabiał.

Życie zawodowca nie jest łatwe, ale też nie takie straszne, jak to próbowano kiedyś przedstawiać. Rządzą nim twarde prawa. Kto nie pracuje nad sobą, nie dba o siebie, ten nie ma tam co robić. Ale to akurat jest zasada, która powinna obowiązywać wszędzie, nie tylko w zawodowym kolarstwie.

Jan Lazar wspomniał w swojej relacji ze spotkania z Krzysztofem Sujką, że żona kolarza stwierdziła, iż „nigdy nie mogłaby zostać zawodowym kolarzem, bo nie wytrzymałaby takiej surowej diety". Przyznam się, że też bym nie mogła. Przede wszystkim dlatego, że bardzo lubię śledzie w oleju lub w śmietanie. Z cebulą. A zawodowcy nie jedzą cebuli. Straszne!

BOGDA MADEJ ■

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Kaniczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Strzyjski, Janusz Szymański Glanc („rafik"), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2736. F-2.

Safona, Aspazja i inne hetery

Mały Larousse (Paryż 1903): *„HETERA — kurtyzana rangi nieco wyższej"*. Brockhaus' Konversations-Lexikon (Lipsk 1908): *„HETERY — (po grecku znaczy „przyjaciółki"), u Greków upiększające określenie dla prostytutek. Stosunki towarzyskie z heterami nie uchodziły w Grecji za uwłaczające czci"*. Przytoczone opinie objaśniają ostatnie słowo w tytule. W późniejszych encyklopediach i leksykonach, polskich i zagranicznych darmo by szukać hasła HETERA. Oddajemy teraz głos Pierre Dufour'owi, który w swej książce pt. „Histoire de la prostitution" obszerny rozdział poświęcił heterom. Oto wstępny akapit do tego rozdziału:

„Powstanie i rozprzestrzenienie się heteryzmu należy przede wszystkim przypisać kurtyzanom, które nazywały siebie filozofkami, ponieważ postępowały według nauk filozofów i służyły ich miłosnym upodobaniom. Tym sposobem hetery-filozofki wprowadziły nierząd pod dach filozofii, a wszystkie kobiety które wiodły rozpustne życie z wrodzonej zmysłowości, pazerności lub próżniactwa, mogły powoływać się na przykład i czyny takiej Safony, Aspazji i Leoncji. Bez wątpienia żyła spora liczba heter, które wyróżniły się w różnych szkołach filozoficznych. Niestety, historia — z okresu ponad 300 lat — zachowała jedynie 10—12 imion, których nosicielki brały czynny udział w nauce i uprawianiu tzw. heteryzmu, filozoficznego systemu prostytucji. System ten — wydaje się — miał cztery formy i cztery różne fazy, które chcemy nazwać: lesbijską, sokratesową, cyniczną i epikurejską. Nazwy te dają do zrozumienia, że Safona, Sokrates, Diogenes i Epikur byli patronami, jeżeli nie inicjatorami nauk, które hetery-filozofki starały się rozpowszechnić. Safona głosiła miłość kobiecą, Sokrates — duchową, Diogens — wolną i Epikur — zmysłową. Oto cztery rodzaje miłości, według których dokonał się podział heter-filozofek, które z kolei znalazły mniej lub więcej zwolenniczek wśród dobrych przyjaciółek, mających prawo do najwyższego przywództwa w powszechnej rozrywce".

MEGALOSTRATA

To przydługie imię nosiła kochanka poety Alkmana, który jako niewolnik przybył do Sparty z Sardes w Lidii, w pewnym okresie starożytności potężnego państwa w Azji Mniejszej z bajecznie bogatym królem Krezusem. Spartanka Megalostrata w drugiej połowie VII wieku p.n.e *„filozofowała, tworzyła i kochała. Jej filozofia była czysto erotyczna i można uważać ją słusznie za prekursorkę epikureizmu"*. (P. Dufour). Zachowane o niej wspomnienia odnoszą się do najwcześniejszego okresu owego 300-lecia, z którego pozostało nam 10—12 imion i życiorysów. W Sparcie Megalostrata poznała wyzwoleńca Alkmana.

W „Biesiadzie uczonych" Atenajosa, żyjącego na przełomie II i III w., mówi się o Alkmanie jako o *„księciu poetów miłosnych, jako o największym dziwkarzu i największym żarłoku, jakiego starożytność wydała na świat i jakim poszczycić się mogła"*. Dzień i noc spędzał przy stole z Megalostratą u boku. On śpiewał własne pieśni miłosne, ona mu wtórowała. W pewnym epigramie, który znaleziono w spuściźnie Plutarcha, wspomina Alkman, że „gdyby pozostał w Sardes ojczyźnie swych przodków, zostałby ubogim kapłanem bogini Kybele, któremu usunięto by część narządów płciowych, gdy tymczasem, jako obywatel Lakonii i kochanek Megalostraty, czuje się wyższy ponad wszystkich władców Lidii".

SAFONA

Pierre Dufour: *„Poetka z Mitilini wynalazła miłość lesbijską i wychwalała ją jako lepszą od tej, którą do tej pory zadowalały się kobiety"*. Do czasu przedwczesnej śmierci męża Kerkalesa, bogatego kupca z wyspy Andros, Safona była normalnym osobnikiem płci żeńskiej, kobietą i matką córki Kleidy. Owdowiawszy, wmówiła sobie — podrażniona nadmiarem myśli i zmysłów — że *„każda płeć musi ograniczyć się do siebie i wymrzeć w bezpłodnym uścisku"*. Swoją poezją i filozofią pociągnęła za sobą szczególnie kobiety. Platon i Atenajos wzmiankują o jej powabnym wyglądzie zewnętrznym. Maximus Tyrius, opierający się ponoć na pewniejszych źródłach, widzi Safonę jako osobę niskiego wzrostu i ciemnej karnacji. Owidiusz opisuje ją podobnie do Tyriusa, a uczona Madame Darcies dodaje do obrazu słynnej lesbijki, że *„miała nadzwyczaj ruchliwe i błyszczące oczy"*. Horacy przydał jej określenie „mascula", przyświerdza mu Auzoniusz. Fakty wydają się potwierdzać, że *„Safona była hermafrodytą"*. (P. Dufour).

Bogata z domu i po zmarłym mężu, *„Safona* — pisze Dufour — *nie oddawała się za pieniądze, lecz utrzymywała szkołę prostytutek, w której młode dziewczyny uczyły się czynić nienaturalny użytek ze swego świeżego ciała i swych kielkujących powabów. Niepotrzebnie chciano zrehabilitować obyczaje i naukę Safony. Wystarczy słynna oda, która nam pozostała między resztkami jej utworów poetyckich, aby nawet najniewierniejszemu dowieść, że Safona, jeśli nie była hermafrodytą, to była co najmniej lesbijką. Ta oda, majstersztyk histerycznej namiętności, opiewa pożerający ogień, ekscytację, niepokój, żądzę, rozpustę i w końcu kryzys nałogu, który jest szaleńszy i wyuzadańszy od wszystkich innych"*.

Zdaniem P. Dufoura: *„Od początku do końca oda ta odnosi się do kobiety"*. Do której? Może jeszcze raz do Anaktorii, która opuściła Safonę, wychodząc za mąż. (p. J. Brzostowska „Pieśni", Warszawa 1969). Oto zachowane imiona uczennic poetki: Amyktena, Atyda, Anaktoria, Anagora, Andromeda, Eunika, Fyrrina, Gongila, Kydno, Kyme, Megara, Mneida, Telesylla. Jeszcze raz postawmy sobie pytanie: kto natchnął Safonę do napisania tej ody? Znamy ją za pośrednictwem greckiego filologa i retora, Cassiusa Longinosa, nieszczęśliwego doradcy królowej Zenobii z Palmiry, ściętego na rozkaz cezara Aureliana za niepryzwyczajone stanowisko wobec Rzymu. J. J. Bartelemy, francuski badacz dziejów Hellady, w powieści pt. „Podróże młodego Anarchazisa po Grecji" pisze: „Safona kochała swe uczennice rozpustnie, ponieważ nic innego kochać nie mogła". Natura obdarzyła ją obojnactwem. Na drogę szukania „nowej odmiany miłości" popchnęły ją także śmierć męża i niepowodzenia miłosne. Nie odwzajemnił się uczuciem brat Charaxus, kupiec i żeglarz, którego pomyślne wiatry pędziły do Naukratis, aby w tym porcie nacieszyć się względami Rodopisy aż do następnego spotkania.

Krótkim epizodem w życiu Safony zaznaczył się piękny młodzieniec, Faon. Gdyby pokochał ją, a nie wzgardził jej uczuciem, zapewne losy obojga potoczyłyby się inaczej. Także ku uciesze bogini Wenus, która tego młodzianina naraiła. (Do ludzkiej rzeczywistości Grecy muszą zawsze dorobić mityczny fragment). A stało się to dlatego, że Faon znalazł białą niezapominajkę akurat w tym momencie, kiedy Safona przechodziła obok tego miejsca. W „Historii naturalnej" Pliniusza Starszego tłumacze natknęli się na taki ustęp: *„Są ludzie, którzy twierdzą, że korzeń białej niezapominajki (bardzo rzadko spotykanej) uformowany jest na podobieństwo naturalnej postaci mężczyzny lub kobiety; wierzono, że mężczyzna, który znajdzie korzeń w kształcie męskiego członka, będzie kochany przez kobiety; wierzono także, że to jedynie doprowadziło Safonę do przyjaźni z Faonem"*. Chcąc być w zgodzie z mitycznym fragmentem życiorysu poetki, należy ją jeszcze uśmiercić w morskiej toni po desperackim skoku ze skały Leukas. Ponoć w jej ślady poszło kilka jej uczennic, aby ujść przed męską natarczywością. W latach późniejszych mitologia pomieszała się całkiem z rzeczywistością.

ASPAZJA

Do Aten przybyła w drugiej połowie wieku V p.n.e. Nie sama. Z sobą przywiodła *„świetny orszak heter jej doboru, którymi umiejętnie kierowała. Hetery te nie były niewolnicami, rozumiejącymi się jedynie na kunszcie miłosnym, lecz młodymi Greczynkami wolnego stanu, wysoko wykształconymi w naukach filozoficznych, których uczyła je ich wymowna przywódczyni; i wtajemniczonymi we wszystkie misterie najbardziej wyrafinowanej rozrywki. Aspazja posiadała w gotowości na każdą okoliczność uwodzicielskie środki, a przez uczennice wywierała wpływ tam, gdzie sama nie chciała się osobiście ujawniać"*. W prowadzonej w Atenach szkole uczyła retoryki. Najznakomitsi obywatele Aten byli jej słuchaczami i wielbicielami. Jacques Amyot, biskup z Auxerre, jałmużnik i wychowawca królów francuskich, Karola IX i Henryka III, znalazł u Plutarcha następujące zdanie na temat słuchaczy: *„Szli do niej, aby ją słyszeć opowiadającą, chociaż wprowadzała tłum niezbyt godny szacunku; utrzymywała w swoim domu młode prostytutki, które czerpały zysk ze swego ciała"*. Utrzymywała ten dom na wysokiej stopie. Ostentacyjnie pokazywała się w miejscach publicznych: teatrze, trybunale, na spacerach po ogrodzie zwanym „liceum" (lykeion) obok świątyni Apollina Wilkobójcy (Lykeiosa), gdzie nauczał Arystoteles, otoczona dworem wielbicieli i wielbicielek. Ona nadawała ton modzie, ustanawiała Ateńczykom prawa w dziedzinie ubioru, języka, poglądów i samych obyczajów nawet. Zauważa P. Dufour: *„Młode Greczynki, mimo urodzenia, zstępowały z rzędu obywatelki do rzędu prostytutki i zwały siebie filozofkami za przykładem Aspazji"*.

Aspazją potrafiła przywiązać do siebie Peryklesa na całe jego życie. Największego męża stanu Aten, budowniczego potęgi gospodarczej i militarnej Republiki, twórcę „złotego wieku Peryklesa". Perykles rozwiódł się z żoną Chrysillą, córką Teleusza z Koryntu, i ożenił się powtórnie z Aspazją. Perykles był bardzo zakochany, ale wcale nie zazdrosny. Zezwalał Aspazji na odwiedziny Sokratesa i Alcybiadesa, którzy posiadali ją przed nim. Pod naciskiem opinii usunęła się z domu Peryklesa, aby mieszkać na zmianę u Sokratesa lub Alcybiadesa. Tam spotykała się z Peryklesem.

Jak wiadomo, Aspazja pochodziła z Miletu. Mieszkańcy, zagrożeni ze strony Samosu, zwrócili się do niej o ratunek. Nakłoniła Peryklesa do przyjścia Miletowi z pomocą. Pomogła ojczyźnie w potrzebie. Mniej szlachetne pobudki kierowały nią, wymuszając na Peryklesie decyzję oblężenia Megary. Alcybiades z kilkoma przedstawicielami ateńskiej złotej młodzieży uprowadził z Megary słynną Simoetę, głosząc, że uczynili to z polecenia Peryklesa. W odwecie Megarejczycy porwali dwie „uczennice" z dworu Aspazji, na co poskarżyła się Peryklesowi, a ten wypowiedział wojnę Megarze! Tak miała zacząć się wojna peloponeska. W obu wyprawach wojennych Aspazja towarzyszyła Peryklesowi i zabrała z sobą swoją świtę heter. Na Samos swoją gorliwością zarobiły tyle pieniędzy, że stać je było na wystawienie świątyni ku czci bogini Wenus.

Obie dla interesów Aten zbędne wyprawy wojenne kosztowały więcej pieniędzy i krwi, niż przyniosły chwały. Wcale nie wyszły na dobre Aspazji. Przybywało jej wrogów we wszystkich środowiskach. W teatrach przedstawiano Peryklesa jako ofiarę przewrotności i wyuzdania ambitnej nierządnicy. Z zachowanych resztek sztuk Kratinosa dowiadujemy się o „nieskromnej i nikczemnej konkubinie". Mało znany komediopisarz z owej epoki, Hermippos, oskarżył Aspazję o bezbożność, „dorzucając — mówi Plutarch — że *służyła Peryklesowi jako stręczycielka, ponieważ w swym domu przyjmowała obywatelki miasta, które Perykles wykorzystywał"*. Doszło do procesu. Czekała ją kara śmierci. Z opresji wybawił ją wielki autorytet Peryklesa. *„Choć nie wypowiedział ani jednego słowa na jej obronę, a tylko zjawił się osobiście przed areopagiem, wziął ją w ramiona, pokrył pocałunkami i wydobył z siebie tylko łzy, ale te łzy miały swoją wymowę, bo uratowały oskarżoną"* (P. Dufour). Współoskarżeni przyjaciele Aspazji i Peryklesa, rzeźbiarz Fidiasz i filozof Anaksagoras, skazani zostali na banicję. N.G.L. Hammond w „Dziejach Grecji" (PIW, Warszawa 1973) wspomina o procesie: *„Anaksagorasa oskarżono o bezbożność, a Fidiasza — o nadużycia i obaj musieli uciekać z Aten"*. O Aspazji nie ma żadnej wzmianki. Dla porządku (nie dla ścisłości historycznej) przytoczmy jeszcze słowa na tenże temat ks. Pawła Kotowskiego z jego „Historii starożytnej", wydanej w Warszawie w 1818 r. dla szkół pijarskich: *„W jey sprawie stanął sam Perykles i tyle dokazał czarującą swoią wymową, że ią Ateńczykowie za niewinną uznali. Jakoż w samey rzeczy nie podpadała żadnemu występkowi, które jey zarzucono"*.

Perykles zmarł w r. 429 p.n.e., Aspazja — przed rokiem 400 (dokładnej daty śmierci brak). Przeżyła także kolejnego męża, Lyzyklesa, *„grubego handlarza zbożem"* (Dufour), *„handlarza wełną"* (Enc. Gutenberga), *„przywódcę ludowego"* (Brockhaus). Do końca życia uczyła retoryki, filozofii i sztuki hetery. Sława mądrości i urody Aspazji z Miletu dotarła aż do wnętrza Azji. Dorodna Fenicjanka Milto, metresa Cyrusa Młodszego, Artakserksesa i Dariusza, przyjęła imię Aspazji ku czci greckiej filozofki. Starała się także naśladować ją na polu nauki.

INNE HETERY

Era prostytutek zaczęła się w Grecji w tym momencie, kiedy niejaka Kleonika zjednoczyła pokusy miłości z naukami filozofii. Słynniejsza stała się jednak jej imienniczka, Kleonika z Bizancjum, hetera nie tylko wyjątkowej urody, lecz mająca za sobą już liczne pisma umoralniające. Słuchy o niej doszły do Pauzaniasza, syna króla Kleombrotosa ze Sparty. W obozowym życiu, między wojnami, Pauzaniasz nudził się bez rozrywek. Zażyczył sobie przysłanie Kleoniki, aby uprzyjemnić sobie monotonne życie wojaka. Kleonika przybyła do obozu późną nocą, kiedy Pauzaniasz spał w najlepsze w namiocie. Nie pozwolił budzić wodza. Chciała zrobić mu niespodziankę. Gdy zbudzi się, znajdzie ją obok siebie. Niestety, zbliżając się do posłania, nieostrożnym ruchem strąciła lampę. Hałas wyrwał Pauzaniasza ze snu, schwycił za miecz i zatopił go w skradającej się postaci, bo sądził, że mordercy wdarli się do jego namiotu. Kleonika zginęła na miejscu.

Leena związała się na śmierć i życie z Harmodiosem i Aristogejtonem w walce z tyranem Pizystratem i jego synem Hippiaszem. Pojmana, w czasie tortur odgryzła sobie język, aby w chwili słabości nie dopuścić się zdrady tajemnic i planów sprzysiężenia. Aby uczcić jej pamięć, Ateńczycy postawili u wejścia do świątyni na ateńskim zamku — posąg lwicy bez ozora. Z rąk Harmodiosa i Aristogejtona zginął Hipparch, drugi syn Pizystrata i młodszy brak Hippiasza. Na cześć tyranobójców przeciwnicy ateńskiej arystokracji śpiewali: *„Miecz w gałęzi mirtowej nosić będę, jak Harmodios i jak Aristogejton, gdy tyrana krew przelał ich miecz i gdy w Pallady gród równość wrócila praw"*. (S. Srebrny „Antologia liryki greckiej". Wrocław 1955).

Kariera Targelii z Miletu, metresy króla perskiego Kserksesa, mogła posłużyć rodaczce Aspazji za zachętę do pokierowania podobnie swoim losem. Targelia wróciła do Grecji z poufnym, królewskim zaleceniem, aby czyniła „dywersję na tyłach". Ta hetera, wyróżniająca się wykształceniem i inteligencją oraz przyciągająca urodą i osobistym wdziękiem, szybko nawiązała „kontakty" z prawie wszystkimi wysokimi dowódcami. Wydawało się Targelii, że królowi perskiemu otworzą się na jej skinienie bramy miast greckich bez oblężenia. Stało się inaczej. Wodzowie chętnie korzystali z lask pięknej i doświadczonej hetery, lecz z wojskami perskimi walczyli z całą zajadłością. Kserksesowi nie udał się podbój Grecji. A Targelia zamieszkała w Larisie i tam została żoną króla Tesalii z rodu Aleudów. W dalszym ciągu zajmowała się naukami filozoficznymi.

Od Pitagorasa pochodzi nauka o wędrówce dusz. Pitagorejczycy wierzyli, że dusza Aspazji była duszą Pitagorasa i że ta dusza z jej pięknego ciała przeszła do ciała obrzydliwego wyglądem cynika Kratesa z Teb, ucznia Diogenesa i nauczyciela Zenona, twórcy szkoły stoickiej. Naśladował tryb życia Diogenesa, pełen codziennych wyrzeczeń. Na jego drodze stanęła Hipparchia, dziewczyna z dobrego domu, mądra i niebrzydka. Raz go usłyszała mówiącego o „tajemnicach filozofii cynicznej" i poszła za nim na ślepo. Na nic zdały się wszelkie perswazje rodziny, przyjaciół i samego Kratesa. *„Popatrz — mówił*, odsłaniając swój garb i rzucając pod jej nogi laskę, torbę i płaszcz — *oto mężczyzna, którego chcesz mieć, a to meble, które znajdziesz u niego. Rozważ dobrze, nie możesz zostać moją żoną bez prowadzenia życia, które nakazuje nasza sekta"*. Hipparchia odpowiedziała mu, że rozważyła dobrze i gotowa jest na wszystko. Swą noc poślubną świętowali w ateńskiej hali kolumnowej (Poikile) na oczach zebranej ludności. Francuski wolnomyśliciel i dialektyk, Pierre Bayle, zajmujący się filozofią cyników, napisze 1000 lat później o Hipparchii: *„Była gotowa spełniać swój małżeński obowiązek na otwartej ulicy"*. Odtąd uroczystości ślubne cyników odbywały się w Poikile za przykładem pary Hipparchia — Krates. Otrzymały nazwę kynogamii. (gr. kynos — pies, gamos — poślubienie).

Obraz o ówczesnych uczniach Diogenesa przekazał potomności Aristippos z Cyreny, przemawiając do kobiet związanych z cynikami: *„Czyż nie macie podstawy, aby pokpić sobie z tych ludzi, których skromność tkwi w kudłatej brodzie, sękatym kiju i obszarpanym płaszczu, pod którym ukrywają potworny brud i wszystkie robactwo, które tam mieszkać może? Co myślicie jeszcze o ich paznokciach, które podobne są do szponów krwawej bestii?"*

Pitagorejczycy przykładali więcej uwagi do czystości, ubioru i zewnętrznego wyglądu. Podobnie ich hetery, które dbały o swe toalety, zwracały większą uwagę na sprawy materialne i nie gardziły luksusem. Przynajmniej te z „sekty Epikura". Stilpon, filozof z Megary, w połowie wieku IV p.n.e. wprowadził hetery do „sekty stoików". Szkoła filozofów, która miała hetery w swych szeregach, mogła liczyć zawsze na sukcesy. Stilpon zalecał uczniom trzymanie namiętności na wodzy. Sam postępował inaczej: znany był z rozpusty i pijaństwa. Podstawą jego nauki była apatia i bezwład. Jego metresa Nikareta, której wykładał dialektykę, przeciwstawiała się tym zasadom. *„Namiętnie kochała problemy z geometrii i nikomu nie poskąpiła swych względów, kto jej rozwiązał równanie algebraiczne"* (P. Dufour).

Dwie kobiety odegrały większą rolę w życiu Epikura. W jego młodych latach — Filenis, uczennica i metresa, autorka rozprawy naukowej z dziedziny fizyki i atomistyki. Ona wspominała go później z łezką w oku i nigdy nie skarżyła się na niedosyt wspólnych przeżyć. Leoncja poznała Epikura późno po jego dojrzałym, męskim okresie. To nie była miłość dla zarobku, to był podziw dla wielkiego uczonego. Jednocześnie czuła odrazę do starca, o czym wiemy z jednego jedynego jej listu do przyjaciółki Lamii, którego treść dochowała się do czasów współczesnych:

— *„O, Wenus! Gdyby zjawił się Adonis jako 80-letni starzec, słaby odpowiednio do wieku, pokryty robactwem i odziany brudną, śmierdzącą skórą, jak mój Epikur, sam Adonis wydałby się mi nie do zniesienia"*. A jednocześnie pisze o Timarchu, przystojnym uczniu Epikura:

— *„Jest tu Timarch, który mnie przede wszystkim wtajemniczył w misterie miłości; mieszka w moim sąsiedztwie i wierzę, że on pierwszy zerwał kwiat mojej życzliwości. Od tego czasu zawsze obsypywał mnie upominkami z odległych krain: toalety, pieniądze, służebnice, niewolnice, klejnoty; wszystko roztrwonił dla mnie"*.

Ponieważ Epikur był chorobliwie zazdrosny, zlecił ulubionym uczniom: Mermachosowi, Metrodorosowi i Polienosowi, aby śledzili kochanków i przeszkadzali ich spotkaniom. Sprawa nie dała się ukryć przed szeroką publicznością i trafiła do teatrów w postaci niewybrednych dowcipów i drwin. Epizodem w życiu Leoncji był Hermezjanaks z Kolofonu, który na jej cześć napisał „Dzieje poety miłosnego", a jej tam wyznaczył honorowe miejsce. Atenajos nie znajduje u Leoncji zamiłowania do poezji. Filozofia jest jej domeną działania. Jej polemika z Teofrastem, uczniem Platona i Arystotelesa, wzbudziła podziw Cycerona, który jednak żałował, że *„widzi tyle dobrego smaku, płynącego z tak brudnego źródła"*. Inne napisane przez nią dzieła wyróżniały się również pięknym językiem i stylem. W domu Epikura z obszernym ogrodem, w środowisku uczniów i współkolegów, Leoncja czuła się najlepiej, choć uciekała przed starczym szałem i czułościami. Tu urodziła się jej córka Danae, przypisana Epikurowi.

Los Danae potoczył się podobnym torem, co matki, a skończył się tragicznie. Nosiła piękne imię, córki króla Akrizjosa z Argos, matki Perseusza. W nauce poszła śladami rodziców. W życiu prywatnym była konkubiną Sofrona, pamiętnika Efezu. Na ten stosunek dość łaskawym okiem patrzyła Laodike, żona Sofrona. Obie kobiety zaprzyjaźniły się nawet ze sobą tak dalece, że Laodike zwierzyła się Danae o przygotowanym przez nią zamachu na życie Sofrona. Ta uprzedziła kochanka, który w ostatniej chwili zdążył zbiec do Koryntu. Przedmiotem zemsty Laodyki stała się teraz Danae, która pochwycono i zepchnięto z wysokiej skały. Podobno przed śmiercią zdołała zawołać:

— *O, bogowie! Słusznie wątpi się w wasze istnienie. Umieram nędznie, ponieważ chciałam zachować życie mężczyźnie, którego kocham, a Laodike, która chciała zamordować swego męża, żyje w blasku sławy i czci!*

„To były główne filozofki spośród greckich hetер — pisze Pierre Dufour w „Historii prostytucji" — *które nadały prostytucji pozór nauki i urok duchowy. Ich sława spływała również na tłum prostytutek, które obcowały z poetami i filozofami, nie będąc osobiście ani filozofkami, ani poetkami. Platon kochał Archeanassę, Meneklid — Bakchis, Sofokles — Archippę, Antagoras — Bodione etc., lecz te hetery zadowalały się błyskotliwością w swoim zawodzie i nie próbowały zbliżyć się ku duchowi swego kochanka, jak Prometeusz ku świętemu ogniu. Poeci i filozofowie na wyścigi śpiewali chwałę prostytutek"*.

Opr. WŁADYSŁAW LUBNAR ■